cena 15 PLN (w tym 6% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #208 12/2023

Stefan Czerniecki
SZOPKA, KTÓRA NADAL CZEKA NA ODKRYCIE

Piotr Lisiewicz
NAJWYBITNIEJSZY POLSKI SPORTOWIEC ZAMORDOWANY PRZEZ ROSJAN

Krzysztof Wołodźko
W JĄDRZE CIEMNOŚCI. NIEMIECKI BIZNES A III RZESZA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLINSKI STUDIO, FOT. ADOBE STOCK

REFERENDUM

To twój głos dla Polski

Referendum stanowi najpełniejszy przejaw suwerenności narodu, bowiem za jego pośrednictwem naród, obywatele, którzy korzystają z praw publicznych, posiadają czynne prawo wyborcze, bezpośrednio w głosowaniu wyrażają swoją wolę i opinię.

ISSN 1895-4960

eprasa.pl d598d8d6e5

TEMAT NUMERU ▼ 6–35

Akademia Demokracji – Referendum / 6

IDEE ▼ 36–44

Armia IV Rzeszy Loringhovena w Polsce / 12

HISTORIA ▼ 52–65

Najwybitniejszy polski sportowiec zamordowany przez Rosjan / 52

KULTURA ▼ 70–77

Mesjasz z Księżyca, aniołowie z Marsa / 70

ŚWIAT ▼ 78–97

Chińsko-rosyjski szlak / 78

Spis treści

TEMAT NUMERU

Akademia Demokracji – Referendum /6
Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji
Niezależne Media

IDEE

Piotr Grochmalski
Armia IV Rzeszy Loringhovena w Polsce /36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Czy żyjemy już w kraju „nowoczesnym"? /46

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Najwybitniejszy polski sportowiec zamordowany przez Rosjan /52

Agnieszka Kowalczyk
Od Sybiru po Indie. Polskie dzieci wojny /58

Dariusz Jarosiński
Życie za życie /62

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Mesjasz z Księżyca, aniołowie z Marsa/70

Krzysztof Karnkowski
O Kulcie na smutno /76

ŚWIAT

Hanna Shen
Chińsko-rosyjski szlak /78

Antoni Rybczyński
Rosja w wojnie z Zachodem szuka sojusznika na Globalnym Południu /84

Stefan Czerniecki
Szopka, która nadal czeka na odkrycie /88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /96

OD LUTEGO 2024
„Nowe Państwo" będzie dostępne wyłącznie w prenumeracie papierowej i subskrypcji elektronicznej na stronie
www.prenumerata.swsmedia.pl
oraz w placówkach Poczty Polskiej

NOWE PAŃSTWO

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Zrobi burdę i wyjedzie
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... dar
KATECHIZM INTELIGENTA 45

Krzysztof Wołodźko
W jądrze ciemności. Niemiecki biznes a III Rzesza
DZIENNIK LEKTUR 66

Marek Kalinowski
The Rolling Stones i eliksir młodości
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75

Ryszard Czarnecki
Mołdawia po polsku, Kiszyniów kontra Moskwa
CZARNECKO TO WIDZĘ 83

Marcin Wolski
Egzamin z solidarności
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Nie dadzą rady
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

„Nowe Państwo" – ceny prenumeraty
subskrypcja 30 dni: 7,5 zł
prenumerata elektroniczna: roczna – 99 zł, jeden numer – 12 zł
prenumerata papierowa: rok – 149 zł, pół roku – 80 zł, kwartał – 45 zł
prenumerata zagraniczna: rok – 366 zł, pół roku – 185 zł, kwartał – 94 zł

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl d598d8d6e5

Katarzyna Gójska

Zrobi burdę i wyjedzie

Premierostwo i polska zgoda na kopernikański przewrót traktatowy są dla Tuska narzędziem do powrotu na salony, z których został wypchnięty. Musi raz jeszcze się wkupić. Przed laty dokonał tego polityką resetu z Rosją, której oczekiwała od niego Merkel. Teraz za szansę na swój kolejny osobisty sukces (prestiż i pieniądze) zapłaci niepodległością RP.

Trzecia Droga reklamowała się wyborcom jako nowa jakość w polskiej polityce. Miała zmieniać emocje, przywracać normalny dyskurs polityczny itd. Tymczasem już pierwszego dnia nowej kadencji Sejmu stała się twarzą kolejnej odsłony polityki agresji, której reżyserem jest przewodniczący Platformy. I tak już pozostanie. Tusk będzie używał nowego marszałka do autoryzowania swoich antydemokratycznych tricków, których jedynym celem jest zdobycie „zasług" dających szansę na ponowne wyrwanie się z polskiej polityki, określanej przez jego przybocznych mianem syfu. Jakże szybko życie pozytywnie zweryfikowało ostrzeżenie, iż głosowanie na satelickie partie Platformy przełoży się wyłącznie na umocnienie pozycji Donalda Tuska. Każdy, kto pomięta premierostwo szefa PO, nie ma problemu z wyobrażeniem sobie, co będzie się działo przez najbliższe miesiące. Zapowiedziany przez byłego ambasadora Niemiec w Polsce antydemokratyczny walec ruszył właśnie z przytupem. Lider Platformy odpalił go już przy sprawach czysto symbolicznych, jak głosowania na wicemarszałków Sejmu i Senatu. Ale to dopiero początek. Hołownia z PSL-em zostali już obsadzeni w roli Tuskowych pałkarzy, a niedoświadczony politycznie marszałek izby niższej być może jeszcze nie do końca rozumie, w jakim show dostał angaż i jakie sztuczki przyjdzie mu zapowiadać. Trudniej zrozumieć szefa ludowców. Jego już raz Tusk przerobił, czyniąc go twarzą oszukańczego wobec wyborców i kompletnie sprzecznego z ich wolą podniesienia wieku emerytalnego w Polsce. Ale Kosiniak-Kamysz jest niczym ćma lecąca do ognia. Trudno uwierzyć, iż jest kompletnie pozbawiony instynktu samozachowawczego, dlatego należy założyć, że w grę wchodzą jakieś zupełnie inne motywacje, każące mu jeszcze raz wziąć na twarz brudną zagrywkę ewentualnego szefa rządu. Zapowiedź nowej cuchnącej misji politycznej przywódcy PSL już pojawiła się w przestrzeni publicznej. Ma on być obsadzony w roli demontera polskiej armii i tego, który własną twarzą będzie musiał ostro ciąć zbrojeniowe kontrakty. Różnica między przewodniczącym Platformy a jego przybudówkami polega na tym, iż Tusk ma osobisty cel, dla którego gotów jest doprowadzić Polskę do prawnego chaosu, niszcząc przy tym ład konstytucyjny i ograniczając jak tylko się da wolność słowa. Wszystko po to, by pogrążona w nieprawdopodobnej anarchii i agresji RP dała się łatwo wprowadzić w nową rzeczywistość traktatową Unii Europejskiej. To bynajmniej nie jest scenariusz fantastyczny i nieprawdopodobny. On z perspektywy Tuska i Berlina wydaje się wręcz bardzo logiczny – skoro kluczowe instytucje państwa, jak Trybunał Konstytucyjny, NBP, KRS i wraz z nią sądownictwo powszechne, będą pogrążone w wieloznacznych sytuacjach prawnych wspomaganych działaniami o charakterze siłowym (jakże często zapowiadanych przez lidera PO), przejęcie władzy w naszym kraju przez urzędy unijne odbędzie się tylko sprawniej, bo dla wielu obywateli ta perspektywa będzie wydawała się jedyną szansą na zaprowadzenie porządku i spokoju. Przewodniczący Platformy będzie już w tym czasie na końcowym etapie walki o wydostanie się z „syfu", bo nie jest zainteresowany pozostaniem w krajowej polityce. Premierostwo i polska zgoda na kopernikański przewrót traktatowy są dla niego narzędziem do powrotu na salony, z których został wypchnięty. Musi raz jeszcze się wkupić. Przed laty dokonał tego polityką resetu z Rosją, której oczekiwała od niego Merkel. Teraz za szansę na swój kolejny osobisty sukces (prestiż i pieniądze) zapłaci niepodległością RP. I jeśli ten plan wypali, Tuska w ciągu roku w naszym kraju już nie będzie. W „syfie" zostaną satelici, z twarzami umorusanymi hańbą. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Tomasz Sakiewicz

Wesprzyjmy media Strefy Wolnego Słowa

Zapowiedzi ekipy resetu świadczą o tym, że czeka nas twarda walka. Zagrożona jest wolność słowa, zagrożone są demokracja i suwerenność Polski, zagrożone jest nawet nasze narodowe bezpieczeństwo. W tej sytuacji kluczowe jest uratowanie zdolności medialnych obozu patriotycznego, tak żeby ściana kłamstwa nie przykryła wyborców. Trzeba się na wszelkich poziomach przeciwstawiać bezprawnym próbom zawłaszczenia lub niszczenia mediów publicznych. Planowane działania nie tylko są zwykłym barbarzyństwem prawnym, lecz także niszczą równowagę w debacie.

Szanowni Państwo, przyszedł czas, aby wesprzeć istniejące konserwatywne media prywatne skupione w Strefie Wolnego Słowa. Naprawdę zbudowaliśmy sporo i jest na czym się oprzeć. Tu należy się Państwu wyjaśnienie. Ostatnie lata nie były dla naszych mediów jakimś szczególnym eldorado. Oczywiście pojawiły się reklamy, których nie było wcześniej, ale spotkały nas też istne plagi egipskie. Media Strefy Wolnego Słowa wyrosły na gazetach papierowych. Rynek ten po prostu się zawalił. W ciągu dekady w całej Polsce zniknęło około 70 proc. punktów sprzedaży detalicznej gazet. W efekcie bardzo trudno nasze periodyki nabyć. Zbankrutowało dwóch z trzech dużych kolporterów, zmuszając nas do zrezygnowania ze znacznej części należnych nam pieniędzy.

Dzisiaj trzeba z tym co mamy przystąpić do twardej walki. Jak mogą nam Państwo pomóc?

Jedną z możliwości są wpłaty darowizny na Fundacje Niezależne Media, która powstała w 2009 roku. Jej celem od początku jest wspieranie mediów we wszystkich formach: prasy, radia, telewizji, portali internetowych itp., wspieranie niezależnych dziennikarzy, promowanie i animowanie niezależnej debaty publicznej.

Trzeba maksymalnie propagować prenumeratę cyfrową. „Gazetę Polską", „Gazetę Polską Codziennie" i „Nowe Państwo" można zaprenumerować w jednym pakiecie: na miesiąc, kwartał czy rok. Polecam jednak szczególnie subskrypcje naszych tytułów. To dużo tańsza opcja niż wersja papierowa, a dla nas i tak bardziej efektywna. Trzeba do tego zachęcać osoby publiczne, szczególnie takie, które ubiegają się o Państwa wsparcie. Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby radny czy poseł liczący na Państwa głosy, jednocześnie lekceważył Państwa ulubione media.

Trzeba maksymalnie propagować prenumeratę cyfrową. „Gazetę Polską", „Gazetę Polską Codziennie" i „Nowe Państwo" można zaprenumerować w jednym pakiecie: na miesiąc, kwartał czy rok.

Trzeba na wszelkie sposoby promować Telewizję Republika, która już dzisiaj przez anteny, satelity i kablówki oraz YouTube dociera do 8 mln ludzi miesięcznie. Tak samo trzeba promować portal Niezależna.pl. Wrzucajmy linki z niezalezna.pl, strony internetowej Republiki i YouTube'a na nasze social media. Wysyłajmy je znajomym. Twórzmy patriotyczną sieć. Żaden wysiłek się nie zmarnuje.

Apeluję również o wstępowanie do istniejących Klubów „Gazety Polskiej" i zakładanie ich tam, gdzie ich brakuje. Informacje na ten temat znajdą Państwo na stronie www.klubygazetypolskiej.pl

Od czasów komuny nauczyłem się walczyć i to dla mnie nic nowego. Trudne czasy tworzą charakter. Głowa do góry. Nie takim daliśmy radę. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

OD LUTEGO 2024 !

miesięcznik **„Nowe Państwo”** **DOSTĘPNY WYŁĄCZNIE**
w prenumeracie papierowej i **subskrypcji elektronicznej**
na stronie www.prenumerata.swsmedia.pl
oraz **w placówkach Poczty Polskiej**

DO KOŃCA ROKU PRENUMERATA
Z 10% ZNIŻKĄ!

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

eprasa.pl d598d8d6e5

mec. Wioletta **Bielecka**

Dzisiejszy status prawny referendum

Referendum stanowi najpełniejszy przejaw suwerenności narodu, bowiem za jego pośrednictwem naród, obywatele, którzy korzystają z praw publicznych, posiadają czynne prawo wyborcze, bezpośrednio w głosowaniu wyrażają swoją wolę i opinię.

eprasa.pl d598d8d6e5

FOT. ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

eprasa.pl d598d8d6e5

Konstytucje państw demokratycznych nie ograniczają udziału obywateli w sprawowaniu władzy. Termin demokracja pochodzi z języka greckiego (*demos* – lud, *kratos* – rządy) i w dosłownym znaczeniu oznacza rządy ludu. Społeczeństwo może aktywnie uczestniczyć, współdecydować w podejmowaniu decyzji o publicznym znaczeniu bez jakiegokolwiek pośrednictwa, korzystając z instytucji demokracji bezpośredniej. Takim instrumentem demokracji bezpośredniej w Polsce, który umożliwia społeczeństwu ingerencję w proces polityczny i uczestnictwo w nim, jest referendum.

Referendum w polskim prawie konstytucyjnym

Referendum jest formą wypowiedzenia się obywateli w drodze publicznego głosowania w ważnych sprawach państwa lub jego części – terytorium. Stanowi najpełniejszy przejaw suwerenności narodu, bowiem za jego pośrednictwem naród, obywatele, którzy korzystają z praw publicznych, posiadają czynne prawo wyborcze, bezpośrednio w głosowaniu wyrażają swoją wolę i opinię. W czasie referendum obywatele całego państwa lub jego części – w zależności od tego, czy jest to referendum ogólnokrajowe, czy lokalne – wyrażają swoją opinię w kwestii poddawanej głosowaniu i w tym sensie stanowią wyraz woli danego społeczeństwa.
Do polskiego prawa konstytucyjnego instytucję referendum wprowadzono w wyniku nowelizacji ustawy z 6 maja 1987 roku o zmianie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i uchwalenia też w tym samym dniu ustawy z 6 maja 1987 roku o konsultacjach społecznych i referendum.
Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z 2 kwietnia 1997 roku przewiduje możliwość zarządzania referendów zarówno o zasięgu ogólnokrajowym, jak i lokalnym. Referendum ogólnokrajowe wynika z treści art. 4 Konstytucji RP, który mówi o tym, iż „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu. Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". Natomiast pozostałe przepisy konstytucji, tj. art. 90 ust. 3, art. 125 oraz art. 235 ust. 6, także wskazują nam, iż jako naród możemy wypowiedzieć się w drodze referendum. Natomiast art. 170 konstytucji wskazuje na referendum lokalne: „Członkowie wspólnoty samorządowej mogą decydować, w drodze referendum, o sprawach dotyczących tej wspólnoty, w tym o odwołaniu pochodzącego z wyborów bezpośrednich organu samorządu terytorialnego. Zasady i tryb przeprowadzania referendum lokalnego określa ustawa".
Zatem w polskim porządku prawnym oprócz konstytucji mamy dwie ustawy regulujące kompleksowo instytucję referendum:

1. Ustawa z dnia 14 marca 2003 roku o referendum ogólnokrajowym;
2. Ustawa z dnia 15 września 2000 roku o referendum lokalnym.

Referendum lokalne może być obecnie zarządzane we wszystkich jednostkach samorządu terytorialnego: w województwie, powiecie i gminie.

Kryteria referendalne

Zazwyczaj uczestnicy referendum wypowiadają swoją wolę, udzielając na postawione pytanie bądź pytania odpowiedzi „tak" lub „nie", choć mogą również dokonać wyboru między zaproponowanymi wariantami rozwiązań. Aby referendum było wiążące dla władzy, wynik głosowania w referendum musi osiągnąć próg frekwencyjny, dlatego też wyznacza się je na dzień wolny od pracy. Głosowanie w referendum może być przeprowadzone w ciągu jednego dnia albo dwóch dni – w przypadku przedłużenia terminu głosowania jest on ustalany na dzień wolny od pracy oraz dzień go poprzedzający.
W zależności od przedmiotu głosowania referendalnego i wypowiedzi społeczeństwa nad kwestiami zawartymi w pytaniach referendalnych, wyróżniamy referendum konstytucyjne oraz ustawodawcze. Referendum konstytucyjne dotyczy zmiany lub uchwalenia ustawy zasadniczej. Ustawy zaś są zatwierdzane w drodze referendum ustawodawczego, w którym to obywatele decydują o uznaniu za powszechnie obowiązujący akt prawny, przygotowany przez uprawniony podmiot. Dopiero po przyjęciu ustawy przez obywateli taki akt normatywny staje się prawomocny. Ustawa przyjęta w drodze referendum ma taką samą moc prawną, jak ustawa uchwalona przez rząd.

Rozróżnia się rodzaje referendów w zależności od kryterium:

1. zasięgu terytorialnego:
   a. referendum ogólnokrajowe
   b. referendum lokalne;
2. obowiązku jego przeprowadzenia:
   a. referendum obligatoryjne, kiedy podjęcie określonego aktu lub decyzji musi zostać dokonane lub potwierdzone w referendum;
   b. referendum fakultatywne, przeprowadzane w wypadkach, które podmioty zarządzające referendum uznają to za potrzebne;
3. skutków prawnych:
   a. referendum wiążące, gdy akt lub decyzja w nim podjęta nabiera bezpośredniej skuteczności prawnej;
   b. referendum konsultatywne, gdy wynik referendum stanowi jedynie wskazówkę i podpo-

eprasa.pl d598d8d6e5

wiedź dla ostatecznego podjęcia decyzji lub ustanowienia aktu przez upoważniony organ państwa;

4. momentu przeprowadzenia:

   a. referendum uprzednie, którego wynik ma być dopiero przesłanką, wiążącą lub tylko sugerującą, przy podejmowaniu określonej decyzji lub ustanawianiu aktu,
   b. referendum następcze, które zatwierdza akt lub decyzję już podjętą przez upoważniony organ państwowy.

Jeśli chodzi o referendum ogólnokrajowe, to konstytucja przewiduje je tylko w trzech przypadkach.

Przypadek pierwszy

Art. 90 ust. 3 konstytucji dotyczy ogólnokrajowego referendum w sprawie wyrażenia zgody na ratyfikację umowy międzynarodowej, przekazującej organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencje organów władzy państwowej w niektórych sprawach. W świetle postanowień konstytucji nie jest dopuszczalna w drodze referendalnej ratyfikacja umowy międzynarodowej. Ustawa zasadnicza zezwala jedynie na wyrażenie w drodze referendum zgody społecznej na ratyfikację umowy międzynarodowej przekazującej organizacji międzynarodowej lub organowi międzynarodowemu kompetencje organów władzy państwowej. W niektórych sprawach referendum to także ma charakter fakultatywny, tzn. że zgoda na ratyfikację takiej umowy międzynarodowej może być wyrażona również w inny sposób. Na przykład poprzez uchwalenie przez rząd ustawy wyrażającej zgodę na przyjęcie takiej umowy międzynarodowej, jednakże musi ona zostać uchwalona przez Sejm większością 2/3 głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów oraz przez Senat większością 2/3 głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby senatorów. Sejm podejmuje uchwałę w sprawie wyboru trybu wyrażenia zgody na ratyfikację i podejmuje ją bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów.
Ustawodawca, tak jak przy referendum konstytucyjnym, uzależnił rozstrzygnięcie ogólnokrajowego referendum w sprawie wyrażenia zgody na ratyfikację umowy międzynarodowej od udziału w nim liczby uprawnionych obywateli. Takie referendum jest wiążące, jeżeli weźmie w im udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania.

Referenda lokalne są zarządzane przez organy stanowiące jednostek samorządu terytorialnego (czyli: sejmik województwa, radę powiatu i radę gminy) z inicjatywy tych organów lub na wniosek co najmniej: 10 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców gminy lub powiatu i 5 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców województwa.

Przypadek drugi

Art. 125 konstytucji dotyczy ogólnokrajowego referendum w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa. Wyrażenie „szczególne znaczenie dla państwa" charakteryzuje się daleko idącą ogólnikowością, oznacza to, że pozostawienie oceny zasadności przeprowadzenia i zarządzenia referendum zostawia się podmiotom je zarządzającym. Referendum ogólnokrajowe ma prawo zarządzić Sejm bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów lub prezydent Rzeczypospolitej za zgodą Senatu, wyrażoną bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby senatorów. Referendum ogólnokrajowe jest wiążące, jeżeli wzięła w nim udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania. Zgodnie z przepisami, inicjatorami tego rodzaju referendum mogą być: Sejm z własnej inicjatywy, tzn. na wniosek złożony przez Prezydium Sejmu, komisję sejmową lub

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

co najmniej 69 posłów, a także na wniosek Senatu, Rady Ministrów lub obywateli, którzy dla swojego wniosku uzyskają poparcie co najmniej 500 tys. osób mających prawo udziału w referendum. Ustawodawca znacznie podwyższył wymóg poparcia pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w stosunku do liczby uprawnionych do wniesienia projektu ustawy, który to wymóg wynosi 100 tys. obywateli posiadających czynne prawo wyborcze. Tak więc instytucja referendum i jej zainicjowanie przez obywateli Polski wymaga większego zaangażowania społeczeństwa w jej uruchomienie, a dalej idąca analiza tego przepisu wskazuje, iż:

1. referendum ma wyłącznie charakter fakultatywny – „może być przeprowadzone", co nie oznacza, że musi, choć zostały spełnione warunki;
2. w jednym referendum pod głosowanie może być poddanych nawet kilka kwestii, referendum może być zarządzone „w sprawach" – tak jak referendum z dnia 15 października br.;
3. referenda mogą jedynie dotyczyć spraw mających znaczenie ogólnopaństwowe i związanych z interesami całego państwa.

Podkreślenia wymaga fakt, iż wykluczone jest uczynienie przedmiotem referendum bezpośredniego przyjęcia aktów lub decyzji, do których podejmowania zostały upoważnione z mocy przepisów konstytucyjnych lub ustawowych określone organy państwowe, a zatem ustaw uchwalanych wyłącznie przez Sejm.

Przypadek trzeci

Art. 235 ust. 6 konstytucji dotyczy ogólnokrajowego referendum w sprawie zatwierdzenia ustawy o zmianie konstytucji. Referendum to, podobnie jak dwa wcześniej analizowane, ma charakter fakultatywny. Referendum tego rodzaju przeprowadzane jest jedynie wtedy, gdy zatwierdzane mają być zmiany w rozdziale I, II lub XII Konstytucji RP. Do podmiotów, które mogą zainicjować takie referendum, należy 1/5 ustawowej liczby posłów, Senat bądź prezydent. Referendum musi się odbyć w terminie 45 dni od dnia uchwalenia ustawy przez Senat o zmianie konstytucji. Z wnioskiem w tej sprawie podmioty te zwracają się do marszałka Sejmu, który zarządza niezwłocznie przeprowadzenie referendum w ciągu 60 dni od dnia złożenia wniosku. Zmiana konstytucji zostaje przyjęta, jeżeli za tą zmianą opowiedziała się większość głosujących.

Wskazana w konstytucji inicjatywa referendalna, czyli władza bezpośrednia należąca do grupy co najmniej 500 tys. osób uprawnionych do udziału w głosowaniu, wskazuje, iż obywatele mogą wystąpić z wnioskiem o przeprowadzenie referendum. Jednakże inicjatywa tych obywateli nie może dotyczyć zgodnie z art. 63 ustawy o referendum ogólnokrajowym takich kwestii jak:

1. wydatków i dochodów, w szczególności podatków oraz innych danin publicznych;
2. obronności państwa;
3. amnestii.

Przedmiotem takiego referendum ogólnokrajowego może być każda inna kwestia o szczególnym znaczeniu dla państwa niż wskazana powyżej. Nie może być przedmiotem referendum sprawa dotycząca jakiejś wybranej grupy społecznej, zawodowej czy konkretnych obywateli; musi dotyczyć wszystkich obywateli i tym samym obejmować terytorium całego państwa.

Wniosek o referendum

Ustawodawstwo polskie zapewnia obywatelom prawo inicjowania referendum, ale nie zobowiązuje Sejmu do podjęcia decyzji o przeprowadzaniu takiego referendum. Wniosek o referendum złożony przez 500 tys. obywateli rozpoznaje Sejm i on podejmuje decyzję o ewentualnym jego przeprowadzeniu. Każdą obywatelską inicjatywę referendalną reprezentuje pełnomocnik. Jest nim osoba wskazana w pisemnym oświadczeniu pierwszych 15 osób popierających wniosek o przeprowadzenie referendum. Pełnomocnik zobowiązany jest do przedstawienia marszałkowi Sejmu pisemnego wniosku o przeprowadzenie referendum, zawierającego propozycję pytań lub wariantów rozwiązań w sprawie, którą postuluje poddać pod powszechne głosowanie. Dotychczas Sejm nigdy nie zaakceptował żadnego z wniosków o przeprowadzenie referendum.

Warto zaznaczyć, że sam fakt zainicjowania i zebrania podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum sprawia wiele trudności. Wykaz oraz lista osób popierających przeprowadzenie publicznego głosowania, której wzór określa Państwowa Komisja Wyborcza, powinien zawierać: imię i nazwisko danej osoby, adres zamieszkania, numer PESEL oraz własnoręczny podpis. Często dochodzi do kwestionowania zebranych list poparcia z uwagi na mało istotne braki lub nieczytelność danych lub podpisów. Marszałek Sejmu, mając wątpliwości co do list lub liczby podpisów, może zwrócić się do Państwowej Komisji Wyborczej o stwierdzenie, czy jest złożona wymagana liczba podpisów.

Dopiero po takiej weryfikacji i w przypadku uzupełnienia braków rząd może procedować dalej w celu zarządzenia referendum z inicjatywy obywatelskiej.

Ważność referendum

Wynik referendum jest wiążący, jeżeli wzięła w nim udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania.

eprasa.pl d598d8d6e5

Rozróżnia się rodzaje referendów w zależności od kryterium:

1. zasięgu terytorialnego:
   - referendum ogólnokrajowe
   - referendum lokalne;
2. obowiązku jego przeprowadzenia:
   - referendum obligatoryjne, kiedy podjęcie określonego aktu lub decyzji musi zostać dokonane lub potwierdzone w referendum;
   - referendum fakultatywne, przeprowadzane w wypadkach, które podmioty zarządzające referendum uznają to za potrzebne;
3. skutków prawnych:
   - referendum wiążące, gdy akt lub decyzja w nim podjęta nabiera bezpośredniej skuteczności prawnej;
   - referendum konsultatywne, gdy wynik referendum stanowi jedynie wskazówkę i podpowiedź dla ostatecznego podjęcia decyzji lub ustanowienia aktu przez upoważniony organ państwa;
4. momentu przeprowadzenia:
   - referendum uprzednie, którego wynik ma być dopiero przesłanką, wiążącą lub tylko sugerującą, przy podejmowaniu określonej decyzji lub ustanawianiu aktu,
   - referendum następcze, które zatwierdza akt lub decyzję już podjętą przez upoważniony organ państwowy.

Rozstrzygnięcie w referendum następuje, jeżeli:

1. w odpowiedzi na postawione pytanie oddano większość ważnych głosów pozytywnych albo negatywnych;
2. na jeden z zaproponowanych wariantów rozwiązań w sprawie poddanej pod referendum oddano najwięcej ważnych głosów.

Ważność każdego referendum ogólnokrajowego stwierdza się po rozpatrzeniu protestów, które mogą zostać złożone do Sądu Najwyższego. Protest wnosi się do Sądu Najwyższego na piśmie w terminie siedmiu dni od dnia ogłoszenia wyniku referendum przez Państwową Komisję Wyborczą w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej. Natomiast zgodnie z ust. 2 art. 34 Ustawy o referendum ogólnokrajowym: „Do warunków i trybu wnoszenia protestu oraz sposobu jego rozpatrywania i trybu podejmowania uchwały w tej sprawie przez Sąd Najwyższy stosuje się odpowiednio przepisy ustawy z dnia 5 stycznia 2011 r. – Kodeks wyborczy”.
Sąd Najwyższy rozstrzyga o ważności referendum, podejmując w tej sprawie uchwałę nie później niż w 60. dniu od dnia ogłoszenia wyniku referendum i taka uchwała o ważności referendum publikowana jest w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej.
Jeżeli wynik referendum jest wiążący, właściwe organy państwowe są zobowiązane podjąć niezwłocznie nie później niż w terminie 60 dni od dnia ogłoszenia uchwały Sądu Najwyższego o ważności referendum odpowiednie czynności dla realizacji wyniku referendum poprzez wydanie odpowiednich aktów prawnych lub podjęcie innych decyzji. Polskie prawo tak zostało skonstruowane, że skuteczność wyniku referendalnego może być osłabiona przez fakt braku sankcji za niezrealizowanie wskazanego obowiązku, a tym samym re-

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

alizacji woli narodu, co może odbić się na wyborze obecnie rządzących w przyszłych wyborach, którzy nie zrealizowali woli narodu.

Referendum lokalne

Innym rodzajem referendum występującym w polskim porządku prawnym jest referendum lokalne. Istota tego instrumentu jest podobna do istoty funkcjonowania referendum ogólnokrajowego i stanowi ją wyrażenie woli przez obywateli w sprawach dotyczących danego terytorium województwa, powiatu lub gminy.

Mieszkańcy wyrażają w drodze głosowania swoją wolę:

1. w sprawie odwołania organu stanowiącego tej jednostki;
2. co do sposobu rozstrzygania sprawy dotyczącej tej wspólnoty, mieszczącej się w zakresie zadań i kompetencji organów danej jednostki;
3. w innych istotnych sprawach dotyczących społecznych, gospodarczych lub kulturowych więzi łączących tę wspólnotę.

Przedmiotem referendum gminnego może być również:

1. odwołanie wójta (burmistrza, prezydenta miasta);
2. samoopodatkowanie się mieszkańców na cele publiczne mieszczące się w zakresie zadań i kompetencji organów gminy.

Referenda lokalne są zarządzane przez organy stanowiące jednostek samorządu terytorialnego (czyli: sejmik województwa, radę powiatu i radę gminy) z inicjatywy tych organów lub na wniosek co najmniej: 10 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców gminy lub powiatu i 5 proc. uprawnionych do głosowania mieszkańców województwa. Wyjątkiem jest referendum w sprawie odwołania organu stanowiącego jednostki samorządu terytorialnego, a o jego przeprowadzeniu postanawia komisarz wyborczy tylko na wyłączny wniosek mieszkańców. W sytuacji inicjowania procedury odwoławczej najwyższych organów jednostek samorządu terytorialnego, czyli wójta, burmistrza lub prezydenta miasta, mieszkańcy mogą złożyć taki wniosek do właściwej rady gminy po upływie 10 miesięcy od dnia wyboru organu albo 10 miesięcy od dnia ostatniego referendum w sprawie jego odwołania i nie później niż na 8 miesięcy przed zakończeniem jego kadencji.
Referendum odbywa się w dniu wolnym od pracy i mogą w nim uczestniczyć osoby stale zamieszkujące na obszarze danej jednostki samorządu terytorialnego, posiadające czynne prawo wyborcze do organu stanowiącego tej jednostki.
Jeżeli referendum lokalne zarządzanie jest przez organ stanowiący jednostki samorządu terytorialnego, to wskazany organ musi podjąć uchwałę w sprawie przeprowadzenia referendum bezwzględną większością głosów swojego ustawowego składu. Treść uchwały dla ważności musi zawierać pytanie lub pytania referendalne wraz z wariantami odpowiedzi zaproponowanymi mieszkańcom, zaproponowany termin przeprowadzenia referendum wraz ze wzorem karty do głosowania i kalendarz czynności związanych z przeprowadzeniem referendum. Natomiast w przypadku gdy przedmiotem referendum gminnego jest samoopodatkowanie się mieszkańców na cele publiczne, uchwała rady gminy wskazuje również cel lub cele oraz zasady samoopodatkowania. Referendum przeprowadza się najpóźniej w 50. dniu od dnia opublikowania uchwały w wojewódzkim dzienniku urzędowym, a uchwała rady gminy podlega ponadto bezzwłocznemu rozplakatowaniu lub ogłoszeniu w inny sposób zwyczajowo przyjęty w danej gminie.

Ustawodawstwo polskie zapewnia obywatelom prawo inicjowania referendum, ale nie zobowiązuje Sejmu do podjęcia decyzji o przeprowadzaniu takiego referendum.

W praktyce

Zgodnie z art. 11 ust. 1 ustawy o referendum lokalnym z inicjatywą przeprowadzenia referendum na wniosek mieszkańców jednostki samorządu terytorialnego wystąpić może:

1. grupa co najmniej 15 obywateli, którym przysługuje prawo wybierania do organu stanowiącego danej jednostki samorządu terytorialnego, a w odniesieniu do referendum gminnego – także pięciu obywateli, którym przysługuje prawo wybierania do rady gminy;
2. statutowa struktura terenowa partii politycznej działająca w danej jednostce samorządu terytorialnego;
3. organizacja społeczna posiadająca osobowość prawną, której statutowym terenem działania jest co najmniej obszar danej jednostki samorządu terytorialnego.

1a. Z inicjatywą przeprowadzenia referendum na wniosek mieszkańców gminy w sprawie utworzenia, połączenia, podziału i zniesienia gminy oraz ustalenia granic gminy wystąpić może jedynie grupa co najmniej 15 obywateli, którym przysługuje prawo wybierania do rady gminy.

Tak samo jak w przypadku referendum ogólnokrajowego, przy referen-

eprasa.pl d598d8d6e5

dum lokalnym inicjator referendalny musi złożyć listę poparcia referendum z danymi osobowymi i podpisami do władz organów stanowiących jednostek samorządu terytorialnego, które to władze podejmują stosowną uchwałę o przeprowadzeniu referendum.

Referendum lokalne jest ważne, jeżeli wzięło w nim udział co najmniej 30 proc. uprawnionych do głosowania. W przypadku referendum w sprawie odwołania organu jednostki samorządu terytorialnego pochodzącego z wyborów powszechnych i bezpośrednich jego ważność jest uwarunkowana uczestnictwem w głosowaniu co najmniej 3/5 liczby biorących udział w wyborze odwoływanego organu. Wynik referendum jest rozstrzygający, jeżeli za jednym z rozwiązań w sprawie poddanej pod głosowanie oddano więcej niż połowę ważnych głosów. Inny wymóg przewidziany został w przypadku referendum gminnego w sprawie samoopodatkowania się mieszkańców na cele publiczne; wynik takiego referendum jest rozstrzygający, gdy za samoopodatkowaniem oddano co najmniej 2/3 ważnych głosów.

Jeżeli referendum lokalne zakończy się wynikiem wiążącym, obowiązkiem właściwego organu jednostki samorządu terytorialnego jest niezwłoczne podjęcie czynności mających na celu jego realizację.

Kontrola przebiegu referendum i jego wyników ma charakter sądowy. W następstwie rozpatrzenia protestów, które mogą być wnoszone w terminie siedmiu dni od dnia ogłoszenia przez wojewodę w wojewódzkim dzienniku urzędowym protokołu wyniku referendum, sąd okręgowy może podjąć orzeczenie o unieważnieniu referendum lub nieważności głosowania w obwodzie, ewentualnie obwodach głosowania.

Wzmocnić przepisy dotyczące referendum

Funkcjonowanie instytucji demokracji bezpośredniej w Polsce nie może odbyć się bez odwołania się do poziomu zaangażowania obywateli w życie publiczne. Aktualnie udział obywateli w demokracji bezpośredniej, inicjowanie i przeprowadzania referendum są znikome, zwłaszcza w przypadku referendów ogólnokrajowych. Należy zaznaczyć, że największą władzę obywatele mają w jednostkach samorządu terytorialnego ze względu na niski próg frekwencyjny ważności wyniku referendum. Mieszkańcy mają szansę współdecydowania o najważniejszych sprawach dotyczących ich bezpośrednio i ich spraw. Podkreślenia wymaga fakt, iż referendum daje duże możliwości wyrażenia swego stanowiska w określonej sprawie w głosowaniu przez ogół uprawnionych do tego obywateli.

Referendum jako najbardziej demokratyczna forma rządzenia umożliwia obywatelom bezpośrednie wyrażenie swojej woli, wskazanie swoich preferencji oraz kierunku, w jakim ma iść polityka, a także wskazuje rządzącym najistotniejsze kwestie, na które powinni zwrócić uwagę przy podejmowaniu wiążących decyzji. Udział w referendum daje społeczeństwu poczucie wpływu na losy swojego kraju, miasta, gminy czy powiatu, poczucie wpływu na zaangażowanie w losy narodu, a nie zostawienie podejmowania tych decyzji wyłącznie władzom politycznym.

Polska i polskie prawo potrzebują wzmocnienia i zmiany przepisów dotyczących instytucji demokracji bezpośredniej. Korzystanie w pełni z instytucji demokracji bezpośredniej wymaga wprowadzenia do porządku prawnego sankcji za niewprowadzenie do porządku prawnego wiążącego wyniku referendum, i to nie tylko na szczeblu ogólnokrajowym, lecz także na szczeblu lokalnym. Możliwość współdecydowania, a tym samym większa władza podejmowania konkretnych decyzji w najważniejszych kwestiach, daje obywatelom poczucie ważności ich głosu. Wymiar edukacyjny poprzez zainteresowanie społeczeństwa swoimi prawami też nie zostaje bez znaczenia, ponieważ daje ludziom chęć zainteresowania sprawami Polski i uwierzenie w możliwości „sprawczości" własnego głosu.

Na przestrzeni ostatnich lat ogólnopolskie referendum zostało przeprowadzone jedynie pięć razy, a w głosowaniu powszechnym rozstrzygano kwestie uwłaszczeniowe, prywatyzacyjne, przyjęcie nowej Konstytucji RP, przystąpienie Polski do UE, wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych, finansowanie partii politycznych, rozstrzyganie wątpliwości co do wykładni przepisów prawa podatkowego na korzyść podatnika. Tylko dwa referenda z powyższych okazały się ważne, ponieważ w pozostałych przypadkach frekwencja okazała się zbyt niska, aby wynik głosowania był dla władzy wiążący. Instytucja demokracji bezpośredniej została dana obywatelom już w konstytucji, która wprowadziła referendum, jednak całkowicie uzależniła je od organów państwowych. To Sejm i prezydent oceniają zasadność wniosków referendalnych i mają prawo do zarządzenia głosowania. Należy się zastanowić, czy nie zmienić tych zapisów, aby społeczeństwo mogło bardziej korzystać z przysługujących im praw. **AD**

Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji Niezależne Media
Akademia Demokracji – Referendum

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

Święto demokracji czy szkoła bojkotu?

dr Tomasz **Żukowski**

W Polsce demokracja bezpośrednia – i na szczeblu ogólnopolskim, i lokalnym – jest w praktyce nie szkołą obywatelskiej debaty, lecz szkołą bojkotu. To bardzo smutne, bo nie sprzyja budowie pozytywnych postaw. Wręcz przeciwnie – mówi dr Tomasz Żukowski, socjolog, wykładowca Wydziału Nauk Politycznych Studiów Międzynarodowych UW, doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego, z którym rozmawiamy o tym, czy referendum to narzędzie polityczne, które warto rozwijać. Rozmawia Jacek Liziniewicz.

eprasa.pl d598d8d6e5

Przez ostatnie miesiące jak mantrę politycy powtarzali, że referendum to najwyższa forma demokracji. Zgadza się Pan z tą opinią?

To jest jedna z dwóch głównych form demokracji. Możemy to łatwo sprawdzić nie tylko w podręcznikach, lecz także w pewnej ważnej książeczce, o której wielu mówi, ale którą mało kto czyta, czyli w polskiej konstytucji. Tam w stosownym miejscu (art. 4 ust. 2) znajduje się zapis, że „naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". Demokracja przedstawicielska (pośrednia) oznacza, że suweren (czyli naród) sprawuje władzę poprzez wybrany przez siebie parlament (a społeczności lokalne poprzez samorządowe rady). Demokracja bezpośrednia to decydowanie bezpośrednie, czyli przede wszystkim poprzez referenda. Współcześnie w większości państw, w tym w Polsce, ważniejsza jest demokracja pośrednia. Inaczej jest w Szwajcarii, gdzie szczególną rolę odgrywają referenda.
My Szwajcarią nie jesteśmy. Jeśli wczytamy się w naszą konstytucję, to dowiemy się, że ogólnokrajowe referenda w najważniejszych sprawach są możliwe w Polsce tylko wtedy, gdy zgodzą się na to nasi przedstawiciele. Zarządzają je albo Sejm, albo prezydent za zgodą Senatu (art. 125). Referenda są traktowane przez naszych politycznych przedstawicieli jako element nadzwyczajny, uzupełniający. Są przydatne, by dać dodatkową, ogólnonarodową legitymację kluczowym decyzjom podjętym przez polityczne elity (referendum konstytucyjne z 1997 roku i akcesyjne z 2003 roku). Służyły także społecznej mobilizacji, budowaniu dodatkowego poparcia w kwestiach elity dzielących (referenda reprywatyzacyjne z 1996 roku, referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych i finansowania polityki z 2015 roku oraz referendum w sprawie prywatyzacji, wieku emerytalnego, przymusowej relokacji i bariery na granicy z Białorusią z 2023 roku).

Jeśli wczytamy się w naszą konstytucję, to dowiemy się, że ogólnokrajowe referenda w najważniejszych sprawach są możliwe w Polsce tylko wtedy, gdy zgodzą się na to nasi przedstawiciele. Zarządzają je albo Sejm, albo prezydent za zgodą Senatu.

Dlaczego Polacy nie biorą udziału w referendach? Z sześciu ogólnokrajowych jedynie jedno przekroczyło frekwencję 50 proc. Pozostałe się nie udały, chociaż referendum konstytucyjne zostało uznane za ważne, bo w jego przypadku nie było wymogu formalnego w postaci progu.

Obowiązujące prawo decyduje, że takie głosowania bardzo trudno jest wygrać. Aby referendum ogólnokrajowe było wiążące, wymagana jest – zgodnie z art. 125 konstytucji – frekwencja na poziomie 50 proc. uprawnionych. To w realiach III RP bardzo dużo. Gdyby ta sama zasada obowiązywała w wyborach parlamentarnych, to aż pięć z jedenastu dotychczas przeprowadzonych skończyłoby się fiaskiem: w latach 1991, 1997, 2001, 2005, 2011 głosowało tylko po czterdzieści kilka proc. uprawnionych. Tak samo rzecz by się miała ze wszystkimi czterema wyborami do Parlamentu Europejskiego (frekwencja od 21 do 45 proc.).
Podobnie jest z referendami dotyczącymi odwołania władz samorządowych (w tym wójtów, burmistrzów, prezydentów miast), gdzie wymaga się frekwencji na poziomie 3/5 liczby osób, które głosowały w wyborach odwoływanego organu. W konsekwencji zdecydowana większość takich referendów jest nieważnych z powodu zbyt niskiej liczby głosujących. Na przykład w obecnej kadencji samorządów odwołanie powiodło się tylko w kilkunastu procentach przypadków, w pozostałych frekwencja była za niska. W przeszłych kadencjach chyba najlepiej znanym przykładem takiej sytuacji była nieudana próba odwołania prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Co o tym decyduje?

Wysokie progi frekwencyjne powodują, że najskuteczniejszą metodą zablokowania inicjatywy referendalnej jest bojkot, zniechęcenie ludzi do głosowania. I jest ona powszechnie stosowana. W ostatnim referendum wiele osób nie rozmawiało o plusach i minusach bariery na granicy polsko-białoruskiej czy o relokacji migrantów. Nie zestawiano także ze sobą zalet i wad wyższego i niższego wieku emerytalnego. Zamiast tego padały słowa o unieważnianiu referendum, niesłuszności tej inicjatywy. Jeden z politycznych obozów mobilizował do głosowania, drugi – do bierności, absencji. Podobnie rzecz się miała w miejscowościach, gdzie burmistrz czy wójt bronił się przed odwołaniem. Wszystkie zależne od niego osoby dostawały sygnał: do referendum iść nie należy.

Taka strategia jest patologiczna. Już samo wzięcie udziału w referendum staje się deklaracją. To absurd.

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP, ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

eprasa.pl d598d8d6e5

FREKWENCJA W REFERENDACH OGÓLNOKRAJOWYCH

32,40 %

Referendum o powszechnym uwłaszczeniu obywateli

18 lutego 1996 roku

32,44 %

Referendum o niektórych kierunkach wykorzystania majątku państwowego

18 lutego 1996 roku

42,86 %

Referendum konstytucyjne

25 maja 1997 roku

Niestety. Bojkot jest jednak skuteczny. Ostatnie przykłady ogólnopolskich referendów też to pokazują. W Polsce demokracja bezpośrednia – i na szczeblu ogólnopolskim, i lokalnym – jest w praktyce nie szkołą obywatelskiej debaty, lecz szkołą bojkotu. To bardzo smutne, bo nie sprzyja budowie pozytywnych postaw. Wręcz przeciwnie.

Czyja to wina? Polityków, którzy stosują taką taktykę, czy Polaków, którzy łatwo pozbywają się swoich konstytucyjnych przywilejów?

Jak już wspomniałem, jest to wina przede wszystkim uruchamiających patologiczne strategie polityczne procedur. To one powodują, że część Polaków przedkłada w referendach lojalność w stosunku do obozu, z którym sympatyzuje, nad własne interesy czy merytoryczne poglądy. Sprzyja temu narzucona w referendalnych debatach „bojkotowa narracja". Zjawisko takie nie dotyczy jednak wszystkich zwolenników „partii bojkotu". Przypomnijmy: w ostatnim referendum wzięło udział 12 mln obywateli, czyli blisko 41 proc. uprawnionych. Jeśli zestawimy liczbę osób głosujących w referendum (12,1 mln) z liczbą ludzi uczestniczących w wyborach, to okaże się, że 55 proc. tych, którzy byli na wyborach, zdecydowało się oddać głos w referendum. To było, według IPSOS, około 7 mln wyborców PiS, ponad 1,2 mln Koalicji Obywatelskiej, ponad 1,1 mln Konfederacji, blisko milion wyborców Trzeciej Drogi i około 400 tys. wyborców Lewicy. Niespełna 4 mln wyborców innych formacji niż PiS głosowało w referendum i zdecydowana większość z nich powiedziało „nie". Miażdżąca większość z nich głosowała więc za polskim kapitałem, za barierą na granicy, za polską podmiotowością w polityce migracyjnej, za niższym wiekiem emerytalnym.

Ponad 12 mln głosujących w referendum to bez wątpienia za mało, by wynik referendum był wiążący. Z drugiej strony to bardzo dużo ludzi, to kluczowy argument w debacie o kształcie przyszłej polskiej polityki. Niespełna 11 mln referendalnych głosów „nie" to przecież więcej niż liczba zwolenników konstytucji w referendum z roku 1997, czy liczba głosów zdobyta przez jakiegokolwiek zwycięskiego kandydata w wyborach prezydenckich.

Instytucja referendum bywa kwestionowana jako sprzeczna z zasadami demokracji przedstawicielskiej. Czytałem jedną z analiz Senatu, która opisuje wątpliwości grupy prawników. „[...] jako forma bezpośredniej wypowiedzi narodu-suwerena może mieć ono istotne znaczenie demokratyczne, ale nie można też zapominać o tym, że oddanie rozstrzygnięcia w ręce wyborców często oznacza odebra-

eprasa.pl d598d8d6e5

W POLSCE ORGANIZOWANYCH W LATACH 1996–2023

58,85 %

Referendum ws. przystąpienia Polski do UE

7–8 czerwca 2003 roku

7,80 %

Referendum dotyczące m.in. jednomandatowych okręgów wyborczych

6 września 2015 roku

40,91 %

Referendum dot. wieku emerytalnego, wyprzedaży majątku państwowego, relokacji imigrantów i zapory na granicy z Białorusią

15 października 2023 roku

nie prawa decyzji parlamentowi. Z tego punktu widzenia referendum zawiera pewien potencjał antyparlamentarny, zwłaszcza gdy zarządzenie referendum może następować bez udziału parlamentu". Czy rzeczywiście referenda wiążą się z niebezpieczeństwami? Przykład Wielkiej Brytanii byłby tutaj chyba spektakularny? Referendum w sprawie brexitu czy referenda organizowane w Szkocji? Czy jednak nie jest tak, że politycy boją się tego narzędzia i będą minimalizować jego znaczenie?

Jeśli chodzi o państwa Unii Europejskiej, to w oczywisty sposób rola referendum jest ograniczana. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy niespełna dwie dekady temu przygotowano Konstytucję dla Europy, czyli reformę wzmacniającą federalizację Unii Europejskiej, to była ona zatwierdzana przez wiele państw w drodze referendum. Oczywiście założono, że politycy przekonają opinię publiczną do swego punktu widzenia. Potwierdzały to także sondaże Eurobarometru. Dlatego tak bardzo zaskoczyło wielu głosowanie „nie" w unijnych matecznikach, we Francji i Holandii. Oba narody odrzuciły pomysł nowych traktatów. Był to wtedy głos obywateli przeciwko elitom politycznym, które w większości popierały Konstytucję dla Europy. Elity wyciągnęły z tego wniosek: rolę referendów zaczęto ograniczać. „Ludzie z Brukseli" uznali, że skuteczniejsze będzie budowanie scentralizowanej Unii w oparciu o Parlament Europejski (czyli demokrację pośrednią) oraz sądów z ich aktywizmem, interpretacjami prawa centralizującymi *de facto* UE. Dochodzi do tego, oczywista rzecz, oddziaływanie mediów. To widać gołym okiem.

Wysokie progi frekwencyjne powodują, że najskuteczniejszą metodą zablokowania inicjatywy referendalnej jest bojkot, zniechęcenie ludzi do głosowania. I jest ona powszechnie stosowana.

Ale w Polsce przecież będzie za chwilę identycznie.

FOT. ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

eprasa.pl d598d8d6e5

Na razie jest, jak było. Największa, praktyczna nowość (w ramach od dawna obowiązujących przepisów) to niedawne połączenie referendum z wyborami. Dopuszczane przez prawo, ale w praktyce dotąd niestosowane. Przypomnę, że rozwiązanie takie krytykowali powszechnie politycy opozycji, w tym lewicy. Ba, nawet „Gazeta Wyborcza" ogłosiła światu, że w taki sposób referendum przeprowadzał Adolf Hitler. Dziennikarz, który to pisał, albo nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć, że pierwsi politycy w Polsce, którzy planowali takie połączenie, to prezydent RP Aleksander Kwaśniewski i ówczesny marszałek Sejmu Włodzimierz Cimoszewicz. Swe plany ewentualnego połączenia referendum w sprawie przyjęcia Europejskiego Traktatu Konstytucyjnego i wyborów prezydenckich ogłosili 18 maja 2005 roku na konferencji prasowej.
Obóz pokomunistycznej lewicy ostatecznie się z tego pomysłu wycofał po tym, jak Traktat przepadł we Francji i Holandii. Dodatkowo z sondaży, które zrobiono w Polsce po tych dwóch referendach, wynikało, że takie głosowanie może skończyć się porażką euroentuzjastów. Dlatego nie połączono obu głosowań, co z pewnością przyczyniło się do większej wyborczej porażki Sojuszu Lewicy i do tego, że wypadł on z pierwszej ligi politycznej. Rolę referendów osłabiło głosowanie ogłoszone w 2015 roku przez Bronisława Komorowskiego (katastrofalnie niska frekwencja 7,8 proc.). Inaczej było w październiku 2023 roku. Okazało się, że połączenie referendum z wyborami ma bardzo duży potencjał mobilizacyjny, który – po ewentualnych zmianach utrudniających stosowanie strategii bojkotu i zwiększających gotowość stron sporu do merytorycznej debaty – może zostać wykorzystany do wzmocnienia roli demokracji bezpośredniej w skali państwa.

Naród powinien zachować swoją przestrzeń bezpośredniego decydowania. Na pewno powinna obejmować ona to, co lokalne, najbliższe miejscu zamieszkania. Tu rola referendów powinna być zwiększona.

Dzień referendalny jest teraz jednym z pomysłów PSL-u. Chce on, aby społeczeństwo raz w roku miało możliwość się wypowiedzieć. Aby jednego dnia odbywały się referenda lokalne i ogólnopolskie w różnych sprawach. To dobry pomysł? Wierzy Pan w to, że politycy ułatwią demokrację bezpośrednią?

Nie jestem takim zwolennikiem demokracji bezpośredniej, który uważa, że ludzie powinni głosować często w wielu kwestiach, zastępując swoich przedstawicieli. W takim kraju jak Polska, o takiej wielkości i z tak dużymi wyzwaniami (i takimi uwarunkowaniami geopolitycznymi), główna odpowiedzialność powinna spadać jednak na mądrze działających przedstawicieli. Chociaż uważam, że w sprawach szczególnie ważnych, ale może nie takich, które dotyczą spraw życia, sumienia, ogólnokrajowe referenda powinno się organizować. Myślę, że społeczeństwo powinno decydować w kwestiach modelu gospodarczego czy polityki społecznej. No i oczywiście – w tej sprawie decyzję powinny podejmować i przedstawicielskie elity, i bezpośrednio naród – w sprawach suwerenności. A jeśli chodzi o dzień referendalny, myślę, że byłby on przydatny w odniesieniu do spraw lokalnych.

Głos ludu powinien być w demokracjach wysłuchiwany i oczekiwany. Wspomniał Pan o tym, że referendum jest instytucją, której znaczenie się osłabia. Przynajmniej w państwach Unii Europejskiej. Czy państwa, które walczą z ideą referendum, można nazwać demokratycznymi? Czy może to już jakaś demokracja liberalna albo wręcz pierwszy krok do oligarchizacji?

Myślę, że podstawowe zagrożenie dla demokracji w Europie pojawia się w innym miejscu. Prawdziwym problemem jest nadmierny aktywizm, ekspansja władzy sądowniczej. To jest moim zdaniem największe zagrożenie dla tradycyjnie rozumianej demokracji. Coraz więcej kwestii, które były rozstrzygane przez polityków wybranych przez naród czy bezpośrednio w referendach, staje się domeną władzy sądów.
Tu mała dygresja. Kiedy czytam tekst, w którym przekonuje się nas, że jeżeli sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa będą wybierali sędziowie, to będzie bardziej demokratycznie niż gdyby miał ich wybierać parlament, to muszę powiedzieć, że pojęciu demokracja próbuje się tu nadać inne znaczenie. Można powiedzieć, że takie rozwiązanie umocni korporację prawniczą, że da jej możliwość wybierania własnych przedstawicieli do ważnego, konstytucyjnego organu. Można wreszcie mówić, że da to władzy sądowniczej większą niezależność. Ale zgódźmy się – wybieranie sędziów przez posłów, biorąc pod uwagę, że ci ostatni są wybrani przez naród – jest bardziej demokratyczne. Może też

eprasa.pl d598d8d6e5

służyć – rzecz do poważnej dyskusji – równoważeniu słabnącej władzy ustawodawczej i umacniającej się – sądowniczej. Czyli, jak Pan widzi, słowo demokracja bywa używane do pochwały czegoś, co jest liberalnym elementem tego systemu ustrojowego. To jednak na marginesie.

Wracając do Pańskiego pytania, zgodzę się z tym, że ograniczenie demokracji bezpośredniej osłabia pozycję narodu jako suwerena. Można zgodzić się z tym, że rządzenie skomplikowanymi organizmami, jakimi są współczesne państwa, wymaga wiedzy specjalistycznej, którą dysponują raczej wyłonieni przez naród fachowcy – zawodowi politycy – niż ogół ludzi. Nie zmienia to jednak faktu, że naród powinien zachować swoją przestrzeń bezpośredniego decydowania. Na pewno powinna obejmować ona to, co lokalne, najbliższe miejscu zamieszkania. Tu rola referendów powinna być zwiększona. I nie jest to, w przypadku Polski, trudne do przeprowadzenia. Wystarczą zmiany stosownych ustaw, w tym – jak już mówiliśmy – wprowadzenie „dnia referendalnego" i obniżenie progu frekwencji dla głosowań w sprawie odwołania władz samorządowych. Wymusiłoby to na rywalizujących stronach merytoryczne debaty ograniczając (likwidując?) najskuteczniejsze dziś strategie bojkotu.

Szczególnego namysłu wymaga rola referendów ogólnokrajowych. Rozważyłbym trzy kwestie: wyłączenie z listy kwestii poddawanych pod takie głosowanie spraw życia i śmierci (a więc kary śmierci i sprawy ochrony życia), przyjęcie szczególnych regulacji dotyczących referendów przeprowadzanych w dniu wyborów parlamentarnych (w tym przyznanie prawa do zadawania pytań zarówno większości, jak i odpowiednio licznej mniejszości parlamentarnej) oraz obniżenie progu głosów wymaganych, by referendum było wiążące, do 30 lub 40 proc. (albo ponad połowy głosujących w wyborach parlamentarnych).

I jeszcze jedna ważna kwestia. Obecnie takie referendum może zarządzić Sejm albo prezydent za zgodą Senatu. To sytuacja potencjalnie niebezpieczna. Może się stać, i mogło się stać całkiem niedawno, że dwa główne rywalizujące obozy, kontrolując część wymienionych urzędów, uruchamiają równocześnie własne procedury referendalne, co może prowadzić do referendalnych wojen (a nawet do dwóch przeciwnych odpowiedzi na pytania dotyczące tej samej kwestii). Tak mogłoby się stać, gdyby w roku 2020 wybory prezydenckie wygrał Rafał Trzaskowski. Trudno sobie wyobrazić, jak rozedrgałoby to system polityczny i życie publiczne, gdybyśmy mieli dwa werdykty – sprzeczne ze sobą – po długotrwałej kampanii angażującej wiele milionów ludzi. Tutaj prawo powinno zostać zmienione. Z którejś z tych procedur należałoby zrezygnować albo je, nowelizując konstytucję, skoordynować.

Na koniec dodałbym jeszcze jedną, najważniejszą rzecz – jak już rozmawiamy o demokracji. Otóż ten system nie istnieje w skali krajów bez suwerennego państwa. A wiele na to wskazuje, że sprawa suwerenności państw będzie zasadniczym, europejskim i polskim, sporem w najbliższych latach. Już nim się staje. Tak się bowiem składa, że postępujący proces federalizacji i centralizacji Unii Europejskiej zmierza ku ograniczeniu suwerenności państw narodowych, w tym Polski, a w konsekwencji zawęża przestrzeń dla demokracji. I tej pośredniej, i tej bezpośredniej.

Referenda byłyby bez sensu, jeżeli państwo nie miałoby kompetencji. Głos referendalny ogólnopolski byłby nieistotny, bo nie miałby on wagi tam, gdzie zapadałyby decyzje: w skali ogólnoeuropejskiej.

I tak, i nie. Najprawdopodobniej może pozostać przestrzeń dla referendów lokalnych. Jednocześnie mogą być organizowane referenda ogólnoeuropejskie. Odpowiednio przygotowane mogą stać się elementem odbierania państwom części suwerenności, w tym ograniczania roli parlamentów narodowych, gdzie na co dzień uprawia się demokrację pośrednią.

Miałem wrażenie, że Unia Europejska pilnie śledzi doniesienia o polskim referendum. Tak jakby była tam świadomość wagi głosu społeczeństwa.

Tak. Rządząca przez dwie kadencje polska prawica broniła filozofii Unii jako organizacji łączącej państwa narodowe i suwerenne – oczywiście ze znaczącym polem wspólnym, ale jednak suwerenne. Polityka Polski z tego ośmiolecia z całą pewnością wyhamowywała procesy federalizowania i centralizowania UE. Z jednej strony płaciliśmy za to różnego rodzaju sankcjami, z drugiej – zachowywaliśmy podmiotowość (w tym własną walutę) ułatwiającą nasz rozwój. Kolejne, stabilne rządy prawicy w Polsce mogłyby wzmocnić podobne, prosuwerennościowe tendencje w innych państwach europejskich.

Wynik ostatnich polskich wyborów i referendum z pewnością zwiększył prawdopodobieństwo przyspieszenia próby centralizacji Unii Europejskiej. **AD**

Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji Niezależne Media
Akademia Demokracji – Referendum

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

kademia emokracji

REFERENDUM

Nie istnieje wspólnota obok nas. Brakuje też akademickiej dyskusji wśród wielu środowisk, czym jest własne państwo. Spotkanie różnych ludzi, zawodów, koncepcji, doświadczeń – to tkanka społeczna, której u nas nie ma. Jeśli tak jest, to jak można myśleć i działać w kategoriach państwowych? – zastanawia się prof. Anna Łabno, konstytucjonalistka, wykładowca Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W rozmowie z Grzegorzem Wszołkiem prawniczka komentuje wyniki referendum z 15 października i omawia wady i zalety demokracji bezpośredniej.

eprasa.pl d598d8d6e5

prof. Anna **Łabno**

Potrzebne nam większe poczucie odpowiedzialności za państwo

FOT. ADAM GUZ/PAP, ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

eprasa.pl d598d8d6e5

Pani Profesor, czym jest referendum dla obywateli, niezaznajomionych na ogół z kwestiami prawnymi, a czym dla prawników, w kontekście ustrojowym? Czy tu zachodzi jakaś istotna różnica w podejściu?

Nie powiem, by było to łatwe pytanie, gdyż należałoby przyjąć pewne wyjściowe założenia. Tym bardziej że odpowiadam jako prawnik konstytucjonalista. Przede wszystkim, szczerze mówiąc, nie wiem, co Polacy w większości sądzą na temat instytucji referendum – czy uważają, że jest korzystnym środkiem w systemie demokratycznym, czy raczej odwrotnie. Sądzę, że w naszym kraju będzie trudno uzyskać jednoznaczną odpowiedź. A prawnicy? W tradycyjnym ujęciu wszystkie instytucje demokracji bezpośredniej były traktowane jako „konkurencja" dla parlamentu. Chodziło o to, że interesy narodowe reprezentuje poseł – z odpowiednimi uprawnieniami, narzędziami. I to on przedstawia stanowisko suwerena, ponosząc też odpowiedzialność polityczną, czasem prawną. W związku z tym, jeśli zamierzamy wprowadzać instytucję demokracji bezpośredniej, to tworzymy niejako konkurencję między obiema formami wykonywania władzy. Trzeba się zatem dobrze zastanowić, w jakim zakresie demokracja bezpośrednia powinna w danym systemie funkcjonować. Druga grupa prawników, specjaliści w dziedzinie prawa konstytucyjnego, opowiada się za wprowadzeniem referendum w szerszym stopniu. Myślę, że wprowadzanie takich instytucji jak referendum przede wszystkim wymaga upowszechnienia jego znaczenia politycznego, skutków, które może ono powodować, a które mogą mieć zasadnicze znaczenie dla państwa. Wykorzystanie pewnych instytucji ustrojowych w szczególny sposób zależy od typu kultury prawnej i politycznej, by były skuteczne. Inaczej rzecz ujmując – potrzebna jest rozwaga przy ich wprowadzaniu, bo mogą powodować także negatywne konsekwencje.

Niestety, tendencja jest taka, że słabo się angażujemy. Moim zdaniem, nie rozumiemy do końca, że to, co dzieje się w państwie, zależy od nas. Tak wiele osób kończy studia wyższe i chce mieć szczególny status, dobre warunki życia, a nie dostrzega, że coś z siebie trzeba dać, na przykład aktywność obywatelską.

Jakie? Zbytnia zwięzłość pytań lub rozwlekłość, kwestia interpretacji zagadnień przez polityków?

Referendum może prowadzić często do przypadkowych decyzji. Odpowiednie postawienie pytania to wcale nie jest prosta sprawa. Odpowiedzialne udzielenie odpowiedzi też łatwe nie jest. A skutki, jeśli referendum było rozstrzygające, mogą być negatywne.

Niektórzy prawnicy optują za tym, by referendum marginalizować, bo mamy przecież posłów. Ale wyniki mogą też być drogowskazem dla parlamentarzystów, w którą stronę chcą podążać obywatele.

Z pewnością tak. Istnieje grupa sceptycznych prawników, o takim klasycznym podejściu do systemu wykonywania władzy, która zdecydowanie opowiada się za modelem przedstawicielskim, a w nim referendum jest środkiem wyjątkowo stosowanym. Owszem, gdy się przegląda dokumentację Komisji Konstytucyjnej dotyczącą prac nad naszą konstytucją, to można zauważyć, że przedstawiano projekty wprowadzenia skutecznego referendum umocowanego w ustawie zasadniczej – jest wiele koncepcji. Jeśli referendum ma być istotnym środkiem naszej demokracji, to powtórzę: powinno się je wprowadzać do kultury prawnej i politycznej. A to, niestety, nie następuje. Nie jestem przeciwniczką referendum, żeby była jasność, ale uważam, że mogłoby ukierunkowywać na sprawy o fundamentalnym znaczeniu dla państwa. Choć i w takim przypadku znajdą się niepożądane odpowiedzi i problem, w jaki sposób władza polityczna ma się zachować. Kiedy podejmie się ryzyko zadania pytania, a odpowiedź w oczywisty sposób nie będzie racjonalna, to wtedy mogą się pojawić poważne problemy polityczne.

Jesteśmy po referendum połączonym z wyborami. Potrzebna była zmiana ustawy, aby można było przeprowadzić wspólnie te głosowania. Część prawników zarzucała, że to niekonstytucyjne. A Pani zdaniem?

Nie dostrzegam takiego problemu, a nawet nie rozumiem, skąd bierze się to twierdzenie. Te dwa sposoby sprawowania władzy nie warunkują się wzajemnie. Trudno uznać, by jedna metoda zaważyła na drugiej. W dyskusji pojawiał się też wątek wykorzystania kampanii wyborczej, ale tak naprawdę to odrębne zagadnienie. Każda zainteresowana siła polityczna mogła w niej uczestniczyć, i to robiła.

Ponad 40 proc. uprawnionych poszło do urn i zagłosowało na cztery pytania referendalne – w sprawie

eprasa.pl d598d8d6e5

wieku emerytalnego, wyprzedaży majątku państwowego, imigrantów i zapory na granicy z Białorusią. To dużo czy mało? Mówimy o ponad 12 mln polskich obywateli.

To również nie jest łatwe pytanie, bo dotyczy sprawdzenia, jak instytucje są zakorzenione w polskim społeczeństwie. Kto dokładnie poszedł na referendum? Z jakich motywacji? Jakich pokoleń to dotyczyło? Mieszkańców miast, dużych, małych, w jakiej liczbie mieszkańców wsi? Ustalamy opinię na temat referendum czy wykorzystania innych instytucji demokracji na podstawie ich stosowania w dłuższym przedziale czasu? Można wyciągać wnioski ze wspomnianych ustaleń.

Czyli potrzebujemy dogłębnych badań na temat referendum z 15 października.

Uważam, że byłoby to wskazane. Wtedy mógłby to być argument za popularyzacją referendum albo za stwierdzeniem, że jednak nie jest wysoko ocenione przez obywateli.

W wielu lokalach wyborczych część osób z komisji zadawała pytania wyborcom o to, „czy wydawać dodatkową kartę". Nie kartę z nazwiskami kandydatów do Sejmu czy Senatu, a właśnie tę dotyczącą referendum. Czy było to niewłaściwe zachowanie, wpływające na ewentualną decyzję wyborcy? Wynikało z niewiedzy?

Z niewiedzy takie zachowania komisji nie mogły wynikać – tak należy założyć. To ludzie, którzy odbyli szkolenie, wiedzą, jak mają się zachować. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że członkowie komisji nie powinni byli pytać, czy ktoś chce wziąć kartę referendalną. Takie pytanie może być uznane za naruszenie swobody głosowania, a to jest jedno z przestępstw przeciwko referendum. Zadanie takiego pytania jest upublicznieniem naszej decyzji o udziale w referendum. W dodatku – biorąc pod uwagę atmosferę polityczną – pytanie to zawiera sugestię co do postawy i przekonań wyborcy. Komisja w lokalu wyborczym nie może oddziaływać na wyborcę, a taki skutek wywoływało pytanie z życzeniem o wydanie karty.

Część liberalnych dziennikarzy pytała, co złego jest w pytaniu „czy życzy sobie Pan/Pani wydania karty?", skoro ktoś przychodził do lokalu wyborczego zdecydowany w swojej decyzji i usłyszał grzeczny zwrot ze strony członka komisji. „To przecież nie mogło zmienić czyjegoś nastawienia" – padało w komentarzach.

A dlaczego nie pytano, czy życzył Pan sobie kartę do Sejmu lub Senatu? W ogóle komisja nie ma prawa pytać wyborców o to, co sobie życzą. Przychodzimy do lokalu wyborczego, by oddać głos, otrzymując komplet kart, a nie wybiórczo. To my możemy od razu powiedzieć, że nie chcemy wydania jednej z kart. To nic innego, jak publiczne zadawanie pytań w kwestiach objętych prawem wyborczym. Poza wszystkim, chodzi o atmosferę, którą się wprowadza, nacisk na wyborcę.

Naruszeniem tajności może być – wedle opinii krytyków referendum – samo wzięcie karty referendalnej, ponieważ wówczas wszyscy w lokalu widzą, ile kart bierzemy.

Jednak wówczas to nie jest problem tajności. Różne rzeczy może zrobić z kartą uczestnik referendum, natomiast niedopuszczalne są tendencyjne działania członków komisji.

Wiele organizacji pozarządowych, skonfliktowanych z PiS, kontestowało sens organizacji referendum. Inicjatywa Wolne Sądy wzywała do udziału tylko w wyborach, Amnesty International nazywała referendum

Według oficjalnych wyników Państwowej Komisji Wyborczej, frekwencja w referendum 15 października br. wyniosła 40,91 proc. Wynik referendum nie był zatem wiążący. Oto jak głosujący odpowiedzieli na poszczególne pytania referendalne:

PYTANIE 1.

Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?

NIE	TAK
96,49 % GŁOSUJĄCYCH	3,51 % GŁOSUJĄCYCH

PYTANIE 2.

Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?

NIE	TAK
94,61 % GŁOSUJĄCYCH	5,39 % GŁOSUJĄCYCH

PYTANIE 3.

Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?

NIE	TAK
96,04 % GŁOSUJĄCYCH	3,96 % GŁOSUJĄCYCH

PYTANIE 4.

Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

NIE	TAK
96,79 % GŁOSUJĄCYCH	3,21 % GŁOSUJĄCYCH

Wyniki referendum. Dane PKW

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

w spocie „ośmieszaniem praw człowieka", „straszeniem Unią i imigrantami", a także „manipulacją". Czy takie inicjatywy mogły wpłynąć na frekwencję?

Z pewnością. Ludzie są podatni na różne wpływy, również organizacji pozarządowych, bardzo popularnych w Polsce, zwłaszcza w niektórych środowiskach. Obywatele często kierują się szczytnymi hasłami, takimi jak obrona praw człowieka, nie zawsze mając świadomość, że za nimi kryje się po prostu polityka. Bo NGO-sy w ostatnich latach, i nie tylko, wyspecjalizowały się w zaangażowaniu, jednocześnie udając bezstronne. Sprawiają też wrażenie, jakby były poza jakąkolwiek kontrolą. Jest jakieś powszechne założenie, że to struktury nieuczestniczące w polityce, a kierujące się ideami, hasłami. Tymczasem często jest odwrotnie.

Mimo podnoszonych zarzutów na przykład o pytania w komisjach wyborczych nie uda się nikomu podważyć ważności referendum w Sądzie Najwyższym? Co ma wpływ na tak donośną decyzję?

Byłoby to bardzo skomplikowane. Konieczne byłoby ustalenie, czy skala naruszeń prawa jest tak duża, że miała wpływ na wynik. Sąd Najwyższy musi to wykazać na podstawie złożonych protestów. A te muszą spełniać warunki formalne, a przede wszystkim dobrze dokumentować naruszenia prawa.
Podobnie działa zbadanie protestów w sprawie ważności wyborów. Trzeba być uzbrojonym w szczegółową wiedzę, by odpowiedzieć jednoznacznie, że gdyby nie jakiś proceder, to referendum byłoby wiążące. Mało tego, trzeba też udowodnić na przykład, że dane zachowanie miało jednoznaczny wpływ na decyzję wyborcy. Udokumentowanie, a życie w przekonaniu, że coś negatywnego się wydarzyło, to dwie różne rzeczy. Reasumując, podważenie wyników referendum jest mało realne.

Pani Profesor, co powinno się zmienić w prawie odnośnie do referendum? Może zmienić próg, który obecnie wynosi powyżej 50 proc. osób uprawnionych do głosowania? Dla niektórych komentatorów prореferendalnych jest on zbyt wysoki. Gdyby obowiązywał w maju 1997 roku, nie byłoby zgody na zmianę konstytucji – wówczas do urn poszło 42,86 proc. uprawnionych – z czego 52,70 proc. odpowiedziało „tak". Dwudniowe głosowanie w sprawie akcesji Polski do Unii Europejskiej w 2003 roku również nie cieszyło się oszałamiającą popularnością – wynik 58,85 proc. można uznać nawet za bardzo przeciętny.

Niestety, tendencja jest taka, że słabo się angażujemy. Moim zdaniem, nie rozumiemy do końca, że to, co dzieje się w państwie, zależy od nas. Tak wiele osób kończy studia wyższe i chce mieć szczególny status, dobre warunki w życia, a nie dostrzega, że coś z siebie trzeba dać, na przykład aktywność obywatelską. Nasza konstytucja wyraźnie mówi, że państwo jest „dobrem wspólnym wszystkich obywateli". Ta fraza nie jest przełożona na sposób rozumowania, co to znaczy być obywatelem, patriotą. To program dla tych, którzy mają wyrobione poczucie obywatelskości. A nie jest on upowszechniony. Organizacji zajmujących się tym jest naprawdę bardzo mało. Chyba zaniedbaliśmy jednak poczucie odpowiedzialności jako naród za własne państwo. Ono zależy od tego, jak my je traktujemy. Nie istnieje wspólnota obok nas. Brakuje też akademickiej dyskusji wśród wielu środowisk, czym jest własne państwo. Spotkanie różnych ludzi, zawodów, koncepcji, doświadczeń – to tkanka społeczna, której u nas nie ma. Jeśli tak jest, to jak można myśleć i działać w kategoriach państwowych?

W 2017 roku PiS wysłało do konstytucjonalistów tzw. ankietę konstytucyjną. Natomiast prezydent planował również zorganizować referendum, w którym odpowiedzielibyśmy na pytanie, w jaką stronę powinniśmy zmierzać: systemu parlamentarno-gabinetowego, jak obecnie, czy prezydenckiego. Z pomysłu ostatecznie się wycofano. Jaka jest Pani opinia?

Ankieta nie spotkała się z zainteresowaniem konstytucjonalistów, którzy negatywnie odpowiedzieli na przedsięwzięcie, uważając, że to działanie partyjne. Przeprowadzili swoją ankietę i jej wyniki zamieścili w „Państwie i Prawie". Natomiast ja brałam udział w przygotowaniu i opracowaniu ankiety PiS-u. Prezydent z kolei miał swoją wizję ewentualnych zmian ustrojowych. W projektowanym referendum m.in. zamierzał przedstawić pytanie dotyczące wyboru pomiędzy systemem parlamentarno-gabinetowym a prezydenckim. Referendum ostatecznie nie doszło do skutku.
W Polsce nie ma warunków dla systemu prezydenckiego, podobnie jak w całej Europie. Wszystkie próby wykorzystania wzorca amerykańskiego kończyły się niepowodzeniem, gdyż żeby tak fundamentalnie zmienić system, musi być spełnionych wiele warunków, na przykład polityczne, kulturowe. Nie można też zapominać o znaczeniu tradycji – w Polsce rządów parlamentarnych. Jednak w niektórych krajach pozycja prezydenta została wzmocniona, czego jednoznacznym przykładem jest Francja. Warto zauważyć, że prezydent w Polsce ma także relatywnie silną pozycję, a dowodem tego jest stosowanie weta. Polacy cenią sobie instytucję prezydenta i propozycja dalszej parlamentaryzacji systemu nie znalazła poparcia. Przekonano się o tym, gdy środowisko byłych prezesów TK: Andrzeja Zolla, Jerzego Stępnia i Marka Safjana wystąpiło z koncepcją

eprasa.pl d598d8d6e5

wyboru prezydenta przez specjalne kolegium. Ten pomysł nie spodobał się Polakom.

Nie było tu związku z konfliktem premiera Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim w zakresie prowadzenia polityki zagranicznej? Później ujawnił się on z całą mocą, gdy doszło do sporu o „krzesło" na szczycie Brukseli.

Grupa prawników związana z PO od dawna postulowała zmianę systemu w kierunku parlamentarno-gabinetowym, a wspomniany konflikt tylko w pewnym stopniu był zapewne źródłem propozycji. Uważałam wówczas, że nie należy zmieniać konstytucji, ponieważ polski system jest powszechnie akceptowany i adekwatny do naszych potrzeb. Sondażowe badania wskazywały, że Polacy wcale nie chcieli ograniczać pozycji prezydenta, by sprowadzać go do roli symbolu.

Strażnika żyrandola.

W badaniach opinii społecznej przeważał pogląd, że prezydent powinien mieć jednak kompetencje zagwarantowane w konstytucji z 1997 roku. Jestem przekonana, że system prezydencki w modelowej formule amerykańskiej nie przyjąłby się w Polsce. Pewien element prezydencjalizmu mamy we Francji, w pewnym okresie w krajach skandynawskich, ale nic poza tym. Rozwiązania amerykańskie nie pasują do specyfiki europejskiej. W Europie mamy utrwalone różne formy parlamentaryzmu. Prezydent z kolei posiada spore prerogatywy – popatrzmy choćby na wspomniane już weta Andrzeja Dudy o bardzo istotnym znaczeniu dla większości sejmowej.

Co innego, gdyby znalazła się grupa 276 posłów do odrzucenia weta na sali sejmowej. Wtedy prezydent sporo traci na znaczeniu.

Referendum może prowadzić często do przypadkowych decyzji. Odpowiednie postawienie pytania to wcale nie jest prosta sprawa. Odpowiedzialne udzielenie odpowiedzi też łatwe nie jest. A skutki, jeśli referendum było rozstrzygające, mogą być negatywne.

Wówczas sytuacja diametralnie się zmienia, ale zebranie takiej większości nie jest łatwe.

Jest szansa na referendum w nadchodzącej X kadencji Sejmu. Mowa o aborcji – projekt liberalizacji przepisów, czyli usuwania ciąży do 12. tygodnia bez ograniczeń, popierany przez KO i Lewicę, nie ma szans powodzenia, natomiast Trzecia Droga coraz silniej akcentuje potrzebę zapytania Polaków o zdanie. Pani zdaniem to może się udać?

A jak kwestię aborcji połączyć z referendum w tej sprawie, skoro mamy prawną ochronę życia gwarantowaną w konstytucji? To fundamentalna kwestia, którą musi się wziąć pod uwagę. Już nie wspomnę o problemie, czy w sprawach moralności i etyki można głosować. Dla wielu to nie jest argument, gdyż słyszymy o aborcji jako prawie człowieka. Dopóki w naszej konstytucji są przepisy o ochronie życia, liberalizacja przepisów byłaby niemożliwa. A referendum? Może być radykalna większość w kierunku „unowocześniania", ale też nie zdziwiłabym się bardzo, gdyby wahadło odbiło w drugą stronę.

Paweł Kukiz proponował kilka lat temu wprowadzenie obligatoryjnego referendum – ponadto w gminach i miastach coroczne, dotyczące budżetu. Muzyk jest też zwolennikiem wypowiadania się co jakiś czas w takiej formie na tematy polityczne i był bardzo zawiedziony postawą Polaków w tym roku. Referenda powinny być organizowane częściej?

Nie twierdziłabym, że potrzeba nam obligatoryjnych referendów, nawet lokalnych. Podstawowym sposobem sprawowania władzy w Polsce jest demokracja przedstawicielska. Natomiast bezpośrednia – jest formą uzupełniającą. Ale też w żadnym wypadku nie rezygnowałabym z takiej formy demokracji. Nie jestem też przekonana do schematycznego regulowania tej instytucji. Nawet na szczeblu lokalnym nie wydaje mi się to celowe. Mam wrażenie, że w polskim modelu sprawowania władzy referendum nie zajmuje mocnej pozycji. Tym bardziej wziąwszy pod uwagę wielkość gmin. Automatyczne podejście do głosowania lokalnego nie wydaje się rozwiązaniem pożądanym. Gdyby spojrzeć na miasta, to w jaki sposób ocenić potrzebę organizacji referendum? Wszelki automatyzm wymuszany na aktywności społecznej wydaje się bardziej obciążeniem niż zaletą. **AD**

Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji Niezależne Media
Akademia Demokracji – Referendum

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

kademia emokracji

REFERENDUM

Jakub Augustyn **Maciejewski**

Świętsze niż wybory. Rzecz o referendum

Państwa prawdziwie demokratyczne są rozwinięte i skomplikowane na tyle, że nie sposób nimi rządzić bezpośrednio. W wyborach zatem wybieramy swoich przedstawicieli, na których mamy już wpływ ograniczony, choć jest moment, gdy od wyniku naszego – a nie posłów – głosowania zależy najwięcej – jest to referendum.

eprasa.pl d598d8d6e5

FOT. ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

eprasa.pl d598d8d6e5

„Niewątpliwym znakiem i przepowiedzeniem upadku narodów są praw ogromne tomy" – martwił się u schyłku I Rzeczypospolitej Adam Wawrzyniec Rzewuski. Ten pisarz polityczny był przeciwnikiem Konstytucji 3 maja, bo przerażał go cały system rządzenia, w którym szlachta – jako wyborcy – wybiera swoich przedstawicieli na dłuższy czas (nie na jedno posiedzenie) i powierza im rządy wraz ze wzmocnionym królem. Jednak scentralizowanie państw europejskich w XVII wieku postawiło narody przed dylematem – albo silna władza centralna z regularną armią i podatkami, albo słabe państwo, ale mniej demokracji, albo – jak w przypadku Francji rewolucyjnej – demokracja jedynie pośrednia.

Demokracja nieskomplikowana

Rzewuski sam sobie zdawał z tego sprawę – złożony system musi mieć wiele praw i instytucji: „Zła jest ta machina, w której, aby ją poruszyć, sprężyn i kółek niezmnierną liczbę zawiesić potrzeba". A jednak taka przyszła nowożytna rzeczywistość – dziś ustroje są jeszcze bardziej skomplikowane, więc tym bardziej instytucja referendum jest absolutnie wyjątkowa w swoim rodzaju. Jako narzędzie demokracji bezpośredniej spełnia marzenie takich konserwatystów jak Rzewuski – prostota zagadnień, jednoznacznie wyrażona wola – ale i postępowców, którzy chcą włączać masy do decydowania o wszystkim. Referendum można by śmiało uznać za mityczne zgromadzenie ogólne, na którym wszyscy opowiadają się za różnymi decyzjami – iść na wojnę, migrować, budować mury? Taką rolę w czasach przedchrześcijańskich mogły spełniać wiece całego plemienia, które zbierało się w wyjątkowych sytuacjach – na przykład starożytni Hetyci (z terenów dzisiejszej Turcji) mieli w ten sposób ustanowić założenie monarchii (około 1500 roku przed Chrystusem) na zebraniu zwanym „pankus". Znowu jednak pojawił się dylemat – albo wola ludu, ale słabe państwo, albo silny i niezależny władca, za to z narzędziami do stworzenia mocarstwa.

Demokracja dalekowzroczna

Starożytni Grecy nie mieli Państwowej Komisji Wyborczej, ale głosowali na wspólnej przestrzeni i większością głosów rozstrzygali najróżniejsze sprawy. Słynny był spór Temistoklesa z Arystydesem w 492 roku przed Chrystusem, gdy po odkryciu wielkich złóż srebra Ateńczycy mieli zdecydować – czy pieniądze będą rozdane obywatelom (Arystydes), czy przeznaczone na wielką flotę i cele militarne (Temistokles). Wybrano opcję drugą, rozpoczynając imperialną historię wśród Greków i zmieniając bieg historii, co pokazuje, że ówczesne referendum nie tylko pchnęło Ateny na drogę do wielkości, lecz także pokazało, że była to wola mieszkańców, a nie tylko skutecznych władców.
Dodatkowo ten przykład pokazywał, że dojrzałe społeczeństwo może wybierać z rozważeniem długoterminowej perspektywy. Przecież Arystydes obiecywał pieniądze każdemu do ręki, a Temistokles jedynie budowanie floty, wysiłki wojenne i narażanie życia w obcych stronach – a jednak wspólnota chciała tego drugiego. Dodajmy do tego fakt, że Arystydes uchodził za niezwykle cnotliwego i uczciwego patriotę – ale jednak Ateńczycy chcieli potęgi państwa i taką wolę wyrazili w swoistego rodzaju referendum.

Mityczne referendum w Glinianach

W polskiej mitologii politycznej w I Rzeczypospolitej istniało niejako referendum, które obrosło w romantyczną legendę „rokoszu gliniańskiego". Ów zjazd szlachty (a więc wszystkich chętnych wyborców) był jak referendum przeciwko polityce Ludwika Węgierskiego, który rządził po Kazimierzu Wielkim, ale reprezentował bardziej interesy węgierskie niż polskie. Sam rokosz gliniański nie miał miejsca w historii, lecz był symbolem narzucenia przez naród konkretnych rozwiązań wobec władcy – przez setki lat szlachta wierzyła, że gdyby coś złego działo się z państwem, to może zrobić powtórkę takowego rokoszu – było to wyobrażone jako „sejm konny", gdzie obecni (a więc „głosujący") podejmowali decyzję nie jednomyślnie – jak w izbie poselskiej – lecz właśnie większością głosów – identycznie jak w idei współczesnego referendum.
Gdy Polska nie miała państwa, referendum było bardziej osobliwe – kto w 1830 lub 1863 roku brał za szablę czy kosę – ten był za niepodległością, kto znajdywał powody, by zostać w domu – w najlepszym wypadku był wyznawcą autonomii, a w najgorszym – zdrajcą. Jednak gdy naród nie ma własnego państwa, to takie plebiscyty prowadzi się nie w demokratycznych standardach, lecz kosztem krwi obywateli. Można więc powiedzieć, że XIX wiek przyniósł nam referenda czynu, które były tak bardzo wiążące, że po 150 latach obchodzi się ich rocznice i organizuje uroczystości. W takim referendum nie liczy się jednak liczby głosów, lecz efekt końcowy politycznych zmagań – do dziś historycy toczą na ten temat spory.
Jak bardzo wiążące i jak wielki autorytet mają referenda, dowodzi kwestia plebiscytów na Śląsku czy na Warmii i Mazurach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Kwestię tego głosowania na terenach spornych z Niemcami wywalczył Dmowski w Paryżu, bo Berlin nie chciał oddać tych ziem. Zaborcy dołożyli wszelkich starań, by sfałszo-

eprasa.pl d598d8d6e5

wać referendum narodowe – oprócz zakłamanej kampanii wyborczej i przemocy na wiecach zwyczajnie dowozili głosujących do urn. Najbardziej propolska na Górnym Śląsku okazała się Pszczyna – prawie 75 proc. ludności opowiedziało się za Rzeczpospolitą, najbardziej proniemieckie były Głubczyce – ponad 99 proc. głosów za Berlinem, choć jedną trzecią stanowili plebiscytowi „turyści". Tutaj więc głosowania odbywały się tylko na części terytorium (a nie w całym kraju), ale ranga była na tyle wielka, że pisała o tym nawet światowa prasa.

Współcześnie

Wraz z rozwojem technologii zmienia się i waga referendum – dziś dostęp do informacji jest zdecydowanie łatwiejszy, a wykształcenie i rozumienie zagadnień politycznych – większe. Referendum jest momentem „władzy bezpośredniej" obywateli w nieustającym procesie „władzy partycypacyjnej", gdzie uczestniczymy we władzy jedynie przez przedstawicieli. Jednak jak ostrzegał Giovanni Sartori, włoski teoretyk polityki, referendum nie może być nadużywane w tym sensie, że nie może być zbyt częste. „Przy tej wielkości elektoratu udział każdego z uczestników zredukowany byłby praktycznie do zera. Poczucie nieskuteczności, jakiego doświadcza współczesny wyborca, udzieliłoby się tym sposobem ludziom, którzy w przyszłości podejmowaliby decyzję" – pisał o hipotetycznej sytuacji ciągłych referendów na ekranie komputera.
Jak podkreśla politolog, „referendum" ma jeszcze wiele doniosłych aspektów – jest na przykład grą o sumie zerowej. W takich wyborach nie głosujemy na przykład za tym, ilu imigrantów przyjąć (każdy uczestnik wpisywałby wówczas na kartce jakąś liczbę, a potem wielki system wyliczałby kompromisową liczbę), lecz mówimy: tak lub nie. W ten sposób obywatele nakładają mocniejsze rygory na rządzących, którzy zazwyczaj mają pozostawioną swobodę działania lub ustalania szczegółów. „W każdej rozpatrywanej kwestii zwycięska większość zgarnia całą pulę, mniejszość traci wszystko" – konkluduje Sartori. Ta zero-jedynkowa wymowa referendum wymusza na twórcach sformułowanie takiego pytania, by odpowiedzi były jednoznaczne i niosły precyzyjne treści. Swoją drogą Sartori przyznaje też, że już samo tworzenie pytania zawiera elementy subiektywizmu, ale nigdy myśl i słowo ludzkie nie są informacyjnie neutralne.

Jak bardzo wiążące i jak wielki autorytet mają referenda, dowodzi kwestia plebiscytów na Śląsku czy na Warmii i Mazurach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Kwestię tego głosowania na terenach spornych z Niemcami wywalczył Dmowski w Paryżu, bo Berlin nie chciał oddać tych ziem.

Zero-jedynkowa wymowa referendum wymusza na twórcach sformułowanie takiego pytania, by odpowiedzi były jednoznaczne i niosły precyzyjne treści.

Zapomniane referenda

Brakiem precyzji i skomplikowanym wymiarem pytań charakteryzowały się – dziś już zapomniane – referenda z 1996 roku. Z perspektywy ponad ćwierćwiecza tamte cztery pytania brzmią niezrozumiale, ale i wówczas były trudne do wyjaśnienia obywatelom. Przyjrzyjmy się im – niech będą nauką, jak nie przeprowadzać referendum.
Pytanie pierwsze brzmiało: „Czy jesteś za tym, aby zobowiązania wobec emerytów i rencistów oraz pracowników sfery budżetowej, wynikające z orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego, były zaspokojone z prywatyzowanego majątku państwowego?". Jeśli te zobowiązania i tak miały być zrealizowane przez państwo, to dlaczego obywatel miał rozstrzygać, z jakiego źródła? A jaka była alternatywa? Czy przekładała się na wysokość świadczeń? A co w sytuacji, gdy majątek już zostanie sprywatyzowany? Te zagadnienia były wyjaśniane w artykułach prasowych i programach telewizyjnych, ale były dość skomplikowane, a dotyczyły przecież ledwie jednego pytania. Drugie zaś brzmiało: „Czy jesteś za tym, aby część prywatyzowanego majątku państwowego

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

zasiliła powszechne fundusze emerytalne?". Tu również jednoznaczna odpowiedź nie oznaczała jednoznacznej decyzji. O jak wielką część majątku mogło chodzić? W jakim stopniu zasiliłoby to fundusze emerytalne? A co w przypadku reformy systemu? Wyborcy dostawali więc kolejne wykłady na tematy ekonomiczne, a tymczasem była to ledwie połowa pytań referendalnych.

Trzecie z nich brzmiało: „Czy jesteś za tym, aby zwiększyć wartość świadectw udziałowych Narodowych Funduszy Inwestycyjnych przez objęcie tym programem dalszych przedsiębiorstw?". Aby zagłosować w tym referendum, należało już mieć coś więcej niż podstawową wiedzę ekonomiczną, bo zawierało fachowe pojęcia z tej dziedziny („świadectwa udziałowe"), więc strony sporu (Wałęsa–postkomuniści) mogli raczej agitować na TAK i NIE, bez nadziei na wyjaśnienie milionom ludzi, co to oznacza i dlaczego miałoby to być ważne dla wyborców. Na koniec było czwarte nieprecyzyjne pytanie: „Czy jesteś za uwzględnieniem w programie uwłaszczeniowym bonów prywatyzacyjnych?". To zagadnienie było o tyle zastanawiające, że idea bonów prywatyzacyjnych była w społeczeństwie dyskutowana od 1989 roku, więc w siódmym roku wyprzedawania majątku narodowego i pozbycia się największych i najcenniejszych spółek już niewielka liczba głosujących byłaby bezpośrednia zainteresowana takim referendum. Pomysłodawcą tamtego referendum był Lech Wałęsa, który sądził, że wygra drugą kadencję prezydentury i poparcie społeczne pomoże mu zrealizować jego koncepcję prywatyzacji.

Postkomuniści dodali swoje pytania, by nie być politycznie biernymi wobec inicjatywy prezydenta. Jak ocenia historyk i politolog Andrzej Piasecki, „w efekcie Polacy głosowali nad skomplikowanymi sprawami ekonomiczno-społecznych przemian, które nie nadawały się do rozstrzygnięcia w takim trybie. Brak klarowności tego referendum oraz pasywna postawa rządu i nowego prezydenta poskutkowały niską frekwencją". Frekwencja wyniosła 32 proc.

Paradoksem demokratycznej woli bezpośredniego zarządzania państwem jest choćby to, że referendum z 2023 roku nie jest wiążące, choć udział wzięło w nim ponad 12 mln ludzi. Konstytucji trzymamy się wiernie do dziś, choć w referendum z 1997 roku frekwencja była zaledwie o dwa procent większa (też nie przekroczyła połowy uprawnionych do głosowania), a poparło ją mniej niż 6,5 mln ludzi.

Nie tak wielu za konstytucją

W pełni uzasadnionym referendum było głosowanie z następnego roku. Jego wynik pokazuje, jak silną legitymację daje ta forma demokracji. Choć przeciwko było aż 46,55 proc., a frekwencja nie wyniosła nawet 43 proc. (choć było to wiążące, nie obowiązywał próg frekwencyjny), to do dziś, a więc po ćwierćwieczu zmian, reform i dołączenia do Unii Europejskiej, Konstytucja RP jest powszechnie uznawana i do niej odwołują się absolutnie wszystkie siły polityczne w Polsce.

To pokazuje triumf demokracji bezpośredniej w grze o sumie zerowej – zapewne wśród ludzi, którzy dziś gorliwie bronią zapisów konstytucyjnych, nawet na ulicznych demonstracjach są ci, którzy w 1997 roku głosowali przeciw ustawie zasadniczej, ale jednak chodzi tu też o respekt wobec woli narodu z tamtego okresu.

Adekwatnej rangi tamtemu wydarzeniu dodaje klarowność pytania: „Czy jesteś za przyjęciem Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej uchwalonej przez Zgromadzenie Narodowe w dniu 2 kwietnia 1997 r.?". Wyborca zgadzał się więc albo sprzeciwiał konkretnemu dokumentowi, który mógł znać w całości, w części lub tylko jego założenia – była to sprawa precyzyjnie określona.

Gry frekwencją

Podobnie uszanowany jest w sposób niekwestionowany skutek referendum z 2003 roku na temat akcesji Polski do Unii Europejskiej. A i do tej formuły można było mieć zarzuty. Co prawda wynik był bardziej stanowczy niż w przypadku konstytucji (77 proc. na tak), a frekwencja o wiele wyższa (59 proc.), ale sama kampania przedreferendalna była prowadzona jednostronnie i była spłycona do poziomu nie debat czy argumentów, lecz sloganów i pokazów celebrytów. Jednak samo pytanie było krótkie, zwięzłe i konkretne: „Czy wyraża Pani / Pan zgodę na przystąpienie Rzeczypospolitej

eprasa.pl d598d8d6e5

Polskiej do Unii Europejskiej?". W domyśle oznaczało to także, że ostateczne warunki są ustalane już w ramach demokracji partycypacyjnej – czyli zajmują się tym politycy wyłaniani w wyborach.

Niedawno przeprowadzonemu referendum w Polsce towarzyszyła bezprecedensowa, jak na standardy demokratyczne, kampania. Same pytania były zróżnicowane. Pierwsze z nich było bardziej ogólne, dotyczyło pewnych założeń przy polityce gospodarczej, zaś trzy pozostałe precyzyjnie odnosiły się do bardzo konkretnych aspektów, takich nawet jak konstrukcja budowlana (bariera na granicy). Warto przypomnieć brzmienie tych pytań, by ta jednoznaczność odpowiedzi i precyzja sformułowania jednak wybrzmiała: „Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?", „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?", „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?", „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

Na czym jednak polegała bezprecedensowość kampanii referendalnej? Po pierwsze, środowiska opozycyjne stwierdziły, że postawione zagadnienia nie są sporne – choć była to nieprawda. Zaangażowany politycznie i powiązany z partiami politycznymi Leszek Balcerowicz opowiada się za prywatyzacją spółek i podniesieniem wieku emerytalnego, europosłanka Janina Ochojska i część środowisk lewicy chce rozebrania zapory na wschodniej granicy, a kwestia migracyjna jest powszechna w całej Europie. Jednak opozycja nie tylko zapowiedziała, że będzie bojkotować referendum z powodu, który mijał się z prawdą, lecz także środowiska antyrządowe czynnie z wysokobudżetowymi kampaniami zaangażowały się w zniechęcanie do referendum.

Na początku października opublikowano spot wymierzony w referendum, w którym treści pytań oceniono jako nawołujące do „uprzedzeń" antyimigracyjnych. „Nie daj sobie wcisnąć referendum" – zatytułowano całą akcję kampanijną, która namawiała do rezygnacji z udziału w tym demokratycznym wydarzeniu, ale przy jednoczesnym oddaniu głosu w wyborach parlamentarnych. W spocie aktorzy Barbara Wysocka i Alan Andersz uznają referendum za „ośmieszanie praw człowieka". Kampanię – podkreślmy wyraźnie: antyfrekwencyjną – zorganizowały m.in.: Forum Obywatelskiego Rozwoju, Instytut Spraw Publicznych, Amnesty International, Ogólnopolska Federacja Organizacji Pozarządowych, Otwarta Rzeczpospolita. Te same środowiska 16 lat wcześniej zorganizowały kampanię profrekwencyjną – ale w wyborach parlamentarnych, w 2007 roku. W obu przypadkach osobą wiążącą te inicjatywy jest prof. Leszek Balcerowicz (założyciel i prezes FOR) – przeciwnik PiS z jednej strony, a zwolennik prywatyzacji i podniesienia wieku emerytalnego z drugiej. Ekonomista nie chciał jednak zachęcać Polaków do zagłosowania na „tak" w pierwszym i drugim pytaniu, ale do zbojkotowania całości. W ten sposób zbito frekwencję, która nie przekroczyła wymaganego progu 50 proc. i wyniosła 40,91 proc. I tu pojawia się kolejny paradoks tej demokratycznej woli bezpośredniego zarządzania państwem. Referendum z 2023 roku nie jest wiążące, choć udział wzięło w nim ponad 12 mln ludzi. Konstytucji trzymamy się wiernie do dziś, choć w referendum frekwencja była zaledwie o dwa procent większa (też nie przekroczyła połowy uprawnionych do głosowania), a poparło ją mniej niż 6,5 mln ludzi. Czyli na przykład rząd Donalda Tuska będzie mógł przyjąć imigrantów przy ponad 11-mln sprzeciwie w referendum, a Ustawa Zasadnicza jest „święta", choć poparła ją prawie połowa mniej Polaków.

W tym sensie mamy do czynienia z trudnymi wyrokami demokracji, które trzymając się litery prawa i twardych liczb, nie oddają czasem ducha woli społecznej. Do historii przechodzą zatem te referenda, które są wiążące, a nieudane projekty stopniowo odchodzą w niepamięć. Dlatego referendum w XXI wieku – będąc nadal silnym narzędziem wyrażania woli politycznej – jest też podatne na manipulacje, jest narzędziem kruchym. Zadanie precyzyjnego pytania, sformułowanie go tak, by odpowiedzi oznaczały konkretną decyzję, oraz kampania informacyjna i uczciwa debata publiczna są filarami, na których trzyma się demokracja bezpośrednia. Jeśli ważne zagadnienie zostało poruszone w takim plebiscycie, lecz nie uzyskało wystarczającego zaangażowania, być może zawiedli autorzy, być może sprawnie utrącono taki projekt, a być może społeczeństwo nie chciało wziąć udziału w referendum demokratycznym, a wykaże się w referendum czynu. **AD**

Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji Niezależne Media
Akademia Demokracji – Referendum

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

kademia emokracji

REFERENDUM

prof. Genowefa **Grabowska**

Europa wobec instytucji referendum. Dla Szwajcarów to chleb powszedni, dla Niemców wręcz przeciwnie

W tradycjach republikańskich referendum jest ważnym narzędziem, po które władza nie boi się sięgać i uznaje wolę narodu. Jednak są państwa, w których w ogóle nie korzysta się z tego narzędzia. Uważa się, że jedyną okolicznością, kiedy obywatele mają możliwość wpływania na losy państwa, są wybory samorządowe, parlamentarne czy prezydenckie – mówi prof. Genowefa Grabowska, ekspertka w zakresie prawa unijnego i międzynarodowego. Rozmawia Jan Przemyłski.

eprasa.pl d598d8d6e5

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/PAP, ADOBE STOCK **ARTYKUŁ SPONSOROWANY**

Niemcy nie pytają swoich obywateli o zdanie w kluczowych kwestiach. Władza uważa, że skoro została wybrana przez społeczeństwo, to ma prawo decydować w każdej sprawie, a ewentualne jej rozliczenie nastąpi przy kolejnych wyborach.

Jak ważnym narzędziem demokracji w Europie jest obecnie referendum?

„Vox populi, vox Dei", co tłumacząc z języka łacińskiego na polski oznacza: „głos ludu, głosem Boga". Ta maksyma doskonale obrazuje, jak przez wieki ceniony był instrument demokracji, jakim jest referendum. Tłumacząc najkrócej, jest to najwyższa forma demokracji bezpośredniej. Natomiast w Europie podejście do niej jest różne i wynika z tradycji państwowych. W tradycjach republikańskich referendum jest ważnym narzędziem, po które władza nie boi się sięgać i uznaje wolę narodu. Jednak są państwa, w których w ogóle nie korzysta się z tego narzędzia. Uważa się, że jedyną okolicznością, kiedy obywatele mają możliwość wpływania na losy państwa, są wybory samorządowe, parlamentarne czy prezydenckie. Władza wybrana w tym głosowaniu ma mandat do podejmowania wszelkich decyzji w trakcie trwania swojej kadencji i niepotrzebne jest organizowanie ogólnokrajowego plebiscytu w jakiejkolwiek sprawie.

Którzy członkowie Unii Europejskiej nie przewidują w swoim prawodawstwie takiego instrumentu jak referendum?

Daleko nie musimy szukać, bo w niemieckim porządku prawnym w ogóle nie występuje takie narzędzie jak referendum. Niemcy nie pytają swoich obywateli o zdanie w kluczowych kwestiach. Władza uważa, że skoro została wybrana przez społeczeństwo, to ma prawo decydować w każdej sprawie, a ewentualne jej rozliczenie nastąpi przy kolejnych wyborach. Z kolei Francja jest przykładem państwa, które ograniczyło możliwość organizowania referendów, ponieważ jedno z takich głosowań, bardzo ważne dla sporej części sił proeuropejskich, poszło nie po myśli ówcześnie rządzących. Chodzi o plebiscyt z 2005 roku, gdy Francuzi powiedzieli „nie" ratyfikacji projektu Konstytucji dla Europy. Po tym wydarzeniu wprowadzono do prawa francuskiego zmiany, które poskutkowały tym, że do ratyfikowania umowy międzynarodowej już nie potrzeba zgody narodu w referendum. Zlikwidowano tę drogę. Jednak żeby nie było tak pesymistycznie, to powiedzmy jeszcze o Szwajcarii, gdzie referendum jest chlebem powszednim. Zarówno na szczeblu regionalnym, czyli w kantonach, jak i centralnym to narzędzie demokracji bezpośredniej jest wykorzystywane bardzo często. Średnio cztery razy w roku Szwajcarzy biorą udział w różnych referendach.

Czy referenda w Szwajcarii wyglądają podobnie jak w Polsce? Obywatele idą do punktu głosowań, wypełniają arkusze i wrzucają do urn?

Nie. Tam wygląda to zupełnie inaczej. Szwajcarzy są świetnie zorganizowani w kwestii referendum. Obywatele nie muszą udawać się do komisji wyborczych, tylko dostają pakiety referendalne do domu. Do tego załączona jest pełna informacja o przedmiocie głosowania oraz skutkach, a nawet o konsekwencjach finansowych. Biorący udział w plebiscycie są uświadamiani o wadze podejmowanej decyzji. Po zapoznaniu się z całą tą materią wypełniają arkusze i odsyłają do odpowiednich organów administracyjnych. Co więcej, w Szwajcarii nie ma progu frekwencyjnego, ważność referendum nie jest więc uzależniona od liczby obywateli biorących w nim udział. Szwajcarzy wychodzą z założenia, że referendum daje możliwość decydowania o swoim państwie, że jest to prawo obywatela. Jeśli ktoś nie chce, to nie głosuje, ale w takim razie pozostawia decyzję innym.

eprasa.pl d598d8d6e5

Chciałbym wrócić do tematu Niemiec i Francji, gdyż część politycznych elit europejskich przekonuje, że te kraje należą do grupy tzw. starych demokracji. Jak zatem wytłumaczyć, że w jednym kraju w ogóle nie występuje narzędzie referendum, a w drugim jest ono ograniczane?

Otóż tak jak wspomniałam, Francja bardzo sparzyła się na referendum w roku 2005. Jest to jedno z grupy państw, które zakładało wspólnoty europejskie, starało się być motorem wszelkich zmian w Unii Europejskiej. Jednak gdy doszło do zatwierdzenia Konstytucji dla Europy w drodze referendum, Francuzi odrzucili ten dokument, co więcej – dali zaraźliwy przykład Holendrom, którzy tydzień później postąpili podobnie. Wynik referendum zszokował elity polityczne Francji, które uznały, że to „wstyd dla kraju założyciela Wspólnoty" i aby nie dopuścić do powtórki w przyszłości, uznano, że lepiej ograniczyć to narzędzie demokracji. Natomiast argumentu, że „Francja jest starą demokracją", często używano m.in. w dyskusjach o reformie naszego wymiaru sprawiedliwości. Gdy autorzy reformy tłumaczyli, że część proponowanych rozwiązań jest zapożyczona z systemów zagranicznych, w tym z Francji, w odpowiedzi pojawiały się głosy, że Francja może mieć takie rozwiązania, bo jest starą demokracją, a Polska jest demokracją młodą i na pewne rzeczy nie powinna sobie pozwalać. To było nie tylko krzywdzące i nieeleganckie wobec naszego państwa, lecz także zaprzeczało traktatowej zasadzie równego traktowania państw wewnątrz UE. Elity europejskie, które takie tezy głosiły, chciały w ten sposób wykazać swą wyższość, ale jednocześnie przechodziły obojętnie wobec faktu, że w Polsce przez wiele dekad panował siłą nam narzucony ustrój komunistyczny. Udało nam się z niego wyswobodzić, szukamy najlepszej drogi do budowy sprawiedliwego państwa demokratycznego, więc nie można nas spychać do grona członków drugiej kategorii w Unii Europejskiej. Przecież w UE nie ma członkostwa pierwszej i drugiej kategorii!

Francja jest przykładem państwa, które ograniczyło możliwość organizowania referendów, ponieważ jedno z takich głosowań, bardzo ważne dla sporej części sił proeuropejskich, poszło nie po myśli ówcześnie rządzących. Chodzi o plebiscyt z 2005 roku, gdy Francuzi powiedzieli „nie" ratyfikacji projektu Konstytucji dla Europy.

Kilkukrotnie w przeszłości pojawiała się idea zorganizowania ogólnoeuropejskiego referendum. Tak było m.in. w przypadku dyskusji nad traktatem lizbońskim. Czy takie przedsięwzięcie jest możliwe do zrealizowania?

Do tej pory tylko w państwach członkowskich organizowane były referenda. Natomiast co jakiś czas faktycznie pojawia się pomysł przeprowadzenia ogólnoeuropejskiego plebiscytu w jakiejś sprawie. Trudno jednak powiedzieć, jak to przedsięwzięcie miałoby wyglądać. Przypominam, że wyborów do Parlamentu Europejskiego państwa nie muszą organizować w tym samym terminie, na ogół mają na to tydzień. Same wybierają dogodne dla obywateli daty, na przykład od 10 do 17 maja, i w tym czasie odbywają się głosowania w poszczególnych krajach. Dlaczego tak jest? Przyczyna jest bardzo prosta. Otóż różne są tradycje wyborcze w UE. Nie w każdym państwie do urn idzie się w niedzielę w godzinach od 7 do 22. Termin, przebieg i przygotowanie głosowania zależy od danego kraju. Jeśli faktycznie miałoby dojść do jakiegoś ogólnoeuropejskiego referendum, to wówczas dwadzieścia siedem państw musiałoby się zgrać dokładnie co do jego czasu. W mojej opinii byłoby to bardzo trudne. Nie wyobrażam sobie, aby jednego dnia wszyscy obywatele Unii Europejskiej poszli do urn zagłosować w danej sprawie. Mam nadzieję, że do takich sytuacji nie dojdzie.

W 2003 roku odbyło się referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Warunki uczestnictwa we wspólnocie, które wówczas uzgodniliśmy, diametralnie różnią się od tego, co teraz proponują orędownicy zmian traktatowych. Czy w tej sytuacji w Polsce powinno się odbyć kolejne referendum, którym zapytano by obywateli o zgodę na przekazanie do Brukseli kompetencji w tak wielu kluczowych dziedzinach?

eprasa.pl d598d8d6e5

To jest argument za organizacją takiego głosowania, bo Polska wchodziła do Unii Europejskiej na zupełnie innych zasadach niż te, które nam się teraz proponuje. Polacy mieli możliwość wypowiedzenia się w referendum akcesyjnym, ale już traktat lizboński był ratyfikowany na drodze parlamentarnej, bez ogólnokrajowego plebiscytu. Uznano wtedy, że nie są to aż tak drastyczne zmiany, aby angażować w proces decyzyjny cały naród. Natomiast te zmiany, które są teraz proponowane, sięgają bardzo głęboko. Chodzi o całkowite przemeblowanie Unii. Jeśli ostateczny dokument dotyczący zmian traktatowych będzie zbliżony do obecnej wersji, bo pamiętajmy, że na wielu jeszcze etapach do tych propozycji mogą zostać wprowadzone poprawki, to naród absolutnie powinien mieć możliwość wypowiedzenia się w sprawie. Byłoby bardzo źle, gdyby ponad głowami obywateli zgodzono się na Polskę, która w niewielu istotnych kwestiach mogłaby decydować sama o sobie, a w większości – musiałaby wykonywać polecenia płynące z Brukseli.

Czy uważa Pani, że tego typu referenda mogłyby się odbyć także w innych państwach członkowskich Unii Europejskiej?

Decyzja należałaby do przedstawicieli innych państw. Trudno wypowiadać się w ich imieniu. Na pewno ciekawa byłaby sytuacja, w której zarządzono by jednak ogólnoeuropejskie referendum. Wówczas także takie państwa jak wcześniej wspomniane Niemcy czy Francja musiałyby zorganizować głosowanie, mimo swojego stosunku do instytucji referendum.

Chciałbym jeszcze zapytać o referendum w sprawie przyjęcia w Polsce waluty euro. Pojawiają się różne głosy, że w tej kwestii powinno zostać zorganizowane ogólnokrajowe głosowanie. Czy to jest w ogóle możliwe, czy jednak sprawa została przesądzona w momencie wyrażenia zgody na przystąpienie do Unii Europejskiej?

Wchodząc do Unii Europejskiej, już zgodziliśmy się na przyjęcie euro, nie określając czasu jego wprowadzenia. Podkreślaliśmy, że zmienimy walutę wtedy, gdy będziemy na to gotowi. Wyłącznie od polskiego rządu zależy, kiedy te procedury zostaną uruchomione. Jednak tutaj nie ma możliwości zmiany decyzji poprzez referendum. Możemy co najwyżej odłożyć likwidację polskiego złotego na rzecz euro. Natomiast warto powiedzieć, jak to wygląda w innych państwach, bo na przykład Dania i Szwecja wchodząc do Unii zapowiedziały, że one nie zmienią swojej waluty. Dania dołączyła do Wspólnoty w 1973 roku, a Szwecja – do UE w roku 1995 i mimo upływu czasu kraje te nie zmieniły swojego zdania co do likwidacji swojej waluty i zastąpienia jej euro. Natomiast zmiany traktatów, które są teraz przedmiotem dyskusji w UE, przewidują wprowadzenie euro na terenie całej Unii. W związku z tym Bruksela musiałaby przekonać te kraje do zmiany stanowiska lub wykreślić te poprawki. Przypomnę też, że do tej pory największe korzyści z wprowadzenia euro odniosły Niemcy i Holandia. Całej reszcie ten ruch zaszkodził. **AD**

Szwajcarzy są świetnie zorganizowani w kwestii referendum. Obywatele nie muszą udawać się do komisji wyborczych, tylko dostają pakiety referendalne do domu. Biorący udział w plebiscycie są uświadamiani o wadze podejmowanej decyzji. Szwajcarzy wychodzą z założenia, że referendum daje możliwość decydowania o swoim państwie, że jest to prawo obywatela. Jeśli ktoś nie chce, to nie głosuje, ale w takim razie pozostawia decyzję innym.

Partner „Gazeta Polska Codziennie"
W ramach projektu Fundacji Niezależne Media
Akademia Demokracji – Referendum

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d598d8d6e5

Piotr Grochmalski

ARMIA IV RZESZY LORINGHOVENA W POLSCE

FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl d598d8d6e

Arndt Freytag von Loringhoven, były kontrowersyjny ambasador RFN w Polsce, w artykule opublikowanym na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" przekonuje o potrzebie trwałego rozmieszczenia w naszym państwie oddziałów Bundeswehry. Jego ojciec do końca pozostał wierny Hitlerowi, który pozwolił mu opuścić bunkier dzień przed swoją samobójczą śmiercią. Po jednym pokoleniu w tej rodzinie tak głęboko i radykalnie oddanej idei wielkich Niemiec, pojawia się przekaz, że oto – w imię „partnerstwa w przywództwie na równych warunkach" – powinniśmy złożyć w niemieckie ręce nasze bezpieczeństwo.

Jak stwierdził Arndt Freytag von Loringhoven: „W interesie obu stron leży potrzeba ściślejszej integracji Bundeswehry z Siłami Zbrojnymi RP, a w dłuższej perspektywie także trwałe przemieszczenie wojsk niemieckich do Polski". Loringhoven wie, co mówi. Zaledwie kilka miesięcy temu, w marcu 2023 roku, holenderska 13. Lekka Brygada z Oirschot przeszła pod niemieckie dowództwo. A to oznacza, że ostatnia formacja holenderskiej armii została faktycznie włączona do Bundeswehry. Poza niemieckim dowództwem pozostał jedynie niderlandzki Korpus Komandosów. Podczas II wojny światowej holenderskie formacje SS Johannesa Hendrikusa Feldmeijera liczyły ponad 7 tys. osób, a z Begünstigende Leben, formacją bliźniaczą – ponad 11 tys. W okupowanej Polsce nie było ludzi pokroju Feldmeijera. Nasze doświadczenia są więc radykalnie inne. Nie walczyliśmy w imię III Rzeszy, lecz wolnego świata. Ale Loringhoven swoje plany ogłosił po tym, gdy Niemcom w końcu udało się osadzić proniemiecką ekipę w Warszawie. Jego dyspozycja o integracji polskiej armii z Bundeswehrą oznacza oczekiwanie, że wycofamy się z zakupu amerykańskiego i koreańskiego sprzętu, a także zredukujemy liczebność naszego potencjału obronnego.

Infantylne tłumaczenia

To wszystko wpisuje się w forsowane w przyspieszonym tempie przez Berlin plany przebudowy UE w IV Rzeszę niemiecką. Berlin od początku patronuje tworzeniu rządu przez Donalda Tuska. Jedynym spoiwem tej ekipy z totalnej opozycji jest jej proniemiecki charakter. Niemal w tym samym czasie Arndt Freytag von Loringhoven jasno zarysował oczekiwania Niemiec wobec Polski. Ukazał się obszerny 360-stronicowy wywiad z nim pod prowokacyjnym tytułem „Nie budujemy IV Rzeszy". Ten były ambasador Niemiec w Polsce przedstawia w nim swoisty program dla ekipy Tuska – wizję zmian oczekiwanych z niecierpliwością w Berlinie.

10 listopada, w przeddzień Święta Niepodległości, Jarosław Kaczyński stwierdził, iż „jest już przygotowany konkretny plan, którego wprowadzenie w życie przez UE prowadziłoby nie tylko do pozbawienia nas niepodległości, suwerenności, ale wręcz do anihilacji polskiego państwa. Stalibyśmy się terenem zamieszkiwania przez Polaków, rządzonym z zewnątrz (…). To, o czym muszę dziś powiedzieć, to konieczność wielkiego wysiłku, konsolidacji naszego narodu, by ten proces zatrzymać. My Polacy chcemy być wolni, niepodlegli! Nie chcemy podlegać Niemcom, bo to jest w istocie plan niemiecki, zawarty w umowie koalicyjnej niemieckiego rządu".

Książka „Nie budujemy IV Rzeszy", skierowana do polskiego czytelnika, zaczyna się z grubej rury. Dziennikarz Jędrzej Bielecki kreuje wyjątkowo prymitywną prowokację. Pyta Loringhovena o rolę Niemiec w dzisiejszej UE. Przekonuje, iż „Jarosław Kaczyński mówi o tym […] dosadnie: Niemcy chcą budować Czwartą Rzeszę. Może nie tak zbrodniczą jak Trzecia, ale jednak Berlin jest skazany na przywództwo w Unii Europejskiej i narzucanie innym własnych interesów". Dziennikarz się myli – ani Jarosław Kaczyński, ani Lech Kaczyński nie byli przekonani, iż „Berlin jest skazany na przywództwo". Jest to niebezpieczne zadżumienie umysłu dziennikarza, które od samego początku owej agitki ukazuje rolę tej publikacji. Na tak przerysowane pytanie (w którym ukryta jest sugestia o nieuchronności owej niemieckiej dominacji – przywództwa) Loringhoven odpowiada równie idiotycznie: „Pomysł, że Niemcy chcą zbudować Czwartą Rzeszę, jest absurdalny. Nawet gdybyśmy tego chcieli, nigdy nie moglibyśmy samodzielnie przewodzić Europie". Odpowiadając równie infantylnie, można powiedzieć, że w czasach III Rzeszy Niemcy także nie przewodziły Europie. Władztwo Hitlera było ograniczone – nie obejmowało choćby Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Portugalii czy Turcji. Loringhoven stwierdza przy tym, iż owa wizja IV Rzeszy wywołuje „silne obawy wśród naszych partnerów, nie tylko Polski. Taki jest ciężar historii i geografii".

IV Rzesza czy niemiecka Europa?

Loringhoven oczywiście kłamie. Jeden z najwybitniejszych niemieckich socjologów, Ulrich Beck, wyjaśnia, iż „nowa niemiecka władza w Europie nie opiera się (…) jak w niegdysiejszych czasach na przemocy, ale na ultima ratio. Nie potrzebuje broni, by innym państwom narzucić swoją wolę. Dlatego też absurdem jest mówienie o »IV Rzeszy«". W swojej głośnej pracy „Niemiecka Europa" już w 2012 roku stwierdzał on bez niedomówień: „Każdy to wie, lecz wypowiedzenie głośno tego stwierdzenia oznacza złamanie tabu. Europa stała się niemiecka". Kwestią wysoce umowną jest więc, czy nazwiemy ten projekt IV Rzeszą czy Niemiecką Europą. Beck twierdził już wówczas, iż dziś zamiast dział, Niemcy wykorzystują jako mechanizm niszczenia opornych państw w UE groźbę blokady kredytów dla danego kraju. To właśnie ten sposób zastosował Berlin wobec Polski niemal dekadę później. Bo Warszawa stała się niebezpiecznym hamulcowym germanizacji UE.

Ostatnie wybory w Polsce zostały entuzjastycznie przyjęte przez Berlin i niemal natychmiast przyspieszono niszczenie Unii i zastępowanie jej niemieckim projektem imperialnym. Już 25 paździer-

eprasa.pl d598d8d6e5

nika 2023 roku Komitet Spraw Konstytucyjnych Parlamentu Europejskiego (AFCO) z zapałem przyjął projekt rezolucji domagającej się 267 poprawek do traktatów unijnych. To największy zamach na Unię, bo odbiera suwerenność państw w kluczowych obszarach ich istnienia, degradując je do roli swoistych landów w ramach nowej, europejskiej Rzeszy. W tradycji germańskiej „Rzesza" stosowana jest jako określenie jedności autonomicznych regionów. Projekt rezolucji zakłada też odebranie prawa weta państwom w większości spraw i narzucenie jej wspólnej polityki bezpieczeństwa i obronności. Projekt rezolucji przedstawiło rzekomo pięć frakcji: Odnowić Europę, Socjaliści i Demokraci, Zieloni, Lewica i Europejska Partia Ludowa. Zdumiewające jest jednak, iż w praktyce za projektem stali: Sven Simon, Gabriele Bischoff, Daniel Freud, Helmut Scholz i Guy Verhofstadt – pięciu Niemców i jeden zgermanizowany Belg. Przypomnijmy słowa Loringhovena: „Nawet gdybyśmy tego chcieli, nigdy nie moglibyśmy samodzielnie przewodzić Europie". Jaki trzeba mieć tupet i poczucie bezkarności, aby w kluczowym momencie pokazać, że ten zamach stanu na Unię jest w 80 procentach niemieckiego autorstwa. A w tym „doborowym" gronie jest Helmut Scholz, postać znacznie bardziej karykaturalna niż nasz demokrata Leszek Miller. Scholz jest wychowankiem sowieckiego MGIMO, kuźni rosyjskiej agentury, a w czasach totalitarnego reżimu Honeckera w NRD był ambasadorem Berlina w ChRL.

Euroarmia czy Eurobundeswehra?

Berlin wykorzystuje agresję Rosji na Ukrainę do wywierania presji dotyczącej szybkiej centralizacji Unii i zbudowania „euroarmii". W przyjętym pospiesznie projekcie rezolucji niepokojąca jest propozycja poprawki art. 31 Traktatu o Unii Europejskiej (TUE), która eliminuje prawo veta w kwestiach dotyczących armii i obronności. Dotychczasowa zasada jednomyślności ma być zastąpiona mechanizmem głosowania w Radzie Europejskiej w oparciu o zasadę większości kwalifikowanej (poparcie 55 proc. krajów członkowskich, reprezentujących 65 proc. populacji UE). Gdyby ta zasada została przyjęta, Niemcy i Francja są w stanie zablokować wszelkie propozycje, a równocześnie przeforsować korzystne dla siebie rozwiązania dotyczące europejskiego bezpieczeństwa. Co więcej, proponowana zmiana art. 42 pozwalałaby Berlinowi i Paryżowi stworzyć euroarmię. Ustęp 3 art. 42 brzmi obecnie następująco: „Państwa Członkowskie, w celu realizacji wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony, oddają do dyspozycji Unii swoje zdolności cywilne i wojskowe, aby przyczynić się do osiągnięcia celów określonych przez Radę". Podkreślmy – każde państwo ma zdolność zablokowania rozwiązania, które uznaje za niekorzystne z punktu widzenia jego bezpieczeństwa. Teraz veto ma być wyeliminowane, a ust. 3 art. 42 ma brzmieć następująco: „Unia ustanawia Unię Obrony posiadającą zdolności cywilne i wojskowe w celu realizacji wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony. Obejmie to stale stacjonujące wspólne europejskie jednostki wojskowe, w tym stałą zdolność do szybkiego rozmieszczenia, pod dowództwem operacyjnym Unii". Przy istniejącym mechanizmie większości kwalifikowanej oznacza to powstanie armii europejskiej pod dyktando Berlina i Paryża. Byłaby ona pod kontrolą operacyjną tych państw. One też wymusiłyby podporządkowanie przemysłu obronnego państw europejskich pod realizacje planów Berlina i Paryża.

Hitler mógłby jedynie marzyć, aby w ten sposób zbudować mechanizm pełnej kontroli nad bezpieczeństwem państw, które mają – tak jak w przypadku Polski – zasadniczo odmienne interesy strategiczne od Niemiec czy Francji, co wydatnie pokazała wojna na Ukrainie. Gdyby Niemcy znów odbudowały oś z Rosją, bylibyśmy bezsilni wobec takiej gry. Proponowane poprawki zapowiadają powstanie Europejskiej Agencji Obrony, która będzie realną monopolistką w dostarczaniu broni dla euroarmii. A to oznacza, że Berlin i Paryż wydrenują wszystkie państwa na rzecz rozbudowy własnego przemysły obronnego. To jasny wyrok na polska armię. Dodatkowym biczem ma być obdarzenie Trybunału Sprawiedliwości (TSUE) w in-

Ostatnie wybory w Polsce zostały entuzjastycznie przyjęte przez Berlin i niemal natychmiast przyspieszono niszczenie Unii i zastępowanie jej niemieckim projektem imperialnym.

eprasa.pl d598d8d6e5

strument pozwalający dyscyplinowanie państw, które nie będą chciały poddać się temu dyktatowi. Dotąd art. 275 Traktatu o funkcjonowaniu UE wyłączał sprawy polityki zagranicznej i bezpieczeństwa spod jurysdykcji TSUE. Teraz mają one podlegać jego orzecznictwu, ale ma być ono jeszcze dodatkowo rozszerzone o kwestie granic zewnętrznych. Te zmiany to największy zamach, jaki Niemcy i Francja przeprowadzają na Unię.

Niemiecka armia znów w Polsce

Jędrzej Bielecki pyta Loringhovena, czy Niemcy „mogłyby pokusić się o rolę przewodnika wolnego świata". Ze zdumiewającą „pokorą" polityk ten stwierdził: „Nie pozwala nam na to tragiczna historia. Nauczyła nas skromności". Ale równocześnie ta „pokora" skłania go do refleksji, iż „Europa bez Niemiec nie istnieje". Bielecki wielokrotnie w owej rozmowie wykazuje się zdumiewającym brakiem inteligencji. Sam wprowadza wątek, który jest jakby rozwinięciem tej zdumiewającej tezy, iż Europa jest swoistym zakładnikiem Berlina. Przytacza opinię Wolfganga Ischingera, który przez całą epokę, od 2008 do 2022 roku, stał na czele Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, na której Putin w 2007 roku przeprowadził frontalny atak na USA i NATO (Merkel tłumaczyła go wówczas, że został źle zrozumiany). Ischinger przekonuje, iż Niemcy powinny mieć plan B na wypadek, gdyby współdziałanie Berlina z Waszyngtonem było niemożliwe. Z porażającą otwartością Loringhoven stwierdza: „Zgadzam się z Ischingerem. Wyobraźmy sobie świat, który próbuje podbić agresywna Rosja i autorytarne Chiny, a Ameryka, która zawsze była wzorem demokracji, opuściłaby NATO. To by wymagało zupełnie nowego spojrzenia przez państwa europejskie na politykę zagraniczną. Naszą jedyną opcją byłaby wówczas o wiele silniejsza unijna polityka obronna. Ponieważ nie da się wykluczyć takiego negatywnego rozwoju sytuacji, musimy zacząć budować silną unię obronną tak szybko, jak to możliwe".

Loringhoven wypowiada się tu także w imieniu Polski. Jak widać, na razie dobre jest choćby to, iż Niemcy nie zgłaszają globalnych ambicji przewodnika wolnego świata. Jednak nie jest to takie oczywiste. Dugin, rosyjski geopolityk, otwarcie głosił w okresie, gdy Berlin i Moskwa budowały silną oś, że obie stolice łączy sprawa polska. Zniszczenie lub osłabienie Polski jest bowiem w żywotnym interesie obu państw. Ten geopolityk, który wykładał na rosyjskiej Akademii Sztabu Generalnego, przekonywał też, iż oba państwa powinny wypchnąć USA ze Starego Kontynentu. Grał tu na silnych antyamerykańskich emocjach Berlina. Sam Bielecki przytacza, jako przykład powszechnie znanej tendencji, wyniki badań niemieckiej opinii publicznej z 2019 roku, przeprowadzonych przez YouGrow. Na pytanie, który z przywódców na świecie jest najgroźniejszy dla światowego pokoju, 42 proc. badanych Niemców wskazało na prezydenta USA Donalda Trumpa, 17 proc. na Kim Dzong Una z Korei Północnej, po 8 proc. uzyskali Putin i ajatollah Chamenei. Lider Chin, Xi Jinping, uzyskał 7 proc. Loringhoven kwituje ten porażający przykład z rozbrajającą szczerością: „Jak żaden inny kraj, Ameryka wywołuje podziw i niechęć Niemiec".

Wypchnąć USA z Europy

Rzecz w tym, o czym zawsze należy pamiętać, iż NATO powstało dla realizacji dwóch zasadniczych celów – obrony Europy Zachodniej przed Związkiem Radzieckim i zabezpieczeniem jej przed groźbą recydywy ze strony Niemiec. W całej długiej powojennej historii Europa nigdy nie znalazła się tak blisko wybuchu na jej terytorium po raz trzeci globalnego konfliktu, jak w wyniku geopolitycznej gry Rosji i Niemiec. Historycznym efektem tej gry była likwidacja przez Berlin i Moskwę (ze współudziałem Wiednia) I Rzeczpospolitej, a także II RP. Również tym razem oczywistym efektem owej gry miała być marginalizacja Polski. Nie można traktować poważnie zapewnienia Niemiec, iż nie miały świadomości skali zagrożenia dla Europy w tej brutalnej grze. Wystarczy przypomnieć, że wspólna likwidacja II RP w wyniku paktu Ribbentrop–Mołotow ostatecznie doprowadziła jednak do wybuchu konfliktu między tymi obu barbariami. Jej istotą było zapanowanie nad Europą.

Loringhoven otwarcie buduje ów szkic planu B, dzięki czemu wiemy, jak Berlin widzi realizację jednego z elementów owej radykalnej przebudowy UE, który jest realizowany, by przyspieszyć budowę niemieckiej Europy. Jak stwierdza: „Najważniejsze będzie utworzenie silnej unii obrony i bezpieczeństwa. Ukraina pokazała nam, że europejski kraj może sam się obronić. To powinno być zachętą dla Unii do zwiększenia swoich zdolności obronnych i zaufania w swój potencjał". Widać tu całą pokrętność i fałszywą logikę Berlina. Bowiem to właśnie przykład Ukrainy pokazał brak alternatywy wobec USA i NATO, czego efektem było szybkie zgłoszenie akcesu do Sojuszu przez Finlandię i Szwecję. Budowanie „berlińskiego" projektu, który miałby spowodować, że Niemcy uzyskałyby potencjał europejskiego zastraszania poprzez przejęcie pełnej kontroli, wspólnie z Francją, nad obszarem UE, jest koszmarem gorszym od snów ojca Loringhovena. Tylko w jego chorej wyobraźni mogą się zrodzić podobne pomysły.

eprasa.pl d598d8d6e5

Warto przypomnieć, jak w czasach resetu Tuska blokował on, wspólnie z Berlinem, budowę amerykańskiej tarczy rakietowej, która potężnie wzmocniłaby bezpieczeństwo Polski i mocniej związała wówczas nasz kraj z USA. Loringhoven tak komentuje owe wydarzenia: „Jeśli zaś mowa o tarczy antyrakietowej, głównym problemem była Rosja. Wielu niemieckich polityków uważało, że projekt ten Kreml uzna za prowokację". To torpedowanie relacji amerykańsko-polskich miało też miejsce przy inicjatywie rządu polskiego w sprawie budowy w Polsce za prezydentury Trumpa stałej bazy wojsk amerykańskich. Loringhoven otwarcie przyznaje, iż „Fort Trump był postrzegany w Niemczech jako projekt, który dzieli Europę i Sojusz. Był omawiany poza NATO jako dwustronne, polsko-amerykańskie porozumienie. W Berlinie w naturalny sposób obawiano się, że Fort Trump doprowadzi do redukcji amerykańskiej obecności wojskowej w Republice Federalnej. W ostateczności ten proces mógł nawet zagrozić porozumieniu między Niemcami i USA o współdzieleniu taktycznej broni jądrowej". Zdumiewające, jak brudno potrafią pogrywać Niemcy. Pamiętajmy, że w tym wypadku tak naprawdę Niemcy stawiali wyżej interesy Rosji nad bezpieczeństwo Polski, ich sojusznika w NATO.

Berlin wykorzystuje agresję Rosji na Ukrainę do wywierania presji dotyczącej szybkiej centralizacji Unii i zbudowania „euroarmii".

Dobry wujek Loringhoven

Arndt Freytag von Loringhoven jest jednocześnie zawodowym dyplomatą i profesjonalnym szpiegiem. W obu tych rolach wystąpił w Polsce (2020–2022), gdy został nam na siłę wciśnięty przez Berlin, aby wesprzeć totalną opozycję. Podobny styl prowadzenia dyplomacji prezentują Rosjanie, którzy zwykle na kluczowe placówki wysyłają zawodowych szpiegów. Von Loringhoven przedstawia siebie w publikacji jako osobę przepojoną dobrymi emocjami wobec Polski i wyjątkowo dobrotliwą. Jest to jednak jeden z najlepszych specjalistów od brutalnej gry, jakimi dysponują Niemcy. A w swojej karierze wiele lat był wiceszefem niemieckiego wywiadu BND. Powstał on w oparciu o Organizację gen. Reiharda Gehlena. Jako dowódca w III Rzeszy Abteilung Fremde Heere Ost., będącego częścią Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, odpowiadał za wojnę z Podziemnym Państwem Polskim. Był generałem Wehrmachtu, a po wojnie generałem Bundeswehry. To w ramach Organizacji Gehlena ludzie, z którymi pracował jeszcze w okresie III Rzeszy, wymyślili i rozpowszechnili kłamstwo o tzw. polskich obozach koncentracyjnych.

Sam Arndt Freytag von Loringhoven został wykorzystany do porażającego eksperymentu wobec Polski. Była to oczywista prowokacja Merkel. Jego ojciec, Berndt Freitag von Loringhoven, niemal do śmierci Hitlera przebywał w najbliższym otoczeniu tego zbrodniarza, który odpowiada za śmierć 6 mln obywateli II RP. Berndt Freitag von Loringhoven twierdził, iż przez całą wojnę pozostał anständing (porządny, przyzwoity). Syn uważa podobnie. Ojciec wykonywał tylko rozkazy. Twierdzi, iż jego ojciec „nie uważał Wehrmachtu za organizację zbrodniczą. Nigdy nie została ona zresztą w taki sposób określona ani przez zwycięskich aliantów, ani przez Republikę Federalną Niemiec. Wierzę mojemu ojcu, kiedy mówi, że osobiście nigdy nie popełnił zbrodni wojennych". Ale Niemcy są specjalistami od paradoksów moralnych, bo zaraz dodaje, że „nie ma żadnych wątpliwości, iż Wehrmacht jako struktura jest odpowiedzialny za najcięższe zbrodnie wojenne". Zdumiewa, jak długo po wojnie ukazały się wojenne pamiętniki Berndta Freitaga von Loringhovena – wydał je dopiero w 2005 roku. Z perspektywy długiego życia nie ma tam żadnej poważnej refleksji o tym zbrodniczym pokoleniu, którego był częścią. Za to prześladowała go obsesja, że tak wiele razy uniknął śmierci. Tuż przed kapitulacją Paulusa przedostał się samolotem spod Stalingradu, a dzień przed samobójstwem Hitlera, 29 kwietnia, uzyskał jego zgodę na opuszczenie bunkra w Berlinie. Jego syn zauważa: „Gdy rozmawiałem z ojcem o wojnie, przeważnie wspominał o niej z punktu widzenia Niemców. W szczególności kiedy opisywał cierpienie żołnierzy niemieckich pod Stalingradem. Albo gdy opisywał przyjaciół i towarzyszy, których stracił".

Gdy Arndt Freytag von Loringhoven był ambasadorem w Polsce, niemiecko-szwajcarski Onet opublikował artykuł pt. „Na froncie, w obozie, pod okupacją (…). Najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia". Ukazywał on z ogromną wrażliwością, jak Boże Narodzenie obchodzili niemieccy żołnierze na froncie wschodnim w grudniu 1942 roku. Nasze serca miały

eprasa.pl d598d8d6e5

poruszyć sceny, gdy biedni żołnierze Wehrmachtu musieli zabić konia, aby mieć mięso, a podczas ostrzału wroga jeden z nich zginął, gdy śpiewał kolędę. Tę samą metodę wciągania nas w pozytywne emocje z pełnym zawodowstwem stosuje Loringhoven. We wspomnieniach jego ojciec Berndt opisuje, kiedy po przedostaniu się do amerykańskiej strefy okupacyjnej, został zatrzymany. Pisze z nieukrywaną irytacją, że był traktowany jak oficer. Narzekał na jedzenie i łóżko. Jego syn uznaje to za zrozumiałe: „Myślał w taki sposób. Osobiście nie popełnił zbrodni wojennych. Nie uważał bowiem za zbrodnie wypełniania obowiązków wojskowych. Dlatego, zgodnie z wojskową tradycją, oczekiwał szacunku i odpowiedniego traktowania". Bo Berndt Freitag von Loringhoven nie służył Hitlerowi, tylko Niemcom. W istocie służył III Rzeszy, tak jak Hitler. Arndt Freytag von Loringhoven też służy Niemcom. Zbigniew Grabowski już w 1967 roku stawiał sprawę jasno: „W żadnym państwie nowoczesnym – poza Rosją – nie zdołano zmobilizować tylu setek tysięcy do służby oprawczej".

Ale klasycznym przykładem owego zbiorowego zakłamania Niemców jest historia odbudowania w centrum Europy najważniejszego pruskiego symbolu imperializmu – zamku Hohenzollernów. Samo prześledzenie owego zakłamania, jakie budowano wokół tego przedsięwzięcia, ukrywanie jego motywów, poraża i pozwala odkryć ten sam mechanizm wobec budowania przez Niemcy owej IV Rzeszy pod pozorem tworzenia, w imię dobra ludzkości, sprawnego mechanizmu dla UE. Doskonale ukazała to w artykule naukowym Dide Ekici z Uniwersytetu Michigan, opisując proces dyskusji nad odbudową tego symbolu. Oficjalnie przedstawiano go w kategoriach problemów spójności architektonicznej, ale w rzeczywistości była to – jak zauważa autorka – „selektywnie przywracana niemiecka przeszłość". Jak podkreśla: „Kancelaria Federalna (Bundeskanzleramt) ogłosiła w 2000 roku program polityczny stojący za odbudową zamku. »Potrzebujemy Zamku, gdyż istnieje wyraźna tęsknota za historycznym punktem identyfikacyjnym«. Zamek, niegdyś potężny symbol monarchii, stał się zatem nie tylko symbolem jedności miejskiej, lecz także symbolem jedności narodowej". Niewiele to ma wspólnego z obrazem Niemców jako demokratycznego społeczeństwa, które przezwyciężyło swoją przeszłość. Dla Polski – jeśli pałac Hohenzollernów ma być owym symbolem jedności narodowej Niemców – to jest to potężne ostrzeżenie.

Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec, Kissinger prorokował „Z czasem Niemcy zaczną domagać się większego udziału w decyzjach politycznych, do czego upoważnia ich potencjał ekonomiczny i militarny".

Czy mamy bać się Niemców?

Głównym problemem z Niemcami jest to, co Zbigniew Grabowski w 1967 roku określił jako ich obłudę. Jak pisał: „To, co było najbardziej niepokojące w tych zbrodniach to fakt, że były popełniane przez tzw. bogobojnych obywateli, że ich sprawcy byli na pozór poczciwymi burżujami, że dbali wielce o pozory [...] że latami nikt się nie domyślał, że uprawiali oni swój zbrodniczy proceder. Ta właśnie cecha obłudy najbardziej może zaskakiwała obserwatorów psyche niemieckiej, którzy nie dali się zwieść pozorom mieszczańskiej poczciwości. Ta obłuda pozostała w Niemczech po wojnie, kiedy nikt nie chciał się właściwie przyznać do popełnionych win, kiedy każdy napotykany Niemiec opowiadał, że nie ma nic wspólnego z partią hitlerowską, a nawet swój udział w armii starał się przedstawić jako służbę w intendenturze lub podobnie niewinne zajęcia dla dobra ojczyzny". Grabowski mówi też o „obłąkanej wielkości ambicji" Niemców. Loringhoven i jego ojciec są takim typowym przykładem obłudy.

Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec, Kissinger prorokował: „Z czasem Niemcy zaczną domagać się większego udziału w decyzjach politycznych, do czego upoważnia ich potencjał ekonomiczny i militarny... Tendencje te nie uwidocznią się w pełni, dopóki urząd kanclerza piastować będzie Helmut Kohl – spadkobierca tradycji Adenauera. Jest on jednak ostatnim politykiem wiernym tej tradycji. [...] Niemcy stały się tak silne, że istniejące instytucje europejskie nie gwarantują już równowagi między Republiką Federalną a jej partnerami w Europie". Jednak to już za Kohla zapadły kluczowe decyzje. 20 czerwca 1991 roku niemiecki Bundestag zadecydował o przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina. O wyniku głosowania przesądziło zaledwie 18 głosów. Przeniesienie o 595 kilometrów na wschód centrum zjednoczonego państwa oznaczało, iż zwyciężyła opcja Ratzla–Haushofera – geopolityczne odwołanie się do wi-

Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec, Kissinger prorokował „Z czasem Niemcy zaczną domagać się większego udziału w decyzjach politycznych, do czego upoważnia ich potencjał ekonomiczny i militarny".

eprasa.pl d598d8d6e5

zji Mitteleuropy. Spowodowało to powrót do dyskusji związanej z pruską perspektywą historyczną, tym bardziej uzasadnioną, gdy na czele państwa stanęła Angela Merkel wychowana w duchu komunistycznego DDR, przesiąkniętego pruskim autorytaryzmem. Zwracają na to uwagę Hans-Jürgen Bömelburg i Andreas Lawaty, gdy stwierdzają: „Po 1989/91 roku nowo utworzona republika berlińska została tym bardziej skonfrontowana z kwestią ciągłości i nieciągłości pruskich tradycji, że rządy sprawowano w niej z Berlina, otoczonego siecią pruskich zamków, miejsc pamięci i obiektów. Czy istnieje prusko-niemiecka ciągłość i jaką rolę odgrywa »pruskie dziedzictwo« w niemieckiej kulturze i polityce?".

Niemiecka Europapolitik

Decyzja o przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina radykalnie zmieniła też wektory sił w całej Europie i Europie Środkowej. W sposób naturalny pojawiły się pruskie resentymenty i nasiliła tendencja do budowy osi Berlin–Moskwa. Rosyjski geopolityk Aleksandr Dugin otwarcie zaczął głosić ideę oddania Niemcom Królewca przez FR i wsparcia dla wskrzeszenia Prus. To także w tym okresie Niemcy postawiły na nowy kulturkampf wobec Europy Środkowej, w tym głównie Polski. Rozpoczęła się, niemająca precedensu po wojnie, ekspansja mediów niemieckich w Europie Środkowej. Berlin zaczął też inwestować, wzorem pruskiego Fryderyka Wilhelma I, w ugrupowania polityczne w Rzeczpospolitej. Jeszcze przed włączeniem Polski do UE, powstały silnie proniemieckie ugrupowania w naszym państwie. Wówczas też Berlin forsował powstanie konstytucji dla Europy. Ostateczny cios temu projektowi zadali obywatele Francji i Holandii, w referendach w 2005 roku. Gdy Niemcy objęły prezydencję nad UE w 2007 roku, Merkel przeforsowała traktat lizboński, który tylnymi drzwiami przepychał elementy konstytucji UE. Traktat wzmacniał pozycję Niemiec kosztem innych państw. Gdy dekadę później zaczął faktycznie obowiązywać, szybko okazało się, iż był to punkt krytyczny, który przesądzał o pojawieniu się, w przyszłości, konfliktów między rozpychającymi się o władzę Niemcami a Europą Ojczyzn. Arndt Freytag von Loringhoven twierdzi, iż „Powojenne Niemcy zawsze uważały, że klucze do pokoju i bezpieczeństwa w Europie znajdują się w Moskwie. Ostpolitik Willy'ego Brandta koncentrowała się więc na Moskwie. Fundamentem powojennej polityki zagranicznej Niemiec było przekonanie, że bezpieczeństwo Europy można budować tylko z Rosją, nigdy przeciw Rosji. Z dzisiejszej perspektywy widać, że w tej wizji Rosja odgrywała zbyt dużą rolę, zaś Europa Wschodnia, Ukraina, Polska i inne kraje tego regionu role zbyt małe. Najwyższy czas, aby to zrewidować". Same kłamstwa.

W pierwszym okresie powojennym rząd Adenauera oparty był na relacjach z USA. Zwrot na wschód nie był efektem myślenia Berlina o pokoju, lecz wynikał z przekonania, iż zjednoczenie Niemiec – cel strategiczny – zależeć będzie od Moskwy. Cel był więc geopolityczny. Po jego osiągnięciu Niemcy zaczęli, wspólnie z Rosją, budować nowy wielki projekt geopolityczny, Nord Stream 1 i Nord Stream 2. Miał on mieć podobne konsekwencje jak pakt Ribbentrop–Mołotow. Berlin przekonywał jednak Polskę i państwa Trójmorza, że Nord Stream ma jedynie wymiar gospodarczy. Problem w tym, iż Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, że jest to megaprojekt geopolityczny. Arndt Freytag von Loringhoven to w gruncie rzeczy potwierdza: „Merkel zawsze wspierała ten projekt. Zakładam, że jego polityczny wymiar nie umknął jej uwadze. Sądzę, że odnosi się to zresztą do większości ludzi w Berlinie". Twierdzi też, iż „w założeniu chodziło o stworzenie współzależności z Rosją – mostu, jak to ujął prezydent Steinmeier. Faktu, że to ominie Ukrainę i ją osłabi, nie brano w wystarczającym stopniu pod uwagę. Powiązania energetyczne miały spowodować, że nie tylko Niemcy stają się zależne od Rosji, lecz także Rosja staje się zależna od Niemiec". To jest właśnie opis osi geopolitycznej, która powodowała, że Europa Środkowa stawała się zakładnikiem Moskwy i Berlina.

Ale jest coś, co jeszcze bardziej szokuje – w krytycznym momencie, w 2011 roku, po katastrofie japońskiej elektrowni jądrowej w Fukushimie, Merkel decyduje o całkowitej rezygnacji z energetyki jądrowej przez Niemcy. To jeszcze bardziej pogłębiło zależność Berlina od dostaw rosyjskiego gazu, tym bardziej że niemieckie władze wycofywały się z węgla. Jak stwierdza von Loringhoven: „[…] w lutym 2022 roku aż 55 proc. gazu, jaki sprowadzaliśmy, pochodziło z Rosji. I to bez uruchomienia Nord Stream 2! Sprzedaliśmy też przeszło 1/3 strategicznych magazynów gazu w Niemczech Moskwie i dodatkowo 54 proc. rafinerii w Schwedt, która zapewnia paliwo dla Berlina i Niemiec wschodnich, a także zachodniej Polski". Von Loringhoven twierdzi: „Nie byliśmy sojusznikami Putina. Jestem przekonany, że Putin zdecydowałby się na uderzenie na Ukrainę niezależnie od polityki, jaką prowadziły Niemcy". Jest to kłamstwo, w które nie wierzą sami Niemcy. Wystarczy poczytać niezależne niemieckie media (są takie). Z publikacji ujawnia się porażający obraz – Merkel niemal codziennie kontaktowała się z Paryżem. To jest owa oś czy motor UE. Ale tak naprawdę mieliśmy do czynienia z trójkątem władzy – bo niemal co tydzień odbywała długie, szczegółowe konsultacje osobiste z Putinem. Ale ten zamach Merkel na Europę Ojczyzn w imię budowy IV Rzeszy dziś chce skutecznie zakończyć jej protegowany – Olaf Scholz. Na jej straży ma stać europejska armia i odbudowany symbol pruskiego imperializmu, zamek Hohenzollernów. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

niezależna.pl

#BądźNaBieżąco

cprasa.pl d598d8d6e5

Małgorzata Matuszak

Czym jest... dar

U podstaw społeczności ludzkich tkwi idea wzajemnej wymiany. Wymiana między ludźmi jest momentem komunikacyjnym, w którym znakiem komunikacji jest właśnie dar. Staje się on sposobem wyrażenia, że drugi człowiek, ten, któremu ofiarowuje się dar, ma znaczenie, podkreśla jego wartość. Ten, który ofiarowuje jakieś dobro, i ten, który je przyjmuje, uczestniczą we wspólnocie wymiany dóbr, gdyż jeden na rzecz drugiego zrzeka się dobrowolnie swojej własności i pragnie, by ten ją przyjął na własność.

Wymiana dóbr oraz praktyka darowania, odwzajemniania daru, wdzięczności i ofiary mają bardzo długą historię i sięgają czasów archaicznych. W czasach dawnych kultów religijnych składanie ofiar Bogu było praktyką powszechną. W książce „Esej o naturze i funkcji ofiary" Henri Hubert i Marcell Mauss, dwaj wybitni badacze ludzkich społeczności, zauważają, że ofiara składana Bogu była sposobem człowieka na komunikację ze sferą sakralną. Sam akt ofiarowania sprawia, że nawiązuje się komunikacja, a mówiąc jeszcze ściślej – wytwarza się więź między składającym ofiarę – dar – i obdarowanym – Bogiem. Już w Starym Testamencie odrzucona ofiara Kaina sprawia, że ten czując się wzgardzony przez Boga, zabija swojego brata, któremu zazdrości łaski Boga. Wskazuje to na to, jak ważnym aspektem daru jest jego zdolność do wzbudzania radości i łaskawości. Również ofiary przebłagalne, mające załagodzić gniew Boga, pełnią rolę sprawiania radości Bogu poprzez ofiarę.

Najwyższym darem jest ofiara z siebie. Tak w logice daru można mówić o miłości jako najwyższej formie daru, w którym dwoje ludzi oddaje niejako sobie nawzajem swoje życie – obydwoje powierzają to, kim są, w ręce drugiego człowieka.

W codziennej praktyce powszechną formą obdarowywania jest podarunek, czyli prezent. Ofiarowując go pragniemy sprawić radość komuś drugiemu. Dar ten jest bezinteresowny i nie oczekuje odwzajemnienia, choć bywa ono mile widziane. Idea obdarowywania w szczególny sposób ożywa w czasie świąt Bożego Narodzenia, podczas których ludzie obdarzają się prezentami, nawzajem, ale też bezinteresownie. Zwyczaj ten ma również na celu umocnienie więzi rodzinnych i wspólnotowych. Ofiarowując komuś w darze to, o czym ktoś marzył, czy to, czego potrzebował, sprawiamy mu radość. Odrzucony dar, który nie spotyka się z radością, budzi w ofiarodawcy poczucie goryczy i odrzucenia.

Obdarowując kogoś prezentami, symbolicznie przekazujemy mu w jakiejś mierze siebie, własne uczucia, komunikujemy znaczenie więzi, która nas łączy z obdarowanym. Przywilejem dającego jest wdzięczność za to, że ów drugi jest i jest ważny, a obdarowanego – radość z otrzymanego prezentu. Dodać trzeba, że darem, choć niematerialnym, są również życzenia. Tradycja składania życzeń w okresie świąt Bożego Narodzenia rodzinie, przyjaciołom, sąsiadom, znajomym, a nawet nieznajomym wynika z wiary w to, że słowa wypowiadane w ten święty czas mają szczególną moc sprawczą. Pięknym podarkiem może być również czas, który ofiarowujemy bliskim, nie tylko w tych świątecznych dniach.

Poprzez akty wymiany i darowania ważność więzi między ludźmi zostaje wzmocniona. Tak jak ofiara dla Boga była sposobem na nawiązanie z nim więzi, tak podarunki są sposobem na nawiązanie czy odnowienie więzi z kimś dla nas znaczącym. Dlatego każdy dar ma w jakimś sensie wymiar sakralny. Dar cementuje więzi, pokazuje naszą miłość. Jest sposobem, w jaki wyraża się miłość do drugiego człowieka, gdyż wiąże się z jakimś wyrzeczeniem się tego, co należy do nas. Dar ściśle wiąże się więc z wymiarem religijnym oraz – poprzez miłość, wdzięczność czy dobroć – z wymiarem etycznym. Łączy w sobie zwykłą ludzką radość z powodu obdarowania i równocześnie jest przejawem kultu tego, co większe od nas i ważne, czemu za pomocą ofiary składamy hołd. Wymiana zawarta w akcie daru między ważnymi dla siebie osobami pozwala im poczuć nawzajem, ile dla siebie znaczą i ile ich wiąże. Dar ma więc moc wiążącą ludzi i jako taki jest aktem na wskroś etycznym. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Ewa Polak-Pałkiewicz

Czy żyjemy już w kraju „nowoczesnym”?

„Jeśli chcesz uczynić z ludzi niewolników, wmów im, że ich prywatne sprawy są sprawami społecznymi”. Ta maksyma jest wprowadzana z żelazną konsekwencją w życie przez znaczną część krytyków władzy we wszystkich krajach demokratycznych od zarania epoki liberalizmu. Do każdego, kto stoi o szczebel wyżej od nas w hierarchii społecznej, można – i wręcz „należy” – się przyczepić. Powód jest obojętny. Tę ideologię rzekomo opresyjnego państwa udało się zaszczepić mentalności zwykłych „poczciwych” ludzi, którzy nie deliberują na co dzień nad porządkiem światowym. To częściowo pomaga rozszyfrować, czym jest pokusa zamknięcia się znacznej części Polaków w wielkiej bańce, w świecie iluzji.

Po wyborach wielu z nas zadaje sobie pytanie, skąd biorą się trudności z oceną rzeczywistości u tak dużej części Polaków. Dlaczego ludzie wolą przebywać w „rzeczywistości urojonej". Jeżeli za rzeczywistość biorę jej wycinek albo fałszywy obraz, to znaczy, że jestem zniewolony. Zamknięto mnie. To więzienie może nosić zabawną nazwę „bańka", ale jest prawdziwym więzieniem. Trafiłem tam bez przymusu, sam chciałem… Człowiek odpowiednio zmotywowany potrafi sam wyzbyć się swej podmiotowości, „unieważnić" samego siebie.

Rozchwianie norm moralnych

Pod koniec lat 50. ubiegłego wieku wybitny angielski ekonomista, publicysta i przedsiębiorca, doradca ekonomiczny Narodowej Rady Węgla, prof. Ernst Friedrich Schumacher, z pochodzenia Niemiec, ale z wyboru Brytyjczyk (hitlerowskie Niemcy opuścił przed II wojną światową i nigdy nie chciał tam wrócić), autor czyniącej dużą wrzawę książki „Małe jest piękne", doszedł do wniosku, że skoro człowiek jest *homo viator* – istotą stworzoną i posiadającą cel, która nie zamyka się w świecie materialnym, to zanik świadomości tego faktu musi prowadzić do poważnych chorób społecznych. Gdy zaś człowiek „uzmysłowi sobie, że jest »homo viator«, uchwyci sens życia poza sobą samym" i staje się zdolny do oceny rzeczywistości; potrafi uznać osobistą odpowiedzialność za swoje czyny, zdobyć się na bezinteresowność.

A jednak wszystko wskazuje, że zdolność ta powoli zanika. Schumacher stwierdza, że współczesny człowiek zawdzięcza utratę poczucia odpowiedzialności za swoje czyny trzem „myślicielom": Freudowi, który zdołał narzucić ludziom przekonanie, że samorealizacja jest ważniejsza niż potrzeby innych; Marksowi, który zastąpił odpowiedzialność osobistą nienawiścią do innych („Jeżeli w społeczeństwie źle się dzieje winę ponosi ktoś inny"); i Einsteinowi, który „kładąc nacisk na względność wszystkiego, podkopał wiarę w rzeczy absolutne". Gdy teorię względności zacznie się stosować w obszarze moralnym, doprowadza to do odrzucenia wszelkiej moralności.

W cyklu wykładów na Uniwersytecie Londyńskim Schumacher przedstawił konsekwencje, jakie wiara w to, że człowiek jest *homo viator*, pociąga za sobą w obszarze polityki, ekonomii i sztuki. „Kiedy wierzy się, że człowiek został stworzony przez Boga w oznaczonym celu, polityka, ekonomia i sztuka mają wartość jedynie w tej mierze, w jakiej pomagają człowiekowi osiągnąć tę wyższą płaszczyznę istnienia, która jest jego celem. […] Właśnie w kontekście polityki nie możemy uniknąć ani odsuwać pytania o ostateczny cel i sens człowieka" – podkreślał.

Ktoś, kto wierzy w Boga, będzie uprawiał politykę „pomny wiecznego przeznaczenia człowieka i prawd Ewangelii". Jeżeli jednak polityk uznaje, że „nie istnieją wyższe obowiązki" (to też rodzaj wiary), nie będzie w stanie oprzeć się „powabom makiawelizmu". Polityka będzie wyłącznie sztuką zdobywania i utrzymywania władzy. „Tak, że z grupą towarzyszy możesz kierować światem »wedle waszego upodobania«" – podsumowuje Schumacher.

W Polsce doświadczamy właśnie zderzenia tych dwóch całkowicie odmiennych rodzajów uprawiania polityki. Gdy trwa w najlepsze ów festiwal rozwalania tradycyjnych struktur społecznych – przy akompaniamencie oskarżania rządu Zjednoczonej Prawicy o najdziwaczniej wymyślone uchybienia czy wręcz przestępstwa, odbierania ekipie rządzącej Polską przez ostatnie lata dobrego imienia, podważania dobrych intencji, wyśmiewania i szydzenia z niej – zderzenie to wywołuje silny rezonans w psychice zwykłych ludzi. Wielu z nas ma wrażenie, że świat, jakoś obliczalny dotąd i bezpieczny, chwieje się w posadach. Coś się w nim zacięło, coś poluzowało lub zbutwiało.

Dawny ład w państwach mieniących się chrześcijańskimi opierał się nie na idealistycznych wyobrażeniach o naturze ludzkiej, lecz na jej realistycznym rozpoznaniu i na wskazówkach Kościoła. I był naprawdę ładem, bo niezależnie od popełnianych przez ludzi błędów, grzechów i zbrodni, świadomość dobra i zła była zakorzeniona głęboko w umysłach ludzkich. Chrześcijanie wiedzieli, skąd się wzięli i ku czemu zmierzają, co jest celem ich życia. Dziś naiwna i infantylna „wiara w człowieka", jaką lansuje się tam, gdzie wcześniej mówiło się o wierze w Opatrzność i zaufaniu Jej, odebrała to wielu z nich. Odeszliśmy – także w wyniku posoborowych „przemian" w Kościele – daleko od ideału państwa chrześcijańskiego. Nie deklarując tego nigdy wprost.

Schumacher nie łudził się, że może trwale istnieć w tej dziedzinie coś pośredniego. Przestrzegał, świadom powagi sytuacji, jaką niesie rozchwianie norm moralnych w państwach powojennej Europy i Ameryki, dotkniętych coraz powszechniejszych agnostycyzmem: „Ci, którzy pragną dobrego społeczeństwa, a nie wierzą w Boga, nie są w stanie wytrwać w obliczu pokusy makiawelizmu; już to tracą wiarę w sens tego przedsięwzięcia, już to trzeźwość osądu, kiedy to konfabulują na temat dobroci natury ludzkiej i niegodziwości tych bądź innych wrogów… Optymistyczny »humanizm«, który »całe zło świata przypisuje wybranym ludziom« zamiast uznać jego powszechną obecność w całym rodzaju ludzkim, prowadzi do najwyższego okrucieństwa". Mieliśmy tego w ostatnich dziesięcioleciach także w naszym kraju niejedną próbkę.

FOT. ANTONI CHODOROWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl d598d8d6e5

Metody walki z autorytetem

Kłamstwo i wulgarność na porządku dziennym to coś więcej niż „brudna" kampania wyborcza, której doświadczyliśmy właśnie w Polsce („brudna" rzekomo, bo po prostu inna być nie może). To znak, że skoro gorszą się tym tylko niektórzy ludzie, a państwo jest bezsilne – czy może raczej bierne – wobec jawnego naruszaniu norm dobrego obyczaju, to nie egzekwuje ono swoich uprawnień do ochrony moralnego ładu. Nie wypełnia swojego zobowiązania i nie wykorzystuje autorytetu. Gdy jest zachowany autorytet państwa, chroni ono człowieka niejako z definicji. Gdy nikt w państwie „nie ma autorytetu", nikt, zdaniem znaczącej części społeczeństwa, faktycznie „nie przewodzi", w zwykłym człowieku puszczają wszystkie tamy. Czuje się z góry usprawiedliwiony i wystarczająco „wolny", by dawać publicznie wyraz wściekłości, frustracji, jaką rodzą jego osobiste niepowodzenia czy obsesje. Także „kopiąc", opluwając, znieważając, przeklinając przywódców państwa. Wulgaryzmy stały się dziś codziennym obyczajem ludzi wszystkich niemal stanów i pokoleń, przekleństwa padają w Polsce z ust uczniów pierwszych klas podstawówki… Czy ma to coś wspólnego z normalnością (choć mówi się podniośle o „wolności słowa")?

Wylewanie potoku nieczystości na osoby sprawujące najwyższą władzę w państwie, mimo że zwycięsko wychodziliśmy z kolejnych kryzysów i jakość życia w powszechnym odczuciu, poczucie bezpieczeństwa obywateli, perspektywa rozwoju cywilizacyjnego ulegały tak wyraźnej poprawie, to nie „tylko" wyładowywanie emocji. To efekt – wręcz laboratoryjnie przewidziany – stosowania pewnej metody, która niesie ograniczenie percepcji. Zawęża perspektywę, pozbawia możliwości dotarcia do tego, co rzeczywiste. Odcięcie się od prawdy tak wielu ludzi w Polsce – a prawda to zgodność tego, co postrzegam, z rzeczywistością – jest symptomem poważnego chronicznego schorzenia.

Już w latach 50. ubiegłego wieku angielski pisarz i filozof Clive Staples Lewis ostrzegał, że zaszczepianie w umysłach ludzkich rzekomej konieczności koncentrowania się na swoich instynktach i zachciankach prowadzi wprost do antykulturowej dekonstrukcji i przyniesie zniszczenie cywilizacji. „[…] mimo, że »prawa do szczęścia« żąda się głównie dla popędu seksualnego, wydaje mi się niemożliwe, żeby na tym sprawa miała się zakończyć. Zgubne prawo, raz przyznane w tej dziedzinie, musi prędzej czy później przeniknąć do całego społeczeństwa […] zbliżamy się właśnie do takiego stanu, w którym nie tylko każdy człowiek, ale każdy popęd w każdym człowieku będzie się domagał carte blanche. A wtedy, mim, że nasze technologiczne kwalifikacje mogą nam pomóc przetrwać trochę dłużej, nasza cywilizacja umrze od środka i zostanie – nawet nie śmiem dodać »niestety« – zmieciona z powierzchni ziemi" (C.L. Lewis, „Bóg na ławie oskarżonych"). Warto postawić sobie pytanie, czy Polska jako państwo jest przygotowana do tego, by proces ten zatrzymać?

Nowe niewolnictwo

„Jeśli chcesz uczynić z ludzi niewolników, wmów im, że ich prywatne sprawy są sprawami społecznymi" (Nicolás Gómez Dávila, kolumbijski pisarz). Ta maksyma jest wprowadzana z żelazną konsekwencją w życie przez znaczną część krytyków władzy – nie tylko u nas, lecz we wszystkich krajach demokratycznych – od zarania epoki liberalizmu. Do każdego, kto stoi o szczebel wyżej od nas w hierarchii społecznej, można – i wręcz „należy" – się przyczepić. Powód jest obojętny. Dlatego że krzywo na mnie spojrzał, nie dał podwyżki, że jest tyranem i uzurpatorem, bo nie zauważa moich osobistych potrzeb, co głęboko mnie rani i znieważa, że jest brzydki, nie potrafi się ubierać, nie jest wystarczająco wysoki.

Tę ideologię rzekomo opresyjnego państwa – traktowanego tak tylko dlatego, że jest suwerenne, że nie zależy całkowicie od struktur ponadpaństwowych, od państw silniejszych, bogatszych, a więc jest „niepotrzebnie inne", wyróżnia się, występuje z szeregu – udało się zaszczepić mentalności zwykłych „poczciwych" ludzi, którzy nie deliberują na co dzień nad porządkiem światowym. To częściowo pomaga rozszyfrować, czym jest pokusa zamknięcia się znacznej części Polaków w wielkiej bańce, w świecie iluzji.

Momentem przełomowym w tworzeniu atmosfery przyzwolenia dla niszczenia autorytetu państwa,

> WYCHWALANIE RÓWNOŚCI JEST SPOSOBEM REWOLUCJI NA ZBURZENIE CAŁEGO PORZĄDKU NATURALNEGO. REVOLVERE ZNACZY ODWRACAĆ. ODWRACAĆ CO? WŁAŚNIE HIERARCHIĘ. STAWIAĆ NA GŁOWIE CAŁY LUDZKI PORZĄDEK.

eprasa.pl d598d8d6e5

a wręcz przymuszania do tego, było wyjście na ulice kobiet po wyroku Trybunału Konstytucyjnego ws. aborcji. Ich „niecenzuralne" hasła okazały się zupełnie do zaakceptowania. Wszyscy je w kółko cytowali, jakby były jakimś wybornym dowcipem czy prawdziwą atrakcją, nową i świeżą, a więc z góry do przyjęcia. Panie wykalkulowały, że ta brutalność i złamanie wszystkich kulturowych norm im się opłaci. Że nie będzie zdecydowanej reakcji, bo nie pozwala na to terror obowiązującej poprawności politycznej; włos im z głowy nie spadnie. Nikt nic nie piśnie – z osób, których głos byłby czymś więcej niż zwykłymi pokrzykiwaniami oburzonych prawicowych dziennikarzy czy jakichś przykurzonych „moherów" – bo mamy naszą nienaruszalną świętość, naszego bożka, „wolność słowa". Był to swego rodzaju eksperyment psycho-socjotechniczny, przeprowadzony precyzyjnie, według ustalonych zasad „naukowych". A przecież była to w gruncie rzeczy demonstracja niespotykanej agresji przeciw zwykłym ludziom, rodzinom wychowującym dzieci, matkom, młodym dziewczętom przygotowującym się do roli matki, młodym mężczyznom widzącym siebie w roli ojca. Akt nienawiści wobec Boga i wobec ludzi, wobec religii i kultury naszego państwa – które nie narodziło się w 1945 roku, jak zapewne wiele z tych pań uważa – wybuch barbarzyństwa, nieoglądany od czasów pogańskich, sprzed 966 roku.

Zastanawiający był brak reakcji hierarchii Kościoła. Katolicy byli tym zaskoczeni, zdezorientowani, zasmuceni… A jak reagować powinny władze? Przede wszystkim trzeba te rzeczy nazywać po imieniu, a tego zabrakło.

Pytań o przyczyny braku reakcji wobec słownej agresji wyrażanej publicznie nie można zbywać milczeniem. Dlaczego w wolnej Polsce tolerowane ma być demoralizujące, a wręcz kloaczne słownictwo w sferze publicznej, poniżające każdego, kto jest zmuszony tego słuchać (bardzo często wbrew sobie, niechcący)? Co to ma wspólnego z prawdziwą wolnością? Dlaczego ludzie sztuki, nauki, akademiccy profesorowie mogą bez żadnego ryzyka, że zostaną publicznie napiętnowani, że utracą swoją społeczną pozycję, prestiż, używać języka i gestów recydywistów, by zamanifestować wrogą postawę polityczną wobec Prawa i Sprawiedliwości? Można odnieść wrażenie, że czynią to karnie na rozkaz, na dane hasło… I że jest to rodzaj ponurego i żałosnego spektaklu.

Tu nie chodził jednak o samo „uroczyste", rytualne wręcz zanegowanie autorytetu. Daje o sobie znać przewrotna, podszyta marksistowską nienawiścią potrzeba „plebsu", który grozi zaciśniętym kułakiem „władzy" (tym, których uważa za uprzywilejowanych). W ten sposób ujawnia się coś bardziej generalnego: postawa odrzucenia wertykalnego postrzegania rzeczywistości – to jest odnoszenia wszystkiego do Tego, Który Jest; jest poza nami, istnieje w innym wymiarze, ale jest także Wszechobecny, co było zawsze w dziejach nowożytnej Europy niepisaną zasadą – na rzecz horyzontalnego postrzegania rzeczywistości. Rzeczywistość staje się płaska, bo wszyscy jesteśmy rzekomo „równi", na tym samym niskim poziomie, utytłani w błocie i nienawiści; niech nikt nie śmie uważać, że znajduje się „wyżej" – to przecież czysty marksizm. W ten sposób wielu ludzi upojonych wizją czegoś „nowego" i „świeżego", bo łamiącego dawne kanony kultury, rezygnuje z prawdy o rzeczywistości i zmierza w stronę iluzji.

Równość jest niebezpiecznym mitem

Wychwalanie równości jest sposobem rewolucji na zburzenie całego porządku naturalnego. Revolvere znaczy odwracać. Odwracać co? Właśnie hierarchię. Stawiać na głowie cały ludzki porządek. W rodzinie, w państwie, w Kościele. I zmuszać ludzki umysł, z natury rzeczy nastawiony na przyjmowanie prawdy, do akceptowania tak absurdalnych założeń, jak postulat „równości".

„Równość jest głównie pojęciem matematycznym" – przypomina prof. Adrien Loubier, belgijski socjolog, w książce „Grupy redukcyjne" – „które może być stosowane tylko do mierzenia ilości. Posługiwać się nią, gdy mówi się o osobach, to zupełny absurd na poziomie samych słów". Tłumy gromadzące się w Polsce podczas wystąpień prymasa Wyszyńskiego czy podróży apostolskich Jana Pawła II udowadniały, jak silna jest u człowieka potrzeba hierarchii.

Adrien Loubier przypomina, że „uznawanie rzeczywistości powinno prowadzić do uznania nierówności: raz, że one istnieją naprawdę, po wtóre, że są prawdziwym dobrodziejstwem". Realistyczne spojrzenie na historię rodu ludzkiego zawsze to potwierdza. Hierarchia, czyli porządek oparty na prawdzie, jest warunkiem faktycznego ładu we wszystkich ludzkich społecznościach. Także politycznego i ekonomicznego. „Pod wyraźnie określonym kierownictwem każdy będzie mógł przekazywać innym to, co zna i potrafi najlepiej, a więc poszerzać ich znajomość rzeczywistości. Słowem, ludzie będą się czegoś uczyć, zamiast zapominać to, co już umieli; będą się stopniowo wzbogacać prawdą, zamiast ubożeć umysłowo i spadać na coraz niższy poziom; wreszcie będą mogli budować zamiast rozwalać" (A. Loubier).

Kościół odrzuca dziś zasadę autorytetu

Pytania o hierarchię i o rzeczywistość tylko z pozoru są naiwne i „zastępcze". Wyjaśnienie bowiem, jak to się stało, że nie uzyskaliśmy w tych wyborach większej przewagi, nie leży wyłącznie w sferze zagad-

eprasa.pl d598d8d6e5

nień świeckich, socjologicznych, ekonomicznych; leży w sferze religijnej, a konkretnie, w sferze wiary. „[…] zasadą wiary katolickiej jest posłuszeństwo, czyli żarliwa i bezwarunkowa wiara w słowa dane przez Boga w Piśmie Świętym i przechowywane w Kościele jako »depositum fidei« – albowiem »od Boga samego pochodzą«" (prof. Romano Amerio).

Gdy więc człowiek pojmuje jako cel swojego życia wyłącznie zaspokojenie potrzeb materialnych, przeprowadza we własnym umyśle akt „zdetronizowania" prawdy objawionej, głoszonej zawsze, przez 2 tysiące lat, mocą Autorytetu Boga w Kościele. Nie sposób ukryć, że dziś, gdy „synodalność" lansowana przez obecnego papieża wprowadza zupełnie nowe pojmowanie Kościoła – jako „demokratycznej" wspólnoty Ludu Bożego, a nie instytucji Bosko-ludzkiej, istniejącej z nadania Boga, posiadającej najwyższą władzę wyposażoną w atrybuty pochodzące od Stwórcy – autorytet, także w Kościele, rozpływa się i zanika. „Kolegialność" zastępuje władzę biskupa. Nieustanne dyskusje w licznych, trudnych do określenia co do ich celu i faktycznego umocowania czy reprezentatywności, mocno zróżnicowanych gremiach, a nade wszystko reformy dostosowujące coraz bardziej Kościół „do świata", schlebianie na każdym kroku wygodzie wiernych, znoszenie moralnych barier, by wszyscy „dobrze się czuli", koncentrowanie się na akceptacji „inności", by broń Boże ktoś nie poczuł się odrzucony, sprawia, że Kościół staje się instytucją podobną do wielu instytucji społecznych czy dobroczynnych. Rodzajem wielkiego domu opieki, gdzie leczy się rany ciała, lecz nie duszy. Taki Kościół będzie jednak milczał, gdy pojawi się śmiertelne niebezpieczeństwo dla ludzkiego umysłu, dla duszy człowieka. A także zagrożenie dla bytu państwa – które tak jak rodzina jest instytucją naturalną, daną przez Boga.

▶ Zaspokoić wszystkie potrzeby?

Poprawa warunków życia, podwyżka pensji, bezpieczniejsze ulice, lepsza komunikacja, drogi, laptopy dla dzieci w szkołach, dobrze wyposażona armia, prężna gospodarka, wiele czynionych z wyobraźnią i najlepszą wolą inwestycji… – tak, to wszystko ważne, godne uznania, ale człowiek z wydrążonym duchowym wnętrzem, jak pisał Thomas Stearns Eliot, nie jest w stanie tego w najmniejszym nawet stopniu docenić, uszanować, bo pogardza on własnym państwem, uważa go za sztuczny twór. A w ataku agresji, którą rodzi jego frustracja, która wyrosła na utracie celu życia, będzie to wszystko jeszcze kopał, niszczył i lżył. Bo w gruncie rzeczy pogardza on także samym sobą. Nicolás G. Dávila przestrzega: „Hierarchie są niebiańskie, w piekle wszyscy są równi".

„Dla człowieka nowoczesnego, nieświadomego celu, w którym został stworzony, jedyną funkcją polityki, ekonomii i sztuki jest zaspokajanie jego chciwości, jego zwierzęcych żądz i jego pragnienia władzy" – podkreśla Schumacher. Polska stała się w jakimś momencie – na co złożył się w wielkim stopniu kryzys Kościoła – rzeczywiście krajem „nowoczesnym"… Z coraz bardziej infantylnym społeczeństwem, znającym się na modzie i samochodach, podróżującym po całym świecie, lokującym główne ambicje w tym, by codzienną egzystencję ułatwiały najnowsze gadżety… Przedstawiciele takiego społeczeństwa „domagają się »rozwiązań« i wpadają w gniew, gdy mówi im się, że odnowa społeczeństwa musi przyjść od wewnątrz, nie zaś od zewnątrz" – stwierdza Schumacher.

Członkowie infantylnych społeczeństw są coraz bardziej niezadowoleni i roszczeniowi. Niecierpliwią się, że ten upragniony, bezbolesny, idealny porządek, całkowicie sztuczny i wyspekulowany, nie nadchodzi, ociąga się, pomimo że technologie są coraz doskonalsze. Realiści, jakimi są najczęściej katolicy, także pragną sprawiedliwego społeczeństwa, ale nie łudzą się, że ono może kiedykolwiek nastąpić. Ziemski epizod traktują jak arenę walki „Mamona z Bogiem, w której ten świat stoi raczej po stronie Mamona" (Joseph Pearce).

Tak, musimy przełknąć tę żabę, odgadnąć głębszą przyczynę braku większej liczby głosów rodaków oddanych w październikowych wyborach na kandydatów Zjednoczonej Prawicy. Nie tylko dlatego, by rządy w państwie, które przez ponad tysiąc lat było chrześcijańskie – nie z nazwy jedynie i nie wyłącznie z „tradycji" – mogły być dalej sprawowane przez patriotów, ludzi dużego formatu intelektualnego i moralnego. Nasze państwo było chrześcijańskie, aż do połowy XX wieku, w samym rdzeniu swojego istnienia, bo Bóg był tu ponad wszystkim. Tak jak chciał tego nasz pierwszy władca polityczny Mieszko I, oddając swój kraj w lenno „Świętemu Piotrowi", jak uwiecznił to w historycznym dokumencie „Dagome iudex" z 991 roku.

Łatwiej będzie to zrobić zagryzając zdrowym, witaminowym posiłkiem – powrotem (nie tylko w deklaracjach) do starych prawd i moralnych zasad odrzuconych przez pseudonowoczesność. To warunek przetrwania państwa i cywilizacji. Zrywając z obłudną zasadą neutralności światopoglądowej. Indyferentyzm moralny, czyli „neutralność światopoglądową" jako społeczną normę, coś pozytywnego, mogą traktować tylko zaślepieni idealiści; w rzeczywistości prowadzi ona do wszelkich nadużyć i przestępstw. Jest groźna dla człowieka i społeczeństwa. Rodzi terror politycznej poprawności, gdy nie ma miejsca na wiarę – i w konsekwencji na jakikolwiek racjonalny moralny sprzeciw

eprasa.pl d598d8d6e5

wobec zła i deprawacji – w publicznym życiu. Wiara musi być schowana, ukryta jak najgłębiej, w zakamarki prywatności. Jeżeli jednak „nie wiemy", kim jest Bóg, nie wiemy też, kim jest człowiek. Nie potrafimy nazwać dobra i zła ani odróżnić ich od siebie. Człowiek może być tylko ofiarą takiego społeczeństwa.

Gdy prawda o tym, skąd pochodzimy i ku czemu zmierzamy, nie jest obroniona – w pierwszym rzędzie przez hierarchię Kościoła, ale także przez państwo – ludzie sami siebie postrzegają jak widma. I państwo też nie jest dla nich czymś rzeczywistym. Program najlepiej opracowanego rozwoju kraju nie jest w stanie w ogóle dotrzeć do umysłów.

Współczesny świat nie tylko o tych prawdach zapomina, lecz także z całej siły je zwalcza, pogrążając się coraz bardziej w morzu gnijących odpadów, skutków rzuconych niegdyś haseł o „równości" i „braterstwie". Jakże zręcznie maskujących ukryty poza ich fasadą mechanizm coraz bardziej globalnej, w istocie czysto totalitarnej władzy.

Schumacher nie był pesymistą

Pesymizm jest zawsze najgorszym doradcą. Może stać się ukrytą chorobą, która zabija pacjenta, gdy leczy się on na coś innego. Ernst F. Schumacher był przekonany, że pesymizm w dziedzinie przewidywania społecznych przemian jest samospełniającą się przepowiednią. „Jeżeli człowiek spodziewa się najgorszego, najpewniej spotka go to najgorsze. Negacja rodzi negację". Dlatego tak mocno podkreślał siłę chrześcijańskiej nadziei. To przekonanie było inspiracją do napisania książki „Małe jest piękne", która stała się światowym bestsellerem. Dzięki niej Chestertonowska doktryna dystrybucjonizmu „stała się, przynajmniej na pewien czas, najmodniejszym credo ekonomicznym na świecie". Podtytuł wydanej w 1973 roku książki Schumachera brzmi: „Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że człowiek coś znaczy". Dwa lata przed jej wydaniem autor, wcześniej sympatyk marksizmu i buddyzmu, nawrócił się na katolicyzm, a jego teorie ekonomiczne zyskały solidny fundament religijny i filozoficzny. Zawdzięczał wiele społecznym encyklikom papieskim *Rerum novarum* Leona XIII (z 1891 roku) i *Quadragesimo anno* Piusa XI (z 1931 roku), był ich znawcą i często się na nie powoływał. Za największe życiowe dokonanie uznawał swój „Przewodnik dla zabłąkanych", książkę napisaną po nawróceniu, poświęconą sprawom duchowym.

Nigdy odtąd nie ukrywał, zarówno w publikacjach, jak w wykładach, że – jak pisano w „The Times" po ukazaniu się „Małe jest piękne" – „zatracenie przez świat zachodni etyki klasycznej czy chrześcijańskiej przedzierzgnęło nas w zubożałych duchowo wyznawców religii wzrostu gospodarczego, która wiedzie ku wszelkiego rodzaju katastrofom globalnym", ponieważ ludzie w niej znaczą mniej niż zyski.

Ten przykuwający zawsze uwagę audytorium swoim wyglądem, głosem, osobistym magnetyzmem i poczuciem humoru Brytyjczyk – z wyboru, przekonania i z racji przylgnięcia do kultury angielskiej oraz jej prowincji (mieszkał na wsi, w pobliżu Caterham w hrabstwie Surrey, gdzie prowadził własne gospodarstwo), nigdy nie nabrał się na „postęp" jako wartość samą w sobie, gdyż naukową rzetelność, ścisłość i wnikliwość łączył z religijnym spojrzeniem na człowieka. Dostrzegał jego kruchość, słabość i piękno zarazem, tkwiące w nieustannym, intuicyjnym poszukiwaniu drogi do swego Stwórcy. Nawet wtedy, gdy próbuje ze wszystkich sił zaprzeczać Jego istnieniu. W mowie podczas pogrzebu Schumachera w katedrze westminsterskiej, w listopadzie 1977 roku, gubernator Kalifornii Jerry Brown nie wahał się wypowiedzieć głośno tego, co dziś zapewne zgorszyłoby wielu nuworyszy, fanatyków liberalizmu, entuzjastów światowego ładu gospodarczego. Schumacher w jego ocenie „był człowiekiem niezwykłej prostoty, który trafiał do tłumów dzięki sile swych idei i osobowości. [...] w imię pradawnej mądrości zakwestionował podstawowe przekonania społeczeństwa nowoczesnego". ■

„Dla człowieka nowoczesnego, nieświadomego celu, w którym został stworzony, jedyną funkcją polityki, ekonomii i sztuki jest zaspokajanie jego chciwości, jego zwierzęcych żądz i jego pragnienia władzy".

Skrócona wersja tekstu ukazała się w „Gazecie Polskiej Codziennie" 8 listopada br.

Źródła: Adrien Loubier, „Grupy redukcyjne", Komorów 2006; Ernst Friedrich Schumacher, „Małe jest piękne", tłum. Jerzy Strzelecki, Ewa Szymańska-Wierzyńska, Warszawa 2013; Josepf Pearce, „Pisarze nawróceni. Inspiracja duchowa w epoce niewiary", tłum. Robert Pucek, Warszawa 2006.

eprasa.pl d598d8d6e5

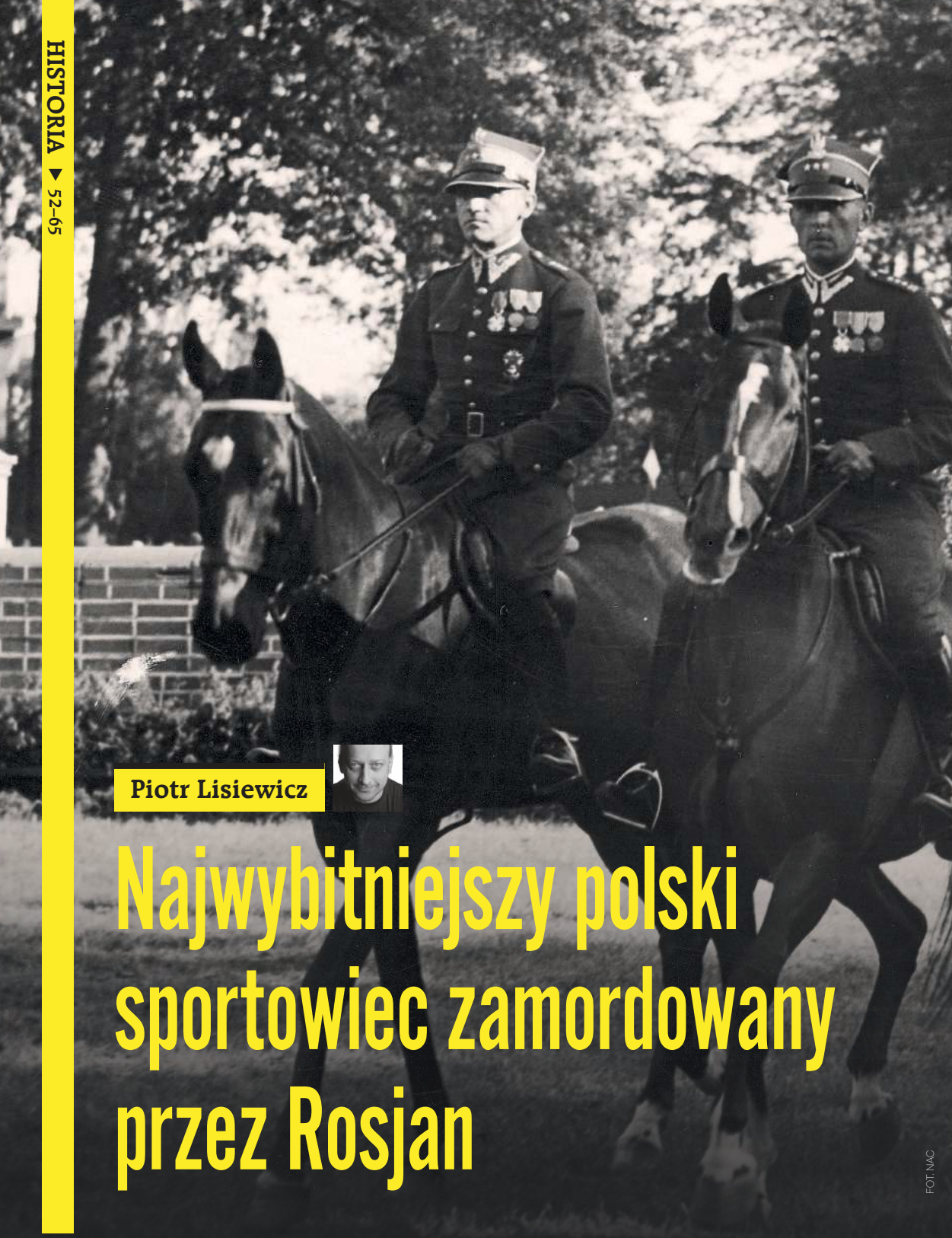

Piotr Lisiewicz

Najwybitniejszy polski sportowiec zamordowany przez Rosjan

FOT. NAC

eprasa.pl d598d8d6e5

Członkowie polskiej ekipy jeździeckiej. Widoczni od lewej: rotmistrz Seweryn Kulesza, rotmistrz Henryk Rojcewicz i rotmistrz Kawecki, 1937 r.

Zdzisław Kawecki, polski jeździec na wspaniałym koniu Bambino, zdobył w czasie igrzysk w Berlinie w 1936 roku srebrny medal w drużynie. Po złoto sięgnęli faworyci Adolfa Hitlera, a to za sprawą oszustw, przez które Kawecki kończył konkurs z dwoma złamanymi żebrami i krwią na ustach, a Bambino ze skaleczoną nogą. Los współautorów ogromnego olimpijskiego sukcesu miał być za kilka lat tragiczny. Rotmistrz Zdzisław Kawecki zginął w Katyniu, a jego koń Bambino padł w kampanii wrześniowej w 1939 roku.

eprasa.pl d598d8d6e5

Srebro w Berlinie zdobyła polska drużyna, czyli tak naprawdę polscy ułani. Rzecz jasna ku niezadowoleniu wodza III Rzeszy, któremu służyć miał olimpijski spektakl. Było ich trzech. Rotmistrz ze starszeństwem Zdzisław Kawecki walczył w 1920 roku z bolszewikami w 18. Pułku Ułanów. Pułkownik Henryk Leliwa-Roycewicz, członek POW, służył z kolei w 1. Pułku Ułanów Wileńskich. Zaś major kawalerii Seweryn Kulesza walczył w wojnie polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej w składzie 1. Pułku Ułanów Krechowieckich.

Kto był ich głównym rywalem w nieuczciwej walce o złoto? Późniejsze losy trójki Niemców, z których każdy był żołnierzem Wehrmachtu, też mówiły wiele. Ludwig Fritz Ernst Stubbendorff zginął w 1941 roku na froncie wschodnim, na Białorusi. Rudolf Lippert zginął w kwietniu 1945 roku w Bielefeld, zabity przez Amerykanów. Zaś Konrad Freiherr von Vangenheim trafił do sowieckiej niewoli, gdzie został znaleziony powieszony w roku 1953.

Niemieckie oszustwo

Igrzyska nie były uczciwe, nie miały też nic wspólnego z duchem olimpizmu i ideami barona Pierre'a de Coubertin. Autor strony internetowej Stajnia Trot pisze o tym: „Zawodnicy przysięgali, że »podczas Igrzysk walczyć będą lojalnie i że będą przestrzegać reguł współzawodnictwa«, że »biorą udział w zawodach przepojeni rycerskim duchem«. Niestety ze strony Niemców niejednokrotnie okazywało się, że były to tylko czcze słowa, a rycerski duch gdzieś się zdematerializował. Np. do dziś symbolem tej olimpiady jest ucieczka Hitlera z trybun, by nie musiał ściskać dłoni czarnoskóremu skoczkowi wzwyż, Corneliusowi Cooperowi (»Corny«) Johnsonowi, który wówczas wynikiem 2,03 m zdobył złoty medal oraz ustanowił rekord olimpijski".

Na czym polegało niemieckie oszustwo w czasie olimpijskich zawodów jeździeckich? Portal Olimpijski.pl tak pisze o rywalizacji podczas igrzysk: „Był to niezwykle dramatyczny występ polskich jeźdźców (14 sierpnia 1936) w trzyczęściowym (ujeżdżanie, cross terenowy, konkurs skoków) drużynowym WKKW, gdzie wycofanie się lub nieukończenie konkurencji przez jednego z jeźdźców równało się automatycznie dyskwalifikacji zespołu. Polacy mieli w stolicy III Rzeszy wielu znakomicie przygotowanych rywali, ale najgroźniejsi byli oficerowie niemieckiego Wehrmachtu. A tu tymczasem sensacja. Po pierwszym dniu Niemcy dopiero na 7. miejscu. Nasi byli na 3.".

Wiadomo było jednak, że o wynikach całego konkursu zadecyduje bardzo ciężka próba terenowa. Tam organizatorzy igrzysk postarali się ułatwić zwycięstwo swoim zawodnikom. Autor strony Stajnia Trot pisze o tym: „Jedna z przeszkód pozornie była dość prosta. Składała się z niezbyt wysoko umieszczonego drąga i tuż za nim płynącego strumienia, w którym następowało lądowanie po skoku. Niemcy »twórczo« zmodyfikowali przeszkodę w ten sposób, że dno strumienia na wysokości środkowej części drąga (czyli tam, gdzie w naturalny sposób »celuje« przymierzając się do skoku większość jeźdźców) potajemnie rozkopali". W efekcie 46 koni upadło na tej przeszkodzie, a 10 zrzuciło swoich jeźdźców.

Konie trzeba było dobijać

Tylko zawodnicy niemieccy wiedzieli, jak uniknąć tragedii: trzeba było brać tę przeszkodę po jej lewej stronie, czyli tam, gdzie dno strumyka było wyższe, nienaruszone i twardsze. Jak pisze portal Olimpijski.pl: „To była prawdziwa jatka. Wszyscy jeźdźcy pospadali z rumaków, dwa konie ze złamanymi kończynami musiano dobić. Amerykanin Williams złamał nogę, a Niemiec Vangenheim – obojczyk. Polaków przykre przygody nie ominęły. Najwięcej punktów karnych nazbierał Kulesza. Leżał dwukrotnie. Przy przeszkodzie nr 4 upadł wprost do błota. Zgubił czapkę i… sygnet. W sadzawce leżał Roycewicz. Na przeszkodzie nr 10 skierowano go na złą trasę (punkty karne za przekroczenie czasu)".

Autor strony internetowej Stajnia Trot doprecyzowuje skalę okrucieństwa niemieckiego oszustwa: „Dwa konie złamały nogi i zostały dobite (Monaster porucznika Gustafa Nyblaeusa ze Szwecji i Slippery Slim amerykańskiego kapitana Johna Willemsa, który sam podczas tego upadku złamał nogę). Dwa konie: australijski Manada i rumuński Gasconi nabawiły się kulawizn i nie ukończyły wyścigu. Było wiele pomniejszych urazów. Zdyskwalifikowano aż dziesięć reprezentacji narodowych".

Koń Kaweckiego stanął przed wyjątkowo trudnym zadaniem. „Bambino był koniem o eleganckiej sylwetce, obszernych i płynnych ruchach, z dużym potencjałem skokowym. Był też jednak w tym czasie wierzchowcem młodym i niełatwym, nerwowym, wyrywnym, gwałtownie reagował na każde, nawet lekkie działanie wodzy" – pisze autor strony Stajnia Trot. Rotmistrz Kawecki kilka razy tracił kontakt z koniem, bo złamał dwa żebra. „Półprzytomny, z krwią na ustach wsiadł jednak na konia i zmierzał do mety. Nagle, tuż przed nią stanął! Dopiero okrzyki Polaków uświadomiły mu, że mety jeszcze nie osiągnął. »Bambino« przypłacił cross skaleczeniem nogi" – pisze portal Olimpijski.pl.

Miał 17 lat, gdy zaciągnął się do wojska

„W polu czerwonym, srebrna lilia podwójna, z pierścieniem złotym w środku. W klejnocie siedem piór pa-

eprasa.pl d598d8d6e5

wich, na nich takaż lilia" – tak opisywany jest herb Gozdawa. Ponoć herbem tym książę Władysław Herman, władca Polski, obdarzył rycerza Krystyna z Gozdawy za męstwo na polu walki. Lilia symbolizowała niepokalane rycerstwo, a pawie pióra w klejnocie – mądrość.

Zdzisław Szczęsny Kawecki herbu Gozdawa urodził się 21 maja 1902 roku w Husiatynie na Podolu w rodzinie ziemiańskiej, która miała majątek w powiecie kosowskim. Był synem Stanisława i Jadwigi z Gończakowskich. Miał pięcioro rodzeństwa. W jego rodzinie istniał zwyczaj, że gdy urodziło się kolejne dziecko, sadzono drzewko. Jego drzewkiem była rajska jabłonka.

Już jako dziecko miał styczność z końmi. „Wiadomo za to, że jeździectwa uczył się już w dzieciństwie, w rodzinnym domu. W ziemiańskiej familii, z której pochodził, wypadało znać jazdę wierzchem. Podobnie jak historię i tradycje majątków kresowych, od najmłodszych lat wpajane mu przez rodziców: Jadwigę i Stanisława" – piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki cyklu książek „Sportowcy dla Niepodległej".

Uczył się w gimnazjach, kolejno w Husiatynie, Wiedniu i Kołomyi. Maturę zdał w 1921 roku w Stanisławowie. Wcześniej zaangażował się jednak w polską awanturę. Jako 16-latek wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Józefa Piłsudskiego w Kołomyi. „Kiedy w tajemnicy przed rodziną zaczął przygotowania do opuszczenia domu i zaciągnięcia się do wojska, Jego Matka powiedziała, że nie musi uciekać, bo Ona rozumie konieczność walki o Polskę i wszystko mu przygotuje. Miał wówczas 17 lat" – czytamy na stronie Federacji Rodzin Katyńskich.

Na wojnie z bolszewikami

Kawecki uczestniczył w walkach z Ukraińcami na Pokuciu i w obronie Kołomyi. 1 czerwca 1919 roku zgłosił się jako ochotnik do 6. Pułku Ułanów Kaniowskich. 6 listopada 1919 roku został oddelegowany do Szkoły Podchorążych Piechoty w Warszawie, a po jej ukończeniu trafił w 1920 roku do Szkoły Podchorążych Jazdy w Przemyślu. 1 maja 1920 roku dostał przydział do 18. Pułku Ułanów w Grudziądzu i awans na podchorążego.

Pod koniec maja 1920 roku Kawecki wraz ze wspomnianym 18. Pułkiem Ułanów wyruszył na front. Walczył nad Dźwiną. W rejonie Drui został odcięty od sił polskich, wycofał się do Kłajpedy. Później drogą morską dotarł do Gdańska, a następnie popłynął Wisłą do Torunia. 25 mianowany został porucznikiem. Dowodził plutonem, na froncie został do maja 1920 roku. 1 października 1921 roku otrzymał awans na porucznika.

W latach 1925–1926 Kawecki pełnił służbę w 26. Pułku Ułanów. Początkowo dostał przydział do Korpusu Ochrony Pogranicza w Baranowiczach. Dwa lata później został przeniesiony do 10. Pułku Strzelców Konnych w Łańcucie.

Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", w pewnym momencie Kawecki musiał jednak zwolnić i na chwilę wycofać się z intensywnego życia wojskowego. Lekarze, podejrzewając gruźlicę, skierowali go na leczenie do sanatorium PCK w Zakopanem. Ale gdy skończył rehabilitację, z nowym zapałem powrócił do służby wojskowej. W 1931 roku ukończył wyższy kurs instruktorów jazdy konnej.

Zdzisław Szczęsny Kawecki herbu Gozdawa urodził się 21 maja 1902 roku w Husiatynie na Podolu w rodzinie ziemiańskiej. W jego rodzinie istniał zwyczaj, że gdy urodziło się kolejne dziecko, sadzono drzewko. Jego drzewkiem była rajska jabłonka.

Wychowawca pokoleń polskich jeźdźców

„Mają dupy jak z mosiądza, to ułani są z Grudziądza" – głosiła słynna żurawiejka. Kawecki przez siedem lat był instruktorem w Centrum Wyszkolenia Kawalerii (CWK) w Grudziądzu. „W pracy sprawdzał się świetnie – nie tylko sam nieustannie się kształcił i doskonalił w jeździe, ale też potrafił przekazać wiedzę i umiejętności kursantom. Jeździeckie i pedagogiczne talenty Kaweckiego były powszechnie znane, przełożeni wprost rozpływali się w zachwytach" – piszą Stokłosa i Wójcik. „Jako instruktor jazdy konnej posiada pełne wyrobienie teoretyczne i praktyczne oraz dużą umiejętność nauczania. Jest bardzo dobrym oficerem jako wychowawca, instruktor i dowódca" – recenzował jego umiejętności komendant CWK płk Zygmunt Podhorski. „Jeździec bardzo dobry. Wartość zawodnika duża. Bardzo ambitny i obowiązkowy" – pisał major Michał Antoniewicz, główny instruktor jazdy konnej.

Kawecki przez cały czas brał udział w zawodach, w których odnosił wiele sukcesów. Specjalizował się

eprasa.pl d598d8d6e5

w również w konkursach myśliwskich. W maju 1930 roku wziął udział w Konkursie im. Prezydenta RP w Grudziądzu. „Na klaczy o imieniu Ostryga bezbłędnie pokonał parkur i zdobył srebrny puchar. W tym samym roku i na tej samej klaczy wygrał jeszcze Czempionat Konia" – piszą Stokłosa i Wójcik. Rok później wygrał konkurs skoków. Z kolei w konkursie ujeżdżania w latach 1935 i 1939 zajmował drugie miejsca.

Z Grudziądza został przeniesiony do 7. Pułku Strzelców Konnych Wielkopolskich. 27 czerwca 1935 roku został mianowany rotmistrzem ze starszeństwem z dniem 1 stycznia 1935 roku i 5. lokatą w korpusie oficerów kawalerii.

WKKW było popularne jak dziś Liga Mistrzów

O wydarzeniach na niesławnych igrzyskach w Berlinie pisałem na początku, jednak warto ich rangę ustawić we właściwych proporcjach. Zawody, w których brutalnego fałszerstwa dopuściły się niemieckie władze do spółki z niemieckimi sportowcami, oglądało na żywo 200 tys. widzów. Autor strony Stajnia Trot pisze o tym: „Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach koń (zwłaszcza wierzchowy) ciągle był bardzo ceniony, a końskie zawody były równie popularne i prestiżowe, co dziś mecze Ligi Mistrzów. Dość powiedzieć, że podczas zawodów WKKW cross oglądało około 200.000 widzów, a ostatniego zmagania podczas konkursu skoków na stadionie – 90 tysięcy widzów (wśród nich sam Hitler)!".

Dlatego hitlerowska propaganda kalkulowała, że: „Wygrana Niemców w takich zawodach byłaby w całej III Rzeszy wielkim wydarzeniem, niesamowitym sukcesem, no i powodem do dalszego dęcia w propagandowe tuby". Ale „WKKW było także prestiżowe dla Polaków, którzy w przeszłości zdobyli już sześć jeździeckich medali olimpijskich". I to niedopuszczenie do ich zwycięstwa było głównym celem Niemiec. Jak wyglądała trasa zawodów, na której Niemcy urządzili pułapki na sportowców z innych krajów? Wyszczególnijmy: 7 km rozgrzewkowego odcinka biegu po okolicznych drogach z limitem czasu 29' 10; 4 kilometry steeplechase'a z 12 przeszkodami (6' 40"); 15 kilometrów biegu po drogach (62' 30"); najgorszego odcinka: 8 kilometrów crossu z przeszkodami (17' 46"); 2 km biegu (6').

Teoretycznie miało być więc nie tylko praworządnie, lecz także nowocześnie. Jak czytamy, „Organizatorzy całą trasę posiali nową trawą, a że całość była non-stop zraszana wodą ze specjalnie wykopanego stawu, więc podłoże było grube i sprężyste. Cała trasa była ogrodzona i zaopatrzona we wszelkie odpowiednie urządzenia techniczne. Zaprojektowano wiele nowego rodzaju przeszkód, mających zapewnić nietypowe skoki i utrudnienia. Prócz barier były np. kopce, na które trzeba było w określony sposób wejść i z nich zejść, rowy z barierami przed nimi lub po nich".

Okrzyk „Halt!" i blokada przed przeszkodą

Ważne informacje dotyczące niemieckiego olimpijskiego szwindla przedstawiał pułkownik Henryk Leliwa-Roycewicz, startujący na koniu Arlekin: „W pewnym momencie zauważyłem, że żołnierze stojący przy przeszkodach dają mi jakieś niezrozumiałe znaki. Potem usłyszałem nawoływanie »halt«, powtarzające się przed każdą nową przeszkodą. Złościło mnie to, gdyż wiedziałem, że konia i rynsztunek mam w porządku, skakałem więc dalej nie zwracając uwagi na okrzyki. Przy dwudziestej przeszkodzie kilku żołnierzy zagrodziło mi drogę. Teraz już nie było wątpliwości, że mam się zatrzymać. Podszedł sędzia i zawiadomił mnie, że zostałem wyeliminowany z przebiegu, gdyż przy dziesiątej przeszkodzie jakoby popełniłem błąd, za który mnie zdyskwalifikowano".

Jak wspominał Leliwa-Roycewicz, oznaczało to koniec udziału w zawodach nie tylko dla niego, lecz także dla całej polskiej ekipy. Wiedział jednak, że nigdzie nie popełnił błędu, a na pewno nie na dziesiątej, łatwej przeszkodzie. Był rozbity: „Lecz gdzie szukać ratunku, z kim rozmawiać w tej sprawie? Sam, wśród mrowia obcych ludzi, wiedziałem, że rozmowy nic nie pomogą, że wyjaśnienia nie otrzymam. Nie mogłem się namyślać, czas uciekał. Zawróciłem strudzonego już Arlekina i pogalopowałem z powrotem do dziesiątej przeszkody. Tylko tam mogłem otrzymać odpowiedź. I cóż się okazało? Żadnego błędu nie było. To sędzia się pomylił, za co mnie gorąco przepraszał. Najpierw opanowała mnie wściekłość, ale potem odczułem wielką ulgę. Poklepałem dzielnego Arlekina i znów pogalopowałem do dwudziestej przeszkody, aby kontynuować przebieg. Przez fatalną pomyłkę sędziego dołożyłem przeszło 4 km drogi".

Po długiej naradzie jury uznało, że Roycewicz ukończył bieg w przepisowym czasie, lecz nie otrzymał punktów dodatnich, które z pewnością byłyby na jego koncie, gdyby nie został powstrzymany przez żołnierzy... Popularny ułan również zetknąć miał się, podobnie jak jego koń, z Armią Czerwoną, będąc rannym w walce z Rosjanami. „Nie przypuszczałem wówczas, że w kilka lat po moich zmaganiach na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie dojdzie między nami do innych zażartych zmagań, w których w ciągu pięciu lat tylko kilkukrotnie odłożę broń, na czas kuracji z odniesionych ran, a mój dzielny Arlekin zginie od bomby niemieckiej" – wspominał po latach. Ranny w potyczkach z Sowietami, którzy zajęli Kresy, uciekł ze szpitala

eprasa.pl d598d8d6e5

w Stryju. W ten sposób uniknął losu pozostałych oficerów jego pułku, którzy zginęli w Katyniu.

Jak podkreśla autor strony Stajnia Trot, na następne olimpijskie sukcesy Polaków w jeździectwie trzeba było czekać aż 44 lata, do olimpiady w Moskwie w 1980 roku. Były to medale w skokach przez przeszkody: indywidualny złoty Jana Kowalczyka na Artemorze i srebrny drużyny (Marian Kozicki i Bremen, Jan Kowalczyk i Artemor, Wiesław Hartman i Norton oraz Janusz Bobik i Szam). „I choć złośliwi twierdzą, że udało się to tylko dlatego, że olimpiadę zbojkotowały aż 63 ekipy z zapowiadanych 144, to jednak medal zawsze pozostanie medalem, a sukces – sukcesem" – konkluduje.

Polo rodem z Azji

Zimą Kawecki uczestniczył z kolei w zawodach organizowanych w Zakopanem przez Małopolski Klub Jazdy Konnej. Rywalizowano tam nie tylko w jeździectwie, lecz także w skijöringu – wyścigu narciarzy ciągniętych przez konie po śniegu.

Ponadto rotmistrz Kawecki brał udział wtedy w wojskowych meczach polo. Polo uważane za najstarszą grę zespołową na świecie, to gra rozgrywana konno na trawiastym boisku przez dwie czteroosobowe drużyny, których gracze dążą – używając długich kijów, tzw. malletów – do umieszczenia w bramce przeciwnika drewnianej, białej kuli wielkości pomarańczy. Polo miało swój rodowód w Azji, na terenach dzisiejszego Iranu i Turkmenistanu. Do Europy dotarło w XIX wieku przez stacjonujące w Indiach wojska brytyjskie, które nadały mu obecną nazwę. W Łańcucie organizowali je Potoccy, w Wielkopolsce gen. Stanisław Sochaczewski, a w stolicy – Warszawski Klub Polo.

Od 1938 roku rotmistrz Kawecki służył w 7. Pułku Strzelców Konnych w Biedrusku pod Poznaniem. Pułk odnosił sukcesy w jeździectwie, w niemałym stopniu za jego sprawą. Niedługo przed wybuchem wojny Kawecki oddelegowany został do Ośrodka Zapasowego Wielkopolskiej Brygady Kawalerii w Kraśniku. Został tam zastępcą dowódcy formacji saperów odpowiedzialnej za materiały wybuchowe i sprzęt niezbędny do przepraw, taki jak łodzie i pontony.

„Martwię się tylko Wami… nie potrzebujecie się o mnie niepokoić"

W 1939 roku, po wybuchu II wojny światowej w kampanii wrześniowej Kawecki walczył w składzie Ośrodka Zapasowego Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Po agresji Sowietów na Polskę z 17 września 1939 roku został przez nich w nieznanych okolicznościach aresztowany.

Był przetrzymywany w obozie w Kozielsku. Pisał stamtąd listy do najbliższych. Starał się ich uspokoić. „Kochana Mamusinko i Rodzeństwo. Jestem zdrów i cały w ZSRR. Bardzo jestem o was […] niespokojny. Odpisujcie tylko na każdorazowy mój list. Brakiem wiadomości o mnie proszę się nie niepokoić […]. Nie tracę nadziei, że się wszyscy w zdrowiu zobaczymy. Nikogo z Rodziny tu nie spotkałem, ani nawet ze wspólnych znajomych. Proszę o wiadomości i o ile możliwe to buty raczej duże i dwie pary bielizny, ewentualnie spodni, ale to tylko wtedy, o ile nie będzie robić żadnej różnicy" – czytamy w liście z 20 listopada 1939 roku.

9 lutego 1940 roku, krótko przed śmiercią, Kawecki napisał: „Kochana Mamusinko i Rodzeństwo. Czuję się dalej dobrze. Martwię się tylko Wami […] nie potrzebujecie się o mnie niepokoić. […] Jak żyjecie? Jak dopisuje zdrowie? Jak miewa się ciocia Frania i wujcio Antek? Czy Wam pomagają? […] Opiszcie wszystko dokładnie, chciałbym mieć wiadomości o całej rodzinie. Myślami jestem ciągle z Wami i pocieszam się nadzieją ewentualnego zobaczenia Was. […] Otrzymałem ku wielkiej radości obie paczki, za co, jak i za list najserdeczniej dziękuję. Każda wiadomość od Was jest największą dla mnie przyjemnością. […] proszę o ile możliwe, o nożyki do żyletki, mydło, scyzoryk lub nóż, nożyczki do paznokci".

Kolejnych przesyłek już nie odebrał. Jego nazwisko znalazło się na liście NKWD nr 022/2 (poz. 73, tp. 1744) z 9 kwietnia 1940 roku. 11 lub 12 kwietnia 1940 roku został przekazany do dyspozycji naczelnika Zarządu NKWD Obwodu Smoleńskiego. 13 lub 14 kwietnia 1940 roku został zamordowany w Katyniu i tam pochowany. Miał tylko 38 lat.

Najwybitniejszy sportowiec, zgładzony przez rosyjskich morderców

„Najwybitniejszą sportową postacią, zgładzoną przez rosyjskich morderców, był Zdzisław Kawecki" – pisał na łamach katowickiego „Sportu" Michał Zichlarz. 5 października 2007 roku minister obrony narodowej Aleksander Szczygło mianował Zdzisława Kaweckiego pośmiertnie na stopień majora. Awans został ogłoszony 9 listopada 2007 roku w Warszawie, w trakcie uroczystości „Katyń Pamiętamy – Uczcijmy Pamięć Bohaterów". Wkrótce sam Aleksander Szczygło zginął 10 kwietnia 2010 roku w kolejnym Katyniu, czyli zamachu smoleńskim…

25 kwietnia 2009 roku roku przed Gimnazjum nr 12 w Rybniku-Niewiadomiu zasadzony został „Dąb Pamięci" rotmistrza Kaweckiego herbu Gozdawa, a niedaleko drzewa znajduje się pamiątkowa tablica ufundowana przez miejscową społeczność. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Agnieszka Kowalczyk

Roman Gutowski miał zaledwie pięć lat, gdy 10 lutego 1940 roku wraz z całą rodziną został przez sowieckiego okupanta wtrącony do bydlęcego wagonu i wywieziony na Syberię. Była to pierwsza wielka deportacja polskich wojskowych, legionistów, żołnierzy 1920 roku, urzędników, policjantów, kolejarzy i leśników z rodzinami.

Od Sybiru po Indie. Polskie dzieci wojny

eprasa.pl d598d8d6e5

FOT. IPN(4)

Druga wywózka, z 13 kwietnia 1940 roku, objęła głównie żony i dzieci polskich oficerów zamordowanych w Katyniu, trzecia zaś z 29 czerwca – uchodźców uciekających na wschód przed niemieckim okupantem. Łącznie, jak przyjmuje Zarząd Główny Związku Sybiraków, deportowano z Polski 1,3 mln osób! Roman przyznaje, że udało mu się przetrwać wojnę dzięki Hance Ordonównie i hinduskiemu maharadży. Oddzielony od bliskich podzielił los tysięcy polskich dzieci, którym dopiero na mocy układu Sikorski–Majski (1941) udało się opuścić Sowiety.

Różne były koleje ich życia, o czym opowiada książka Moniki Odrobińskiej „Dzieci wygnane. Tułacze losy małych Polaków w czasie II wojny światowej" (2020), w której głos oddany został najmłodszym świadkom historii, wydartym z ojczystej ziemi i skazanym przez Stalina na cierpienie i śmierć z zimna, głodu i pracy ponad siły. Te, które w ramach amnestii mogły wydostać się z ZSRS, były przyjmowane w Persji, Libanie, Palestynie, Nowej Zelandii, Afryce, Australii i Meksyku. W Indiach natomiast, do których trafił Roman, swój tymczasowy azyl znalazło około 5 tys. Polaków. W samym Balachadi koło Dżamnagaru powstało osiedle dla polskich sierot wojennych – dziecięcy bastion polskości w Azji Południowej.

Od Syberii do Uzbekistanu

Ojciec Romana, który służył w Wojsku Polskim pod rozkazami gen. Józefa Hallera, a we wrześniu 1939 roku stanął do walki w obronie ojczyzny, został uznany przez Sowietów za „wroga ludu". Toteż wraz z rodziną zesłano go w okolice Archangielska nad Morzem Białym. Na Syberii pracował na budowach, a jego żona z córkami Stasią i Ireną harowała w tajdze przy wyrębie lasu. Pomocne w przetrwaniu, jak opowiada Romek, okazało się to, że „w ostatniej chwili przed wywózką mama chwyciła dywan i [...] górną część podstawy od maszyny do szycia Singera. Na Syberii dywan zamieniliśmy na jedzenie, a szyciem mama zarabiała na lepioszkę".

Po ogłoszeniu amnestii dla Polaków ojciec Romka postanowił dołączyć do formującego się w ZSRS Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. „Początkowo to wojsko wyglądało tragikomicznie – w łachmanach, w łapciach z opon samochodowych powiązanych sznurkiem, a na komendę »w tył zwrot«: wszystkim kręciło się w głowie. To byli mężczyźni, którzy miesiącami głodowali, chorowali, a do tego pracowali w nieludzkich warunkach. Zęby im się chwiały, ale szczęśliwi byli – dostali swoje namioty i swojego dowódcę! Odrodziła się nadzieja na odzyskanie Polski i na powrót do niej". Ojciec Romana nigdy jednak do armii Andersa nie dotarł. Zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Skazana na własne siły Gutowska, mimo syberyjskich mrozów, wsiadła z dziećmi w pociąg jadący paradoksalnie

eprasa.pl d598d8d6e5

do pogrążonego w pięćdziesięciostopniowym upale Taszkientu w Uzbekistanie. Wygnańcy znaleźli tam schronienie w glinianej lepiance, gdzie spali na podłodze i jedli „jak tubylcy – rękami z jednego naczynia". Aby wykarmić rodzinę, matka pracowała z córkami na polach bawełny, zmuszona oddać Romka do ochronki. Chcąc go zobaczyć, przemierzała trzydzieści kilometrów nocą, nie zważając na ryki dzikich zwierząt. Któregoś razu okazało się, że dziecka w ochronce już nie ma i że wszelki ślad po nim zaginął.

Hanka Ordonówna rusza na pomoc dzieciom

W tym czasie do Uzbekistanu los rzucił Marię Annę Tyszkiewicz, która w międzywojennej Polsce znana była jako Hanka Ordonówna – ceniona artystka teatralna i kabaretowa, a nade wszystko Polka o wielkim sercu. Aresztowana przez NKWD, po tym jak próbowała wyciągnąć swego męża z więzienia na Łubiance, została zesłana do łagru w Uzbekistanie, gdzie pracowała przy tłuczeniu kamieni na budowę drogi.

Na fali wielkiej amnestii dla uwięzionych Polaków Ordonówna postanowiła działać, biorąc się nie tylko za organizację teatru dla wojska w Tocku, lecz przede wszystkim ratując wojenne sieroty z Polski. Na początek założyła więc sierociniec w miejscowości Wrewskoje koło Taszkientu. I choć za schronienie służyła wygnańcom szopa ogrzewana jednym piecem, liczyło się poczucie bezpieczeństwa i iście polska atmosfera wśród chóralnego śpiewu „Roty", „Mazurka Dąbrowskiego", pieśni religijnych czy piosenek o polskim morzu. Docierające do Wrewskoje dzieci wyglądały jak „kukły owinięte gałgankami – starymi spódnicami, nogawkami spodni, strzępami worków, posplatanymi w poprzek i na krzyż. Lalki te […] najczęściej mówiły: »jeść« i »pić«". Z Taszkientu Ordonówna zamierzała przetransportować je do Aszchabadu w Turkmenii, gdzie powstał punkt zbiorczy dla polskich sierot ściąganych tu ze wszystkich domów dziecka w ZSRS. Jakież więc musiało być zdziwienie Hanki, gdy okazało się, że opiekunem tej placówki jest właśnie jej mąż – hrabia Michał Tyszkiewicz. Radość była ogromna. Dzieci udało się ulokować w hotelu „Kołchoźny", na co hrabia nie szczędził pieniędzy. Z uwagi na kolejne ich transporty miejsce to w całości przekształcono w sierociniec, a wszystko okupione zostało rublami w głębokiej tajemnicy przed NKWD.

Choć Sowieci wyraźnie utrudniali Polakom opuszczenie ZSRS, blisko trzystu dzieciom udało się wyruszyć z Taszkientu przez Aszchabad do perskiego Meszhedu. Na tym szlaku znalazł się również Romek Gutowski. W ochronce, gdzie do tej pory przebywał, zjawiło się dwóch tajemniczych mężczyzn w celu wytypowania dziesięciorga najzdrowszych i najsilniejszych dzieci, mogących znieść tak daleką podróż. Wśród wybrańców byli m.in. Romek oraz jedenastoletnia Hania, która bez młodszego brata Piotrusia nie chciała się ruszyć, więc zabrano i jego. Dzieci musiały jednak same dotrzeć na dworzec. „Noc, step, żadnych dróg – wspominał Gutowski – Dokąd iść? Hania intonowała pieśni do Matki Bożej – jedną za drugą. Była pewna, że dzięki temu Ona nas usłyszy i pomoże nam dojść. Doprowadziła". Z dworca ruszyli pociągiem do Aszchabadu, a stamtąd do Persji. Nie był to jednak koniec podróży. Starsi chłopcy mówili, że pojadą dalej, do Indii. „Nie wiedziałem, co to te Indie – wyznaje Roman – i dlaczego tak ciągle nas przewożą. Ktoś mówił coś o »Księdze z tysiąca i jednej nocy«. Później miałem się przekonać, co to znaczy".

W gościnie u indyjskiego maharadży

W owych „baśniowych" Indiach prawdziwy azyl dla małych wygnańców stworzył Jam Saheb – maharadża księstwa Nawanagaru, który poprzez swego wuja zaprzyjaźnił się niegdyś z Ignacym Paderewskim i dzięki niemu pokochał Polskę i Polaków. Kiedy więc podczas narady gabinetu wojennego w Wielkiej Brytanii gen. Władysław Sikorski zapytał, kto mógłby przyjąć polskie sieroty wojenne stacjonujące w Persji, maharadża zgodził się udzielić pomocy aż pięciuset z nich. Wystarczyły mu trzy miesiące, aby stworzyć dla nich osiedle w Balachadi. Zadbał o wszystko – wzniósł budynki mieszkalne, poprowadził półtorakilometrową szosę, założył kable telefoniczne i instalacje wodociągowe.

W ten sposób wyrosło w Indiach dziecięce centrum polskości, do którego 17 lipca 1942 roku jako pierwsi przybyli podopieczni Ordonówny. Jadący późniejszym transportem Romek chłonął najpierw z ciężarówki nieznany sobie świat, a potem przeżywał morskie przygody na brytyjskim okręcie płynącym do Karaczi. Dalej zdążał pociągiem obsypywanym przez życzliwych Hindusów czekoladami i zabawkami. W Indiach czekały na polskie dzieci stoły pełne słodkości i egzotycznych owoców – granatów, melonów, daktyli, bananów i pomarańczy. Ich nowym domem stało się Balachadi w pobliżu miasta Dżamnagar, położone nad morzem w sąsiedztwie letniej rezydencji Jama Saheba. Do dyspozycji przybyłych oddano sześćdziesiąt parterowych budynków na drewnianych balach. „Każdy z nas – opowiadał Romek – miał szafeczkę lub półeczkę i blaszany kuferek na swoje rzeczy oraz, co najważniejsze, łóżko i – tak! – materac. Cieszyliśmy się jak dzicy […]. Trzeba też było pamiętać o zamykaniu drzwi, by nie obudzić się w łóżku razem z… szakalem". W nowym indyjskim siedlisku znalazły się: szkoła, świetlica, kaplica, jadalnia, a nawet szpital.

Chłopcy powyżej 16. roku życia przechodzili szkolenie wojskowe w grupie junaków, by potem dołączyć do armii gen. Andersa. Starsze dziewczęta natomiast trafiały do Szkoły Młodszych Ochotniczek, a stamtąd do Pomocniczej Służby Kobiet, gdzie odbywały kursy na sanitariuszki, pielęgniarki, świetlicowe i pracownice administracyjne. Mały Romek znalazł się wśród przedszkolaków, później zaś uczęszczał do szkoły w pałacyku maharadży.

eprasa.pl d598d8d6e5

W Balachadi każdego dnia wciągano na maszt biało-czerwoną flagę – dar od napotkanych w Bombaju marynarzy okrętu „Kościuszko". Podczas jej zawieszenia maharadża powiedział: „Jestem pewien, że wrócicie do domu w wolnym kraju. Jak długo duch polski, znany w całym świecie, pozostanie niezmienny, wywalczy wolność".

Centrum życia kulturalnego stanowiła dla przybyłych świetlica zaopatrzona w radio, gramofon, stół do ping-ponga i pianino. Romek wspominał, że organizowano tam akademie i występy artystyczne, łączące elementy ojczyste i egzotyczne, choć do głosu dochodziły też wojenne akcenty: „w jasełkach występowali Hitler i Stalin, do żłóbka z darami szedł zesłaniec syberyjski, a potem żołnierz spod Monte Cassino, św. Mikołaj przybywał na wielbłądzie, a wianki świętojańskie puszczaliśmy w zatoce morskiej". Na terenie polskiego osiedla działały zespoły recytatorskie i wokalno-taneczne, prezentujące polskie tańce ludowe w krakowskich, kurpiowskich i podhalańskich strojach, odtworzonych z niezwykłym pietyzmem.

Dziecięcym ośrodkiem w Balachadi kierował komendant obozu ks. mjr Franciszek Pluta, zwolennik żelaznej dyscypliny, który chciał, by z małych uchodźców wyrosły prawdziwe polskie orlęta. Uwielbianą przez dzieci wychowawczynią była wdowa po polskim oficerze Janina Ptakowa. Po stracie swojego dziecka zdecydowała się zaopiekować sierotami, do czego zachęcił ją biskup polowy Wojska Polskiego Józef Gawlina. Wielką sympatią najmłodsi darzyli też Antoniego Maniaka – lwowskiego batiara, który urządził im boisko do gry w piłkę nożną i siatkówkę, z bieżniami, skocznią i kortem tenisowym. Nauczycielka Maria Skórzyna natomiast w ciągu miesiąca stworzyła piętnastoklasową Publiczną Szkołę Powszechną III stopnia im. św. Andrzeja Boboli, a potem także gimnazjum. Poziom nauki był wysoki, umożliwiał kontynuowanie edukacji w szkołach w Valivade i Bombaju, a nawet podjęcie studiów na indyjskich uczelniach.

Pierwszy podręcznik Romana w Indiach nosił tytuł „U progu Polski". Znalazły się w nim teksty m.in.: Konopnickiej, Tuwima, Staffa, Kasprowicza, Makuszyńskiego i Żeromskiego. „Z tej książeczki uczyłem się Polski – wyznaje. – [...] Czytałem tylko o polskich jarach, sadach, niezabudkach, o jesieni [...]. Było tam o Śląsku i o Poleszukach, i o żubrach w Białowieży. Wielbłąda widziałem, słonia, skorpiona, a żubra nie, choć Polak jestem. [...] To już więcej marszałka Piłsudskiego z następnych stron podręcznika kojarzyłem, te jego Legiony, bo mi co nieco ojciec opowiadał".

Prawdziwą szkołą charakteru było dla dorastających na obczyźnie harcerstwo, prowadzone „na zasadach skautingu Badena-Powella, czyli: podchody, biegi nocne, wycieczki, opowieści o Polsce". Pomagało „nie stać się psychicznym kaleką, uwolnić się od urazów, wysublimować to wszystko, co działo się z nami w Rosji" – przyznawał były druh ks. Zdzisław Peszkowski.

Co dalej?

Los uśmiechnął się do Romka, gdy pewnego dnia jego kolega otrzymał list od matki, w którym donosiła, że „w Uzbekistanie mieszka w jednej lepiance z panią Gutowską i jej dwiema córkami". Ten zaś odpisał, że w obozie znajduje się chłopiec o takim właśnie nazwisku i wysłał jego zdjęcie. Trudno opisać radość matki Romana, gdy okazało się, że oto odnalazła swego syna, wywiezionego przed laty z ochronki w Taszkiencie. Czym prędzej więc postanowiła opuścić Uzbekistan i czekać na powrót Romka w Polsce.

Po zakończeniu wojny ksiądz Pluta, jako komendant obozu w Balachadi, „walczył z władzami o to, by nie oddawać sierot do adopcji rodzinom angielskim lub hinduskim, a z władzami komunistycznymi – by nie zabierały z obozu nieletnich wbrew ich woli". Chcąc zapobiec przymusowym przesiedleniom sierot, wraz z maharadżą i brytyjskimi oficerami dokonał ich zbiorowej adopcji. Dzieci kontynuujące edukację w indyjskich szkołach katolickich mogły pozostać w gościnnych Indiach, inne zaś – wyjechać do Kanady, Stanów Zjednoczonych bądź tam, gdzie czekali na nie krewni. Te, których bliskich nie odnaleziono, miały szansę zabrać się ze swoimi wychowawczyniami do Australii i Nowej Zelandii.

Dwunastoletni Roman płynął z Indii do Polski przez Zatokę Adeńską i Kanał Sueski, docierając do Grecji i Włoch. W końcu udało mu się dojechać pociągiem do Polski. 15 sierpnia 1947 roku z Katowic odebrała go siostra. „Ja w Katowicach, a tego dnia w Indiach świętowali odzyskanie niepodległości. Każdy, jak widać, odzyskał swoją" – wspominał powrót do ojczyzny. Na jego widok matka rozpłakała się z radości. Zamieszkali odtąd razem w Olsztynie, zniszczonym przez stacjonujących w nim żołnierzy radzieckich.

Po ukończeniu technikum budowlanego Roman jako jeden z najlepszych uczniów dostał się bez egzaminów na Politechnikę Warszawską, zdobywając tytuł inżyniera budowlanego. Podróżując potem po świecie, kilkakrotnie odwiedził drogie swemu sercu Indie. W miejscu, gdzie mieścił się obóz dla polskich sierot, zawisła pamiątkowa tablica z napisem: „W hołdzie ziemi dżamnagarskiej, która w trudnych latach II wojny światowej udzieliła schronienia i gościny tysiącowi bezdomnych dzieci polskich – społeczeństwo polskie wraz z wdzięcznymi wychowankami Osiedla Dzieci Polskich w Balachadi koło Dżamnagaru z lat 1942–1946, Balachadi 1987. Bądź pozdrowiona, ziemio daleka, ziemio przyjazna, ziemio ludzka, ziemio dobra". ■

Źródło: R. Gutowski, „Roman. Indie Tysiąca i jednej nocy", [w:] M. Odrobińska, „Dzieci wygnane. Tułacze losy małych Polaków w czasie II wojny światowej. Prawdziwe historie", Kraków 2020.

eprasa.pl d598d8d6e5

Dariusz Jarosiński

Życie za życie

„Pewnego razu przyszedł szpieg niemiecki i męczył Jerzego Karwowskiego, aby ten wydał, gdzie ukrywają się Żydzi. Kiedy ten nie chciał powiedzieć, chciał wziąć mnie, on powiedział, że woli zginąć niż, jak mówił, oddać swoją siostrę. Wszystko to robił bezinteresownie, od nikogo nic nie biorąc. Uratował mnie i innym osobom życie" – zeznawała Żydówka Neoma Żołądź, ratując por. Jerzego Karwowskiego przed zasądzoną przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie karą śmierci.

Podporucznik Jerzy Karwowski „Newada", żołnierz Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, a od lutego 1946 roku dowódca Pogotowia Akcji Specjalnej Okręgu Olsztyńskiego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, został skazany w 1949 roku przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie na pięciokrotną karę śmierci. Wyrok nie został jednak wykonany, choć za samą przynależność do zbrojnej organizacji narodowej Żołnierze Wyklęci często byli zabijani. Sąd Najwyższy uwzględnił skargę kasacyjną wniesioną przez obrońcę i zamienił karę śmierci na 15 lat więzienia. Z opresji uratowała skazańca Żydówka Neoma Żołądź, odnaleziona przez siostrę „Newady", która w zeznaniu do Sądu Najwyższego napisała, że Jerzy Karwowski wraz ze swoją rodziną, narażając własne życie, ocalili od zagłady na ziemi łomżyńskiej podczas okupacji niemieckiej kilkudziesięciu Żydów. Nie był to odosobniony przypadek ratowania Żydów przez mieszkańców ziemi łomżyńskiej.

Sowieci, Niemcy, Sowieci

Rodzina ojca Jerzego Karwowskiego „Newady", Czesława, pochodziła z łomżyńskiej szlachty herbu Cwalina, a matki Stanisławy, która nosiła nazwisko rodowe Grodzka, z podlaskiej szlachty z okolic Tykocina herbu Belina. Jerzy urodził się 2 maja 1925 roku w majątku Grabówek niedaleko miejscowości Stawiska na ziemi łomżyńskiej. W folwarku stale było zatrudnionych siedmioro pracowników, oprócz tego do prac sezonowych zatrudniani byli okoliczni chłopi. Służba mieszkała w domach nieopodal folwarku, w tzw. dwojakach – dwumieszkaniowych domach. Karwowscy posiadali też dom w Łomży, w którym Jerzy mieszkał z matką i dwiema siostrami w tym czasie, kiedy uczęszczał do szkoły. Po latach Jerzy Karwowski wspominał, że jego ulubionym autorem dziecięcych lektur był Stefan Żeromski. Dzisiaj już się nie dowiemy, który z bohaterów powieści Żeromskiego był najbliższy „Newadzie", walecznemu żołnierzowi AK, NSZ i NZW. Zmarł 1 sierpnia 2000 roku w Białymstoku.

Za „pierwszego Sowieta" Karwowscy byli zagrożeni wywózką na Syberię, ukrywali się przed NKWD m.in. we wsi Nagórki koło Łomży. W Nagórkach, o dziwo, dwa gospodarstwa rolne prowadzone były przez Żydów. W opinii sąsiadów owi Żydzi byli bardzo dobrymi rolnikami. Jeden z nich, o nazwisku Grzymkowski, został mianowany przez Sowietów priedsiedatielem, sołtysem, najwyższą władzą sowiecką na wsi. Grzymkowski był życzliwy rodzinie Karwowskich, załatwiał jej na przykład sprawki, zezwolenia umożliwiające poruszanie się po terenie, choćby wyjazdy do Białegostoku. Najważniejsze, że odsunął zagrożenie wywózki na Syberię.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, w czerwcu 1941 roku, Jerzy Karwowski został zaprzysiężony przez komendanta placówki Mariana Szumowskiego „Topora" do Związku Walki Zbrojnej. Przyjął pseudonim Newada. Karwowscy powrócili do domu w Grabówku. Kiedy Niemcy rozpętali prześladowania Żydów, Karwowscy sprowadzili żydowskie rodziny z Nagórek do Grabówka. Tutaj zapewnili im bezpieczeństwo, dali mieszkania w dwojakach i zaangażowali do pracy w folwarku. Mieszkańcy Grabówka wiedzieli, kim są pracownicy Karwowskich, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, aby donieść Niemcom.

Któregoś dnia stary Żyd, Grzymkowski, oznajmił ojcu „Newady", że chciałby umrzeć w swoim łóżku – podziękował za wszystko i powrócił do domu w Nagórkach. Wkrótce zmarł śmiercią naturalną. Został pochowany tak, jak sobie życzył – w swojej ziemi na kolonii wsi. Córce drugiego gospodarza żydowskiego z Nagórek, młodej dziewczynie Neomi Żołądź, „Newada" załatwił dokumenty na polskie nazwisko Anna Krawcewicz. Została ona po pewnym czasie wywieziona do dalszej rodziny Karwowskich, gdzie była bardziej bezpieczna. Karwowscy dbali o bezpieczeństwo wszystkich Żydów mieszkających w ich majątku, choć byli i tacy, którzy dobrowolnie poszli do getta, bo zawierzyli niemieckiej propagandzie. Karwowscy najprawdopodobniej uratowali życie kilkudziesięciu Żydom. Różne były ich powojenne losy. Jeden z miejscowych Żydów, który pasał krowy w majątku Karwowskich jeszcze przed wojną, trafił do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa w Łomży.

W 1943 roku „Newada" przeszedł z Armii Krajowej do Narodowych Sił Zbrojnych. W najbliższym otoczeniu wielu jego kolegów należało do NSZ, na podjęcie decyzji miały też wpływ bliskie kontakty z legendarnymi braćmi Kozłowskimi, dowódcami z NSZ. W 1944 roku „Newada" trafił do oddziału partyzanckiego mjr. Mariana Kozłowskiego „Lecha".

Przez kilka miesięcy, kiedy front zatrzymał się na Narwi, żołnierze NSZ nie prowadzili akcji zbrojnych, zostali rozkwaterowani i czekali na rozkazy dowódcy. Jedna z pierwszych akcji została przeprowadzona przez „Newadę" na rozkaz kpt. Bolesława Kozłowskiego „Grota" z Komendy Powiatowej NSZ Łomża. „W dniu 17 marca celem akcji był posterunek MO w Rogienicach. Jego siedziba mieściła się w domu rodziców członka NSZ Edwarda Skrodzkiego »Kmicica«, późniejszego dowódcy batalionu »Biebrza« – i późniejszego oficera PUBP w Łomży. Wywiad NSZ ustalił, że komendant tegoż posterunku, Stanisław Jarnicki sporządzał listę miejscowych konspiratorów z AKO

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl d598d8d6e5

i NSZ, którzy mieli zostać aresztowani. Komendant Powiatu, por . Bolesław Kozłowski »Grot«, wydał rozkaz jego likwidacji. Jerzy Karwowski »Newada« ze wsi Grabówek, gm. Stawiski, zebrał dwunastu partyzantów z miejscowej siatki terenowej. Oddział NSZ z biało-czerwonymi opaskami na rękach i bronią automatyczną wkroczył do Rogienic. Posterunek został rozbity, ośmiu milicjantów rozbrojono, komendanta posterunku Stanisława Jarnickiego wraz z synem Edwardem uprowadzono. Partyzanci wtargnęli również do lokalu Zarządu Gminy. Sterroryzowali pracowników i zabrali maszynę do pisania. Zakazano im opuszczania lokalu gminy przez dwie godziny. Obaj Jarniccy zostali rozstrzelani w pobliskim lesie; kartę ze spisem konspiratorów znaleziono w kieszeni spodni komendanta" (Sławomir Poleszak, „Podziemie antykomunistyczne w łomżyńskiem i grajewskiem 1944–1957", Warszawa 2004).

Wyrok na przyjaciela

W kwietniu 1945 roku „Newada" wstąpił do nowej organizacji zbrojnej skierowanej do walki z Sowietami, rodzimymi komunistami – do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW). Zastępcą komendanta Okręgu NZW „Chrobry" (Białystok) został kpt. Bolesław Kozłowski „Grot". „Newada" pełnił funkcję szefa oddziału ochrony kpt. „Grota". Uczestniczył też w wydawaniu czasopisma „Walka".

Najbliższym przyjacielem „Newady" był Edward Skrodzki „Kmicic". Razem chodzili do szkoły za „pierwszego Sowieta", razem należeli do oddziału NSZ „Lecha", rodziny obu przyjaciół były mocno zaangażowane w walkę z bolszewią, sympatią „Newady" była siostra „Kmicica" Anna. „Newada" pełnił funkcję dowódcy kompanii NZW na gminę Przytuły, a w tym samym czasie „Kmicic" dowodził kompanią NZW w gminie Jedwabne. Jerzy Karwowski wspominał po latach, jak to napotkani milicjanci oddawali mu honory, jak liczyli się z podziemiem, jak silne było podziemie antykomunistyczne w 1945 roku na ziemi łomżyńskiej.

Z czasem powstała nowa struktura NZW, Okręg „Bałtyk", obejmująca teren Warmii i Mazur. Na początku 1946 roku komendantem Okręgu „Bałtyk" został mjr Marian Kozłowski „Lech" „Dąbrowa", a jego bliskim współpracownikiem „Newada". Obaj partyzanci znali się już wcześniej. W lutym 1946 roku „Newada" objął funkcję szefa Pogotowia Akcji Specjalnej Okręgu „Bałtyk", został też awansowany do stopnia podporucznika. Jego najbliższym współpracownikiem w owym czasie był brat stryjeczny, Tadeusz Karwowski „Jeleń". „Newada" ze swoimi żołnierzami przeprowadzili kilka akcji bojowych w powiatach Pisz i Giżycko. Rozbił kilka posterunków Milicji Obywatelskiej, likwidował funkcjonariuszy bezpieki, konfidentów.

Wiosną 1946 roku mjr Kozłowski „Lech", komendant Okręgu NZW „Bałtyk", rozwiązał oddział PAS. Działalność partyzantów od tej pory polegała głównie na pozyskiwaniu funduszy niezbędnych w pracy konspiracyjnej. Partyzanci najczęściej rekwirowali konie z UNRRA w państwowych majątkach na Mazurach, które później sprzedawali. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży koni Komenda Okręgu przeznaczała na różne wydatki związane z prowadzeniem działalności podziemnej, na zasiłki dla rodzin zamordowanych żołnierzy, odprawy dla żołnierzy chcących zalegalizować się itp.

„Newada" coraz częściej przebywał w drugiej połowie 1946 roku na ziemi łomżyńskiej. Przyjaciel „Newady", Edward Skrodzki „Kmicic", dowódca batalionu krypt. „Biebrza", był dzielnym partyzantem, ale posiadał paskudną wadę – nadużywał alkoholu. W trakcie jednej z wizytacji batalionu komendant Powiatu, kpt. Bolesław Kozłowski „Grot", zastał kompletnie pijanego „Kmicica". Został on za karę zdegradowany i pozbawiony dowództwa. „Kmicic" nie mógł pogodzić się z karą – zdradził organizację i we wrześniu 1945 roku zgłosił się do pracy w PUBP w Łomży. Wkrótce został oficerem śledczym. Spowodował niezwykle dużą wsypę, wskazał m.in. miejsca magazynów broni. Sąd organizacji skazał go na karę śmierci. Podejmowane próby wykonania wyroku na niebezpiecznym zdrajcy się nie udawały. „Kmicic" był nieuchwytny.

Zastępca komendanta Okręgu NZW „Chrobry", Bolesław Kozłowski „Grot", postanowił wykorzystać dawną przyjaźń „Newady" i „Kmicica". „Newada" miał zostać wprowadzony do UB m.in. dzięki zaoferowanej pomocy „Kmicica", a w nadarzającej się sytuacji wykonać wyrok na byłym przyjacielu. Aby „Newada" mógł się uwiarygodnić w oczach ubeków, 28 września 1946 roku upozorowana została przed gospodą w Dobrzyjałowie scena „zabicia" przez „Newadę" Michała Bierzyńskiego „Sępa". „Sęp" był jednym z najbardziej poszukiwanych i znienawidzonych przez ubeków dowódców partyzanckich. Po akcji „zwłoki" „Sępa" zostały przewiezione na odległą kwaterę. Michał Bierzyński miał przez pewien czas unikać jakichkolwiek kontaktów.

Wydawało się, że akcja zakończy się powodzeniem, „Newada" został po przesłuchaniu przyjęty do UB. Zdobył zaufanie szefa PUBP i jego sowieckiego doradcy w stopniu majora. Niespodziewanie do łomżyńskich ubeków dotarła informacja, iż agent UB widział żywego „Sępa". Na szczęście zdekonspirowanemu „Newadzie" udało się wymknąć z rąk ubeków. Po

eprasa.pl d598d8d6e5

ucieczce „Newady" z łomżyńskiego Urzędu Bezpieczeństwa sowiecki doradca został odwołany, a szef UB przeniesiony do innej placówki.

„Ja, Żołądź Neoma"

„Newada" do lasu już nie wrócił. W listopadzie 1946 roku wyjechał na lewych papierach pod nazwiskiem Aleksander Kowalewski do Wawra koło Warszawy. Po nieudanej próbie ucieczki na Zachód ukrywał się w trójkącie Wrocław–Warszawa–Zielona Góra. W marcu 1947 roku, po ogłoszonej przez komunistów amnestii, ujawnił się. Zamieszkał w rodzinnej miejscowości Grabówek. 4 listopada 1948 roku, tydzień po ślubie z nauczycielką Celiną Sarnacką, został aresztowany przez UB.

Jerzy Karwowski i jego koledzy z oddziału PAS zostali poddani brutalnemu śledztwu w WUBP w Olsztynie. Proces „Newady" i towarzyszy przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Olsztynie rozpoczął się 14 czerwca 1949 roku i trwał cztery dni. Składowi orzekającemu przewodniczył zbrodniarz sądowy kpt. Oswald Sznepf. 20 czerwca sąd skazał Jerzego Karwowskiego na pięciokrotną karę śmierci. Warszawski adwokat Józef Wnuk, obrońca „Newady" z wyboru, wniósł skargę rewizyjną do Najwyższego Sądu Wojskowego. Siostra Jerzego, Alicja Karwowska-Sokołowska, odnalazła Żydówkę, Noemię Żołądź, która przeżyła wojnę dzięki rodzinie Karwowskich. Żydówka zgodziła się pomóc Jerzemu – złożyła przed notariuszem w Kołobrzegu oświadczenie, które Alicja Karwowska przekazała do Najwyższego Sądu Wojskowego. Oto treść zapisu notarialnego, który wpłynął do Najwyższego Sądu Wojskowego 2 września 1949 roku:

„Oświadczam ja, Żołądź Neoma, urodz. 11 listopada [19]28 r. w Piątnicy, pow. Łomża, córka Mendla i Liby z domu Szmuglarewicz. Przechowywałam się od [19]42 r. do stycznia [19]45 r. u Karwowskiego Jerzego w Grabówku, pow. Łomża. Karwowski Jerzy pomagał mnie narażając całą swoją rodzinę. Wyrobił mi paszport na nazwisko i imię, przy którym pozostałam do dzisiaj na nazwisko Krawcewicz Anna, urodz. w Słuczu, gm. Radziłów 11 XI 1928 r. Kiedy spodziewał się rewizji, bo bardzo często się one odbywały, wywoził mnie do swoich znajomych, a po niebezpieczeństwie zabierał mnie z powrotem do domu swojego. Oprócz tego pomagał moim dwom młodszym braciom ukrywając i dając im jeść w swoim domu. Dwóch Żydów, którzy uciekli w drodze do Majdanka, osłabionych leczył w swoim domu aż do wyzdrowienia. Nosząc do okopu jeść Żydom, którzy ukrywali się w pobliżu zaraził się tyfusem i leżał śmiertelnie chory, po wyzdrowieniu, kiedy go nie było w domu, była rewizja i zastali Żyda chorego w domu, jego matka powiedziała, że to on jeszcze jest chory na tyfus. Nosił sam w nocy jedzenie do okopów i ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Rewizje były bardzo często, on i jego cała rodzina i my z nim żyliśmy pod ciągłym strachem. Kiedy raz u sąsiada złapali jego kolegę Żyda i Mazur go bił kijem aż do śmierci, a mój brat siedział u Karwowskiego Jerzego pod żłobem w chlewie, przeżywaliśmy straszne chwile. Pewnego razu przyszedł szpieg niemiecki i męczył Karwowskiego Jerzego, aby ten wydał gdzie ukrywają się Żydzi. Kiedy ten nie chciał powiedzieć, chciał wziąć mnie, on powiedział, że woli zginąć niż, jak mówił, oddać swoją siostrę. Wszystko to robił bezinteresownie, od nikogo nic nie biorąc. Uratował mnie i innym osobom życie, którzy przeważnie są za granicą obecnie. Proszę uprzejmie Wysokiego Sądu o wzięcie pod uwagę i jego poświęceń. Krawcewicz Anna".

Kara śmierci została złagodzona do 15 lat więzienia. „Newada" odbywał karę w więzieniach w Olsztynie, Barczewie, Rawiczu i we Wronkach. Po ponownej rewizji wyroku, która miała miejsce w kwietniu 1955 roku, został zwolniony 3 maja 1955 roku. W majątku Karwowskich w Grabówku powstało Państwowe Gospodarstwo Rolne, nie mógł więc wrócić do rodzinnego domu. Zajął się prowadzeniem gospodarstwa rolnego w Janinie koło Tykocina należącym do rodziny matki. Był wzorowym rolnikiem, pełnił też funkcję prezesa kółka rolniczego, żona Celina uczyła w wiejskiej szkole. Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku Jerzy Karwowski wraz z żoną zamieszkali w Białymstoku. Do osiągnięcia emerytury pracował jako taksówkarz. ■

Po latach Jerzy Karwowski wspominał, że jego ulubionym autorem dziecięcych lektur był Stefan Żeromski. Dzisiaj już się nie dowiemy, który z bohaterów powieści Żeromskiego był najbliższy „Newadzie". Zmarł 1 sierpnia 2000 roku.

eprasa.pl d598d8d6e5

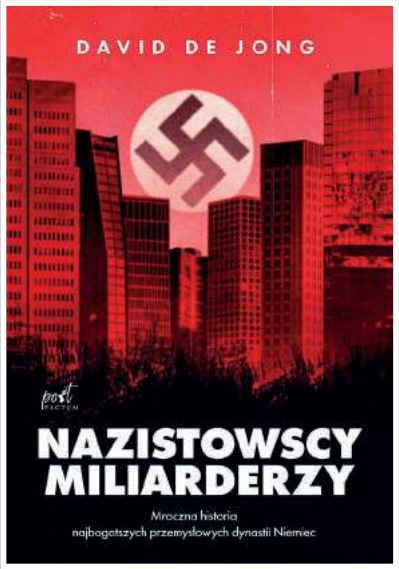

David de Jong, „Nazistowscy miliarderzy. Mroczna historia najbogatszych przemysłowych dynastii Niemiec", Post Factum, Katowice 2023

Krzysztof Wołodźko

W JĄDRZE CIEMNOŚCI. NIEMIECKI BIZNES A III RZESZA

Znamy te marki, ich produkty są popularne, prestiżowe; korzystają z nich dzieci i dorośli. Kojarzymy je z komfortem, wysoką jakością, zaspokajaniem codziennych potrzeb. To niemieckie marki. Zbrukane krwią niewinnych. Wyrosłe na rozpaczy, krzywdzie milionów ludzi; na grozie śmierci także naszych rodaków. David de Jong w książce „Nazistowscy miliarderzy. Mroczna historia najbogatszych przemysłowych dynastii Niemiec" nie tylko opowiada o współpracy narodowych socjalistów z niemieckimi potentatami biznesu. Przypomina również, dlaczego USA i Wielka Brytania pozwoliły, by wysługujący się Adolfowi Hitlerowi giganci kapitału pozostali bezkarni po II wojnie światowej.

eprasa.pl d598d8d6e5

David de Jong to holenderski dziennikarz śledczy. Przez lata zajmował się europejskimi bankami i instytucjami finansowymi. Pisał dla „Bloomberg News" i „Bloomberg Businessweek" oraz „Wall Street Journal". W październikowym wywiadzie dla PAP holenderski dziennikarz mówił bez ogródek: „Współpraca z nazistami przed wojną i w jej trakcie pomogła wzbogacić się wielu niemieckim przedsiębiorcom – by wymienić właścicieli takich firm, jak Porsche, Volkswagen, Dr. Oetker czy Allianz, którzy wykorzystywali na masową skalę pracę robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych. Po wojnie nie ponieśli żadnej odpowiedzialności, bowiem »procesy denazyfikacyjne okazały się oszustwem i fikcją«".

Niemieccy potentaci sfinansowali upadek demokracji

„Nazistowscy miliarderzy" zaczynają się niemal w tym samym miejscu co głośny „Porządek dnia" Érica Vuillarda – pisałem o tej książce wiosną w „Gazecie Polskiej" (nr 15 z 12 kwietnia 2023 roku). De Jong przypomina brzemienne w skutki spotkania niemieckich potentatów przemysłowych z Adolfem Hitlerem, które odbyło się 20 lutego 1933 roku w oficjalnej rezydencji przewodniczącego Reichstagu Hermanna Göringa, w centrum rządowo-biznesowej dzielnicy Berlina. NSDAP potrzebowała 3 mln marek. Wielki kapitał szybko zdecydował: „milion marek miał wpłacić koncern węglowo-stalowy z Zagłębia Ruhry, a zakłady górnictwa potażu oraz chemiczne – po 500 tysięcy. Pozostały milion pokryły kopalnie węgla brunatnego, jak również producenci samochodów plus firmy mechaniczne i elektrotechniczne". Autor „Nazistowskich miliarderów" podsumowuje krótko: „Potentaci nie mieli żadnych skrupułów, jeśli chodzi o finansowanie upadku demokracji". Sporo na tym zarobili, podobnie jak na rozpętanej kilka lat później przez Niemcy wojnie światowej.

Holenderski dziennikarz zna tajemnice zachodniego biznesu od podszewki. Po latach kariery zadał sobie proste pytania: jak to się stało, że „patriarchowie niemieckich potęg kapitału" osiągnęli za rządów Hitlera tak znaczne możliwości? Dlaczego po wojnie zwykle pozostali bezkarni? „I dlaczego – pyta – po tylu dziesięcioleciach, dziedzice tych fortun robią wciąż tak niewiele dla wyjaśnienia zbrodni swoich przodków, dlaczego się do nich nie przyznają, narzucając nam wizję historii, która nieustannie ją wypacza? Dlaczego ich fundacje charytatywne, nagrody medialne, centrale ich firm nadal noszą imiona współpracujących z nazistami poprzedników?".

Niemcy tracą pamięć o swoich zbrodniach

To byli ludzie, którzy należeli do NSDAP lub do SS. Na ogół kojarzymy ich z zupełnie innymi skrótami. Günther Quandt – BMW, Friedrich Flick – Daimler-Benz, August von Finck senior – Allianz, Ferdinand Porsche – założyciel firm Volkswagen i Porsche, Richard Kaselowsky – prezes firmy Dr. Oetker i Rudolf-August Oetker – oficer Waffen-SS, mecenas sztuki, wieloletni prezes koncernu spożywczego Dr. Oetker, założyciel fundacji Rudolf-August-Oetker-Stiftung, wspierającej działalność artystyczną i naukową. Jaki jest jednak sens przypominania dzisiaj historii sprzed blisko stulecia?

Trzeba to robić, ponieważ Niemcy tracą pamięć o własnych zbrodniach – odpowiada de Jong. Nie tylko polityczni szowiniści, antysemici, rusofile i polonofobi zza Odry, lecz także zwykli ludzie. Oraz młodzi dziedzice niemieckich fortun budowanych w czasie II wojny światowej – znakomicie pokazuje to głośna kilka lat temu sprawa 26-letniej wówczas Vereny Bahlsen, spadkobierczyni firmy Bahlsen, która w 2019 roku powiedziała „Bildowi": „Płaciliśmy robotnikom przymusowym dokładnie takie same pensje jak Niemcom i traktowaliśmy ich dobrze". Gdy wybuchła afera, Verena Bahlsen zniknęła z przestrzeni publicznej. Ale nieco później dostała awans, została głównym udziałowcem firmy i przedstawicielką kolejnego pokolenia właścicieli w jej zarządzie. W czasie wojny firma Bahlsen wykorzystywała niewolniczą pracę 700 Polek i Ukrainek.

Pasierb Goebbelsa, czyli Harald Quandt Holding

„Nazistowscy miliarderzy" nie są nudnym wywodem skrupulatnego buchaltera, który z ponurą miną rozlicza niemiecki biznes z każdej zakrwawionej marki. Holender o żydowskich korzeniach (jego rodzina również ucierpiała w Holocauście) ze swadą opisuje życie i koneksje przedstawicieli wielkich niemieckich fortun. Sięga w przeszłość, ale nigdy nie traci z oczu chwili obecnej. Gdy opisuje jednego z najważniejszych ludzi w niemieckiej machinie przemysłowej czasów III Rzeszy, czyli Günthera Quandta, sporo miejsca poświęca jego perypetiom ze znacznie młodszą Magdą Ritschel, lepiej znaną jako Magda Goebbels. Zanim wyszła za Josepha Goebbelsa, kobieta była żoną znacznie starszego Quandta.

Zwykły magiel? David de Jong jest innego zdania: „Latem 2012 roku, gdy prowadziłem jeden z dziennikarskich projektów, natknąłem się na niepozorną stronę internetową firmy Harald Quandt Holding. Zawierała listę aktywów należących do niej różnych spółek inwestycyjnych o wartości 18 miliardów dolarów. Skąd jakieś mało znane ro-

eprasa.pl d598d8d6e5

dzinne biuro w Niemczech, dysponujące niezwykle skromną, jednostronicową witryną w sieci, brało tak gigantyczne kwoty? […] Jak się okazało, ta gałąź biznesowej dynastii Quandtów wywodziła się bezpośrednio od Magdy Goebbels, nieoficjalnej pierwszej damy Trzeciej Rzeszy […]. Syn Magdy, Harald, jako jedyny z jej siedmiorga dzieci przeżył wojnę. Był jej dzieckiem z pierwszego małżeństwa". Mówiąc z brutalnym cynizmem: 1 maja 1945 roku Magda Goebbels niepotrzebnie otruła swoje potomstwo w berlińskim bunkrze Hitlera. Może w naszych czasach dzieci jej dzieci uczyłyby Polaków i Polki demokracji i przedsiębiorczości. I protekcjonalnie klepały po plecach naszych lewicowców i liberałów.

„Zadać Anglikom śmiertelny cios"

W listopadzie 1939 roku Günther Quandt zrobił w zajętym przez Niemców Poznaniu złoty interes. Jego firma DMW stała się „prawnym kuratorem" zagrabionych zakładów Cegielskiego: „Zakłady Cegielskiego słynęły z produkcji lokomotyw, dział artyleryjskich oraz karabinów maszynowych; odpowiedzialne za zbrojenia agendy nazistowskie uznały je za najważniejszą wytwórnię w mieście. Na szczęście dla Günthera minister gospodarki Rzeszy Walther Funk wolał faworyzować swojego starego kumpla kosztem innych pretendentów, chętnych do zagarnięcia tego kompleksu".

Zwykła, rodzinna historia w domach bogatych ludzi: Harald Quandt, syn przemysłowca i Magdy Goebbels, w przedwojennych latach „maskotka" w kampaniach propagandowych Hitlera, w 1940 roku odbył w Poznaniu staż w odlewni wchodzącej w skład wydziału budowy lokomotyw DWM. Rok później, już w stopniu podoficera Luftwaffe, publikował w firmowej gazecie wydawanej przez przedsiębiorstwo ojca, czyli AFA, entuzjastyczne artykuły o desancie niemieckich spadochroniarzy na Krecie. I liczył na więcej: „Naszym jedynym pragnieniem jest zadać Anglikom śmiertelny cios, najlepiej na ich rodzimej wyspie".

Nazistowska familia, czyli Dr. Oetker od kuchni

Dr. Oetker kojarzy nam się z ciepłem domowej kuchni i radością z wypieków. Rudolf-August Oetker, „książę budyniu" wedle powojennego określenia opiniotwórczej niemieckiej gazety „Der Spiegel", przed wojną był rozpieszczonym nastolatkiem z bogatej rodziny. Jego ojczym wstąpił do NSDAP w 1933 roku; nieco później matka i starsza siostra: „on sam zapisał się jako ostatni. Tworzyli […] na wskroś nazistowską rodzinę". Był rzutkim młodzieńcem, jeszcze przed wojną po znacznie zaniżonej cenie kupił sporą posiadłość od żydowskiej rodziny, która próbowała uciec z hitlerowskich Niemiec. Z czasem zdobył życzliwość Józefa Goebbelsa.

Po wojnie mówił, że mało wiedział o obozach koncentracyjnych: „Nie widzieliśmy sensu o tym rozmawiać. Przecież ci, którzy stamtąd wychodzili, też nic nie mówili". Mijał się z prawdą – jako SS-man odbył w jednym z nich szkolenie. W 1937 roku firma Dr. Oetker otrzymała honorowy tytuł „wzorowej narodowosocjalistycznej firmy". I chętnie przejmowała („aryzowała") kolejne żydowskie spółki. W 1940 roku przyszły „książę budyniu" zaprzyjaźnił się z towarzyszem z Waffen-SS, Rudolfem von Ribbentrop, synem Joachima von Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych III Rzeszy.

To były tłuste lata Dr. Oetkera: firma miała w hitlerowskich Niemczech oficjalny monopol na produkcję proszku do pieczenia. Była też jednym z głównych dostawców na froncie: „wyroby przedsiębiorstwa otrzymywali wszyscy niemieccy żołnierze walczący w Europie. Stworzyło ono także spółkę joint venture z Wehrmachtem, która zaopatrywała oddziały hitlerowskie w pożywne suszone owoce i warzywa". Tylko w 1942 roku w Niemczech sprzedano ponad pół miliarda opakowań proszku do pieczenia i różnych budyniów Dr. Oetkera. Richard Kaselowsky, ojczym Rudolfa-Augusta, należał do prominentnego Kręgu Przyjaciół Himmlera. Dzięki temu zyskał niewolniczą siłę roboczą z nadzorowanych przez SS obozów koncentracyjnych do swojej fabryki drożdży w Wittenberge.

„Książę budyniu" na kursie w Dachau

To właśnie w tamtym czasie Rudolf-August Oetker jako oficer Waffen-SS odbył szkolenie na kursie kierowników administracyjnych w SS-Führerschule w obozie koncentracyjnym Dachau koło Monachium. Po latach człowiek, który dzięki licznym koneksjom był w niemal samym jądrze niemieckiej ciemności, tłumaczył, że w ogóle nie był świadom „mąk, jakie zadawano" w Dachau. Musiał jednak wiele wiedzieć o zbrodniczej polityce rasowej Niemiec – uczestniczył wówczas w kursach w rodzaju „studia rasowe", „zadania polityki rasowej", „polityka ludnościowa". Przypomnę to, o czym pisałem w recenzji książki „Wyparte, odroczone, odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy" Karla Heinza Rotha i Hartmuta Rübnera na łamach „Nowego Państwa" (numer 205 – 09/2023). Otóż niemieccy specjaliści przeróżnych dziedzin naukowo-technicznych z zimną krwią służyli nazistowskiej polityce eksterminacyjnej. Niemiecki wielki biznes w latach II wojny światowej także uczestniczył w unicestwieniu Żydów i narodów słowiań-

eprasa.pl d598d8d6e5

skich – nie był to wypadek przy pracy, lecz była to część zobowiązań podjętych „dla dobra narodu niemieckiego".

Z bunkra Hitlera listy do Haralda Quandta napisali jego matka i ojczym, Magda i Józef Goebbelsowie. Ona pisała: „nasze chwalebne ideały giną, a wraz z nimi wszystko, co w życiu poznałam jako piękne, godne podziwu, szlachetne i dobre". I zaklinała: „nigdy nie zapominaj, że jesteś Niemcem". Goebbels pisał jak człowiek, który spodziewał się, że w przyszłości powstanie Harald Quandt Holding: „Być może to Ty, jako jedyny, poniesiesz dalej nasze dziedzictwo rodzinne". I kończył patetycznie: „bądź zawsze dumny z przynależności do rodziny, która – nawet w nieszczęściu – pozostała lojalna wobec Führera oraz jego czystej, świętej sprawy, aż do ostatniego momentu". W tamtym czasie biologiczny ojciec Haralda, Günther Quandt, szukał dla siebie – dosłownie i w przenośni – drogi ucieczki. I dobrego alibi. W jego zakładach w czasie wojny pracowało blisko 60 tys. niewolników.

„Zwiodły mnie zapewnienia Hitlera"

Amerykanie doskonale zdawali sobie sprawę z jego funkcji w niemieckiej machinie wojennej: w poświęconym mu dokumencie Biuro Służb Strategicznych, zastąpione później przez CIA, stwierdzało: „[Quandt] ponosi odpowiedzialność za sformułowanie i realizację nazistowskiej polityki gospodarczej, a także za ekonomiczny wyzysk ziem zajętych przez Niemców". Niemiecki potentat trafił na listę ponad czterdziestu sobie podobnych liderów biznesu, którzy mieli stanąć przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Quandt odpowiedział na to… gniewnym listem do amerykańskiego senatu. A w podobozach koncentracyjnych pracujących dla jego fabryki spod znaku AFA esesmani w najlepsze mordowali więźniów.

Już w 1946 roku Harald, porucznik w Luftwaffe, pisał z brytyjskiego obozu jenieckiego listy pełne solennych zapewnień o swojej i ojca niewinności: „Nigdy nie byłem ani członkiem, ani kandydatem do NSDAP. Ta niechęć do partii oraz wszystkich jej przybudówek jest wyłącznie skutkiem oddziaływania mojego ojca. Sam nie mógłbym sobie na to pozwolić jako »pasierb doktora Goebbelsa«, zresztą nie pytano mnie zbyt często o te sprawy". W tym samym czasie jego ojciec, w starannie cyzelowanych pamiętnikach, pisał: „zwiodły mnie ciągłe zapewnienia Hitlera, iż pragnie pokoju". Pisał to człowiek, którego fabryka, czyli Deutsche Waffen- und Munitionsfabriken (DWM) stanowiła potężne wsparcie dla grabieżczej i ludobójczej wojny Hitlera. Pisał to człowiek, który długo liczył, że zwycięstwo w rozpętanej przez Niemcy wojnie da mu krociowe zyski. Pisał to wreszcie człowiek, który w hitlerowskich Niemczech sprawował blisko 30 kierowniczych stanowisk. I to w największych firmach: AFA, DWM, Deutsche Bank, Daimler-Benz, AEG.

Rudolf-August Oetker – esesman „wbrew woli"

Po klęsce III Rzeszy Rudolf-August Oetker jako oficer Waffen-SS został pozbawiony funkcji prezesa spółki Dr. Oetker przez brytyjskie władze okupacyjne. Jego niepowodzenia w „nowych Niemczech" nie trwały długo. Już w kwietniu 1947 roku wewnętrzna „komisja denazyfikacyjna" złożona z pracowników jego własnej firmy oczyściła go z wszelkich zarzutów dotyczących hitlerowskiej przeszłości. „Książę budyniu" – jak usilnie przekonywał – został siłą wcielony do SS. Władze brytyjskie zatwierdziły wyrok uniewinniający.

Rudolf-August Oetker zatrudnił w swojej firmie przyjaciela z czasów SS, Rudolfa von Ribbentropa. W 1967 roku wybuchł skandal, gdy okazało się, że prywatnie spotyka się z neonazistowskimi politykami. Rok później niemiecki dziennik „Die Zeit" umieścił koncern Dr. Oetker na liście firm finansowo wspierających neonazistowską Narodowodemokratyczną Partię Niemiec (NPD). Firma oczywiście zaprzeczyła. Dekadę wcześniej od „księcia budyniu" odeszła żona – do neonazistowskiego polityka o błękitnej krwi. Rzecz jasna z NPD. W zachodnich Niemczech przez lata istniało również państwowe muzeum imienia Richarda Kaselowsky'ego: „nazisty, ukochanego ojczyma Rudolfa-Augusta i członka Kręgu Przyjaciół Himmlera".

David de Jong opisuje, jakimi sposobami niemieccy miliarderzy stopniowo wychodzili z tarapatów za cichym przyzwoleniem władz zachodnich państw. Kilka lat po wojnie mogli na nowo poświęcić się pracy dla Niemiec. Gospodarka Republiki Federalnej Niemiec w 1953 roku urosła czterokrotnie. „Zdenazyfikowani" niemieccy potentaci byli potrzebni nie tylko Berlinowi, lecz także całemu zachodniemu światu. Kultura niemieckiego biznesu równała się zmowie milczenia: „okropieństwa z czasów Trzeciej Rzeszy oraz diaboliczną rolę, jaką odegrało w nich wielu Niemców, pogrzebano pod ziemią. Na Zachodzie magnaci przemysłu wymieniali dziesiątki lub setki milionów reichsmarek na miliardy nowych marek albo dolarów, odzyskując przy tym władzę nad ogromną częścią gospodarki zarówno krajowej, jak i globalnej, rzadko jednak – jeśli w ogóle – oglądając się wstecz".

Goebbels, pisząc z bunkra Hitlera list do pasierba, nie pomylił się wiele: Harald i inni ponieśli dziedzictwo dalej. Dla swoich rodzin, dla swoich biznesów. Dla Niemiec. ■

Książka dostępna na sklep.gazetapolska.pl i pod nr tel. 722-111-655. Polecamy!

eprasa.pl d598d8d6e5

Łukasz Czarnecki

Mesjasz z Księżyca, aniołowie z Marsa

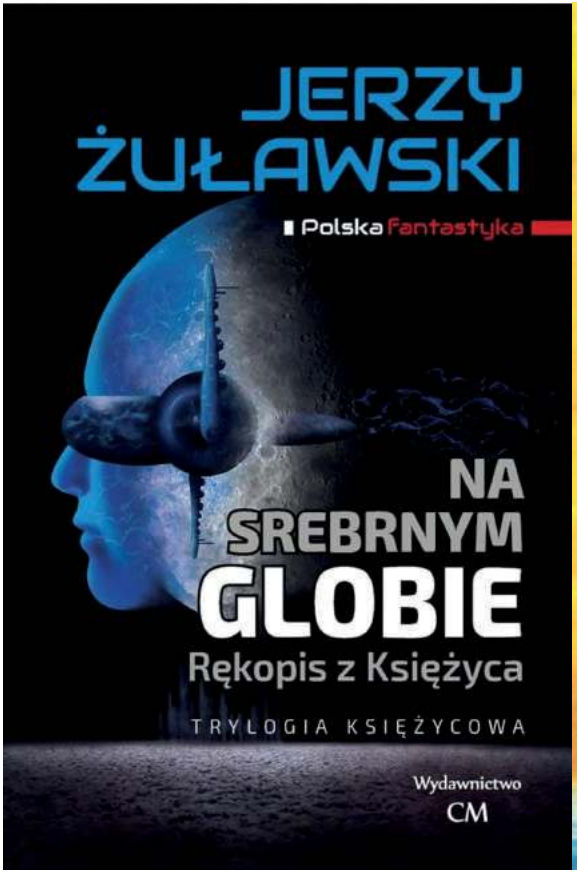

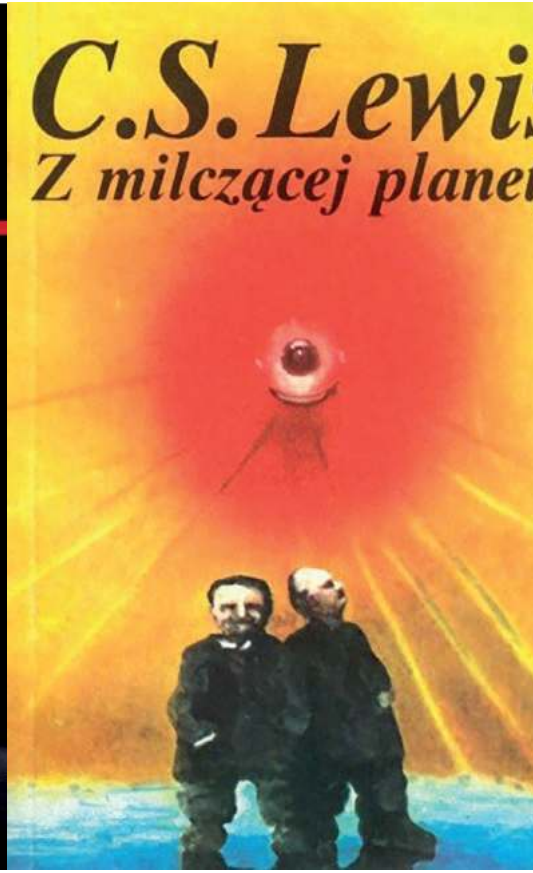

eprasa.pl d598d8d6e5

Kilka miesięcy temu świat obiegła informacja o Amerykaninie, który powołał do życia kościół czczący sztuczną inteligencję. Abstrahując od stanu umysłu samozwańczego proroka, warto odnotować, że w dniu, gdy zaczął on głosić swoje przesłanie, kreślone przez całe pokolenia pisarzy SF słowa się ziściły. Najwybitniejsi autorzy fantastyki naukowej, tworzący w XX wieku, wielokrotnie zastanawiali się bowiem nad relacją wiary i nauki. Czy w szaleńczym świecie XXI stulecia ich literackie wizje zaczynają urastać do rangi proroctw, czy jednak pozostaną „głosem wołającego na puszczy", czy też pomogą ludzkości uniknąć katastrof, przed którymi przestrzegają – to pozostaje zupełnie inną sprawą.

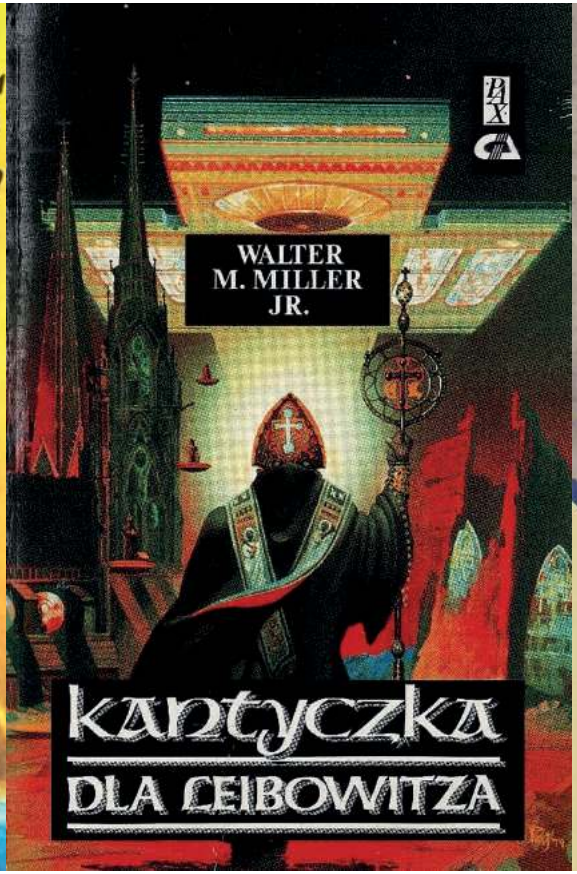

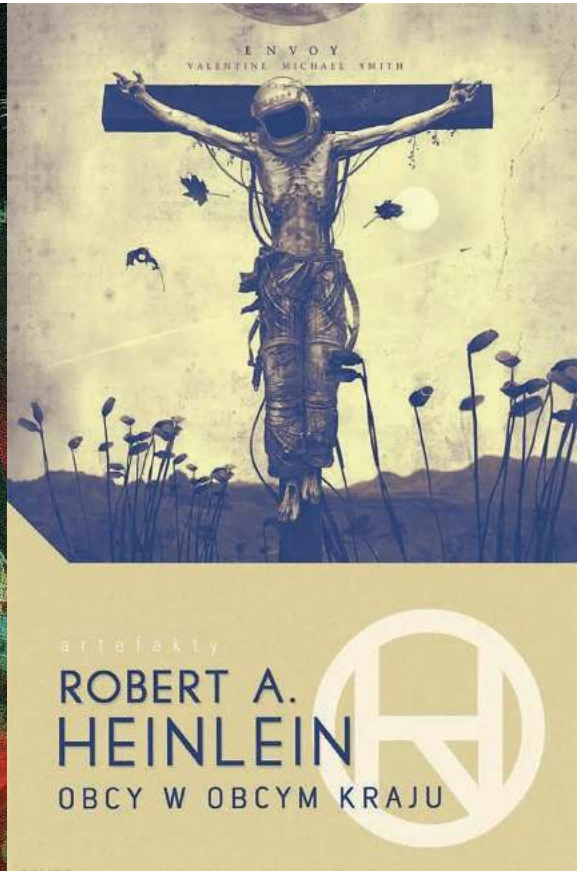

eprasa.pl d598d8d6e5

Być może część Czytelników czuje się w tej chwili nieco zdezorientowana. Twórczość SF ludziom nieobeznanym z tym gatunkiem kojarzy się czasem z eskapistycznymi opowieściami o kosmicznych podróżach. Faktem jest, że półki księgarń zapełniają niezliczone tomy czytadeł niskiego lotu, ale warto zdać sobie sprawę, że SF dawno już wyszło z getta – kiedy Baracka Obamę zapytano w czasie prezydentury o ulubione książki, wymienił „Problem trzech ciał" Liu Cixina. Dziś fantastyka naukowa przynależy do głównego nurtu kultury, co nie oznacza bynajmniej, że gorzej radziła sobie w czasach, gdy znajdowała się poza nim. Dwie z czterech książek, które tu omówimy, powstały w połowie XX wieku, a o tym, jak wówczas patrzono na SF, najlepiej świadczą gorzkie słowa George'a R.R. Martina, który wspomniał, że powiedzenie wówczas w towarzystwie, iż jest się autorem fantastyki, było jak przyznanie się do bycia aktorem porno. Tymczasem najdoskonalsze dzieła, dziś uważane za klasyki i pozycje kultowe, właśnie wówczas wychodziły spod piór Isaaca Asmiova, Franka Herberta, Waltera M. Millera czy Roberta A. Heinleina. Część z nich spotkamy w naszej podróży przez czas i przestrzeń.

Z Lwowa na Księżyc

My, Polacy, bardzo lubimy przodować na różnych polach. Polski wkład w światową kulturę i historię jest niebagatelny. Choć niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę, podobnie jest na polu literatury SF o zacięciu religijnym. Pierwszym autorem zastanawiającym się nad relacją wiary i nauki był bowiem nasz rodak – Jerzy Żuławski, którego powieść „Na Srebrnym Globie" ukazała się we Lwowie w 1903 roku. W następnych latach powstały jej kontynuacje: „Zwycięzca" oraz „Stara Ziemia", łącznie składające się na tzw. trylogię księżycową.

Zawiązaniem fabuły „Na Srebrnym Globie", którego akcja toczy się w czasach nieodległych od epoki autora, jest znalezienie pod Krakowem meteorytu. W rzeczywistości to pocisk zawierający rękopis, wystrzelony z Księżyca przez ostatniego żyjącego członka wyprawy, która na początku XX wieku wyruszyła na naszego naturalnego satelitę w podróż bez powrotu. Przywódca ekspedycji – astronom O'Tamor – odkrył, że po niewidocznej stronie Srebrnego Globu znajduje się atmosfera i istnieje tam życie. Grupa siedmiu śmiałków, sześciu mężczyzn i kobieta, postanawia się tam dostać i zamieszkać. Niestety podróż kończy się tragicznie. Większość astronautów ginie wskutek obrażeń poniesionych przy lądowania, żywi pozostają tylko Polak – Jan (narrator opowieści i autor rękopisu), Hiszpan – Piotr i Hinduska – Marta. Ta ostatnia jest w ciąży z ukochanym Anglikiem – Tomaszem, w ślad za którym zdecydowała się opuścić Ziemię. Niestety ku jej rozpaczy również on umiera.

Po długiej i ciężkiej przeprawie przez bezpowietrzną pustynię bohaterowie docierają w końcu do upragnionego księżycowego Edenu. Tam Jan i Tomasz decydują się, że dla dobra założonej kolonii powinni spłodzić kolejne dzieci z Martą. Spór o to, kto ma być ich ojcem, rozwiązują niezbyt dżentelmeńsko – ciągną o kobietę losy. Wygrywa Piotr, a Hinduska będąca już matką nowo narodzonego syna zgadza się mu ulec, by zapewnić potomkowi swego ukochanego towarzysza. Jednak stosunki między Martą a Piotrem są bardzo złe, dziewczyna nienawidzi partnera, a dla spłodzonych z nim córek przewiduje rolę podrzędną względem pierworodnego. W końcu jednak Marta umiera, a Piotr popełnia samobójstwo. Na Księżycu pozostaje już tylko jeden przybysz z Ziemi – Jan – wraz z czwórką urodzonych już na satelicie dzieci.

Mijają lata, a potomkowie Tomasza, Marty i Piotra, łącząc się w kazirodcze związki, wydają na świat kolejne pokolenia księżycowego ludu, który jednak jest wyraźnie mniejszy (wręcz karłowaty) i słabszy fizycznie niż Ziemianie. Starzejący się Polak otacza kolonię opieką, ku swemu zaniepokojeniu obserwując narastający wśród selenitów bałwochwalczy stosunek do jego osoby. Wkrótce pod przywództwem na wpół obłąkanej Ady księżycowe plemię zaczyna czcić Jana jako Starego Człowieka – wszechmocnego boga, który przeniósł prarodziców z Ziemi na Księżyc. Na nic zdają się protesty. W końcu rozwścieczony i stojący nad grobem Jan decyduje się wrócić na miejsce dawnego lądowania ekspedycji, wystrzelić na ojczystą planetę pocisk zawierający jego dzienniki i umrzeć. Jego odejście zbiega się w czasie z odkryciem przez księżycowych ludzi rasy potwornych tubylców – szernów. Proszony o obronę przed nimi bohater odpowiada, że wróci do podopiecznych, jeśli mu siły pozwolą. Obietnicy tej niedane jest mu jednak wypełnić, za to przez następne stulecia na fundamencie jego ostatnich słów rozrasta się religia wieszcząca powtórne przyjście Starego Człowieka, tym razem w postaci odmłodzonego Zwycięzcy, który poprowadzi wiernych do świętej wojny z szernami. Gdy kilkaset lat później na Księżycu ląduje młody awanturnik – Marek (co zostaje opisane w „Zwycięzcy") – miejscowi witają go jako mesjasza. Jak się jednak okazuje, wypełnienie wszystkich zawartych w proroctwach nadziei jest niewykonalne, a nowy bohater kończy swe księżycowe przygody, umierając na krzyżu, do którego przybiły go ręce tych, którzy jeszcze wczoraj go wielbili.

Koncepcje Żuławskiego stanowiły zapowiedź idei, które w XX wieku wielokrotnie miały wracać w literaturze SF.

eprasa.pl d598d8d6e5

Między Ziemią a Marsem

Brytyjczyk C.S. Lewis w Polsce kojarzony jest głównie ze stanowiącymi klasyk literatury dla dzieci „Opowieściami z Narnii". W rzeczywistości większość twórczości tego wybitnego oksfordzkiego badacza średniowiecznej literatury oraz zapalonego teologa-amatora, który sławę zyskał jako jeden z największych apologetów i promotorów chrześcijaństwa swojej epoki, przeznaczona była dla dorosłych. Tak też ma się sprawa z jego wydaną w roku 1938 powieścią SF „Z milczącej planety". W mrocznych latach II wojny światowej spod pióra Lewisa wyszły dwie kontynuacje, które razem tworzą trylogię planetarną.

Sama idea napisania przez twórcę Narnii powieści SF wydawać może się dziwna. Lewis słynął z niechęci do wszystkiego, co nowoczesne. Mimo to w roku 1937 w trakcie dyskusji z J.R.R. Tolkienem obaj uczeni dżentelmeni postanowili zmierzyć się na tym polu – Lewis miał stworzyć historię o kosmicznej wyprawie, a Tolkien o podróżach w czasie. Z podjętego zobowiązania wywiązał się tylko ten pierwszy i tak powstało „Z milczącej planety", książka o podróży na Marsa, której bohaterem autor uczynił… swojego kolegę – Tolkiena, tworząc wzorowaną na nim postać uczonego filologa – dra Elwina Ransoma. Ów uczony zostaje porwany przez dwóch łotrów, którzy transportują go na Marsa, gdzie zamierzają złożyć Ransoma w ofierze władającemu Czerwoną Planetą bytowi znanemu jako Oyarsa. Filolog jednak umyka, kryje się wśród mieszkańców obcego globu, których język wkrótce opanowuje. Żyjąc między nimi, poznaje społeczeństwo nieskażone grzechem, a gdy w końcu staje przed obliczem Oyarsa, odkrywa, że jest on anielską duchową istotą. Objawia on Ransomowi, iż każda z planet układu słonecznego ma swojego Oyarsa, a wszyscy oni razem wychwalają i służą twórcy wszechświata – Malledlilowi. Jedynie duch opiekuńczy Ziemi, znanej wśród mieszkańców sfer jako „Milcząca Planeta", nie czerpie radości z dobroci Stworzyciela, przeciw któremu zbuntował się przed eonami, skażając powierzony mu glob złem i cierpieniem.

Lewis nie był jedynym pisarzem, który wykorzystał wątek Marsjan do przekazania czytelnikom swoich poglądów na wiarę. Młodszy od niego o pokolenia Amerykanin Robert A. Heinlein uczynił to samu. Subtelna różnica polega na tym, że gdyby autor „Z milczącej planety" przeczytał wydanego w roku 1961 „Obcego w obcym kraju", prawdopodobnie dostałby zawału. Niebezpodstawnie „Obcy" zyskał bowiem miano kultowej powieści hippisów.

Książka Heinleina opowiada o żywocie Valentina Smitha, narodzonego na pokładzie statku kosmicznego w trakcie pierwszego załogowego lotu na Marsa. Wyprawa okazuje się katastrofą, a jedynym jej uczestnikiem, który przeżywa lądowanie, jest właśnie noworodek. Przygarnięty przez Marsjan dorasta w ich kulturze. Wiele lat później jako młody mężczyzna zostaje „uratowany" przez kolejną ekspedycję i przywieziony na Ziemię. Ekspatriacja bohatera, który poza wyglądem nie ma wiele wspólnego z ludźmi, wywołuje nieliche zamieszanie. Przybysz zaczyna głosić wśród Ziemian nauki wpojone mu przez Marsjan, powołując własny kościół. Gdy coraz więcej neofitów zaczyna „grokować" i stawać się „braćmi i siostrami wody", rośnie oburzenie obrońców tradycyjnych wartości (tym mocniejsze, że nowa religia szerzy swobodę seksualną, by nie rzec – rozpasanie), ostatecznie Valentin ginie męczeńską śmiercią, zamordowany przez rozwścieczoną tłuszczę. Jednak krew przelana przez „marsjańskiego mesjasza" tylko umacnia wiarę „grokujących", a on sam przeobraża się w anioła. Tak psychodeliczna fabuła nie pozostawia chyba wątpliwości, dlaczego hippisi pokochali tę książkę.

Pierwszym autorem zastanawiającym się nad relacją wiary i nauki był nasz rodak – Jerzy Żuławski, którego powieść „Na Srebrnym Globie" ukazała się we Lwowie w 1903 roku. W następnych latach powstały jej kontynuacje: „Zwycięzca" oraz „Stara Ziemia".

Ostatnia ostoja humanizmu i człowieczeństwa

Ostatnią książką, którą chciałbym tu omówić, jest wydana w roku 1959 powieść „Kantyczka dla Leibowitza", autorstwa Waltera M. Millera. Uchodzi ona dziś za absolutną klasykę, zaś dwa lata po tym, jak zawitała na półki księgarskie, otrzymała nagrodę Hugo – najważniejsze wyróżnienie w amerykańskiej fantastyce. Ponadto w części szkół w USA powieść Millera znajduje się na liście lektur szkolnych.

eprasa.pl d598d8d6e5

„Kantyczka dla Leibowitza" opowiada ponurą historię świata po atomowej apokalipsie. III wojna światowa, która wybuchła w XX wieku, doprowadziła ludzką cywilizację na skraj zagłady. Miliardy zginęły w wybuchach bomb nuklearnych, pozostali cierpieli w świecie skażonym przez promieniowanie, dręczonym chorobami i mutacjami. Rozżaleni ocaleni o swoje nieszczęście oskarżać zaczęli naukowców odpowiedzialnych za stworzenie śmiercionośnej broni. Zaczęło się wielkie „sprostaczenie" – masowa psychoza, w trakcie której mordowano ludzi wykształconych, palono książki i niszczono wszelką technologię. Obraźliwe słowo „prostak" stało się komplementem, tak że w XXVI wieku, gdy zaczyna się akcja powieści, ludzie witają się, mówiąc: „Mój dobry prostaku".

Tytułowy Leibowitz jest inżynierem rakietowym, który w trakcie „sprostaczenia" znajduje schronienie w klasztorze. Tu przeżywa nawrócenie i przyjmuje chrzest (pierwotnie jest wyznawcą judaizmu) i z błogosławieństwem Kościoła tworzy na amerykańskiej pustyni monaster, którego mnisi gromadzą ocalałe resztki wiedzy naukowej. Sam założyciel wspólnoty ginie męczeńską śmiercią, gdy zostaje rozpoznany jako dawny naukowiec, ale założony przez niego zakon trwa dalej. I choć mnisi nie są w stanie pojąć informacji zawartych w przepisywanych przez nich manuskryptach (w efekcie czego tworzą inkrustowane złotem schematy tranzystorów podtrzymywanych przez cherubiny), pozostają wierni naukom swego założyciela, czyniąc klasztor ostatnią wyspą cywilizacyjnych osiągnięć ludzkości wśród morza ciemnoty.

Akcja „Kantyczki dla Leibowitza" dzieje się w trzech odległych od siebie o setki lat okresach historycznych, odpowiadających mrokom średniowiecza, odrodzenia, na koniec zaś obserwujemy świat, który po ponad millenium wrócił do poziomu sprzed wojny atomowej. Niestety ludzkość niczego się nie uczy i na ostatnich stronach powieści jesteśmy świadkami powtórki z tragedii sprzed wieków, nowa nuklearna zagłada niszczy ludzkość. Ostatni opat klasztoru św. Leibowitza ginie wśród ruin monasteru, przed śmiercią prowadząc dialog ze znalezioną w katakumbach czaszką należącą (o czym nie wie) do mnicha z XXVI wieku, będącego bohaterem pierwszej części powieści. Nawet w tej ciemnej godzinie pozostaje jednak jeszcze iskierka nadziei – na chwilę przed upadkiem bomb atomowych należący do Watykanu statek kosmiczny wynosi w przestrzeń zakonników mających pod swą opieką zarówno grupkę dzieci, jak i archiwa z repozytorium wiedzy zgromadzonej przez bractwo św. Leibowitza. W nich cała nadzieja na odrodzenie rasy ludzkiej.

Walter M. Miller swoją jedyną powieść napisał de facto wskutek wstrząsu duchowego, jakim był dla niego udział w bombardowaniu w trakcie II wojny światowej klasztoru na Monte Cassino. Wojenne przeżycia zaowocowały pogłębieniem wiary, której owocem jest „Kantyczka dla Leibowitza". Na jej kartach to właśnie Kościół katolicki jawi się jako ostatnia ostoja humanizmu i człowieczeństwa w zdziczałym świecie. Pod koniec książki Miller wchodzi w dyskusję ze zwolennikami eutanazji (w powieści rząd proponuje ją cierpiącym na chorobę popromienną ofiarom pierwszych bombardowań), której ideę mocno krytykuje, nazywając „fałszywym miłosierdziem". Życie dopisało niestety smutny epilog do tej historii, bo zmagający się latami z depresją pisarz w roku 1996 popełnił samobójstwo.

Walter M. Miller swoją jedyną powieść napisał de facto wskutek wstrząsu duchowego, jakim był dla niego udział w bombardowaniu w trakcie II wojny światowej klasztoru na Monte Cassino. Wojenne przeżycia zaowocowały pogłębieniem wiary, której owocem jest „Kantyczka dla Leibowitza".

Jak widać z powyższych przykładów, tematyka religijna gości na kartach literatury SF od samych jej początków. Zaprezentowane tu książki stanowią tylko wierzchołek góry lodowej, ograniczenia objętości artykułów obowiązujące w naszym magazynie sprawiają, że zabrakło miejsca na omówienie twórczości wspomnianych już Asimova i Herberta czy też Fritza Leibera – wszyscy oni również poruszali interesujące nas wątki w swoich dziełach. Pozostaje mieć nadzieję, że udało mi się rozpalić w Was, Drodzy Czytelnicy, ciekawość i sami sięgnięcie po klasyków SF, próbujących odpowiedzieć na pytanie, czy w świecie zaawansowanych technologii wciąż jest jeszcze miejsce na Boga? ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Marek Kalinowski

The Rolling Stones i eliksir młodości

Mick Jagger i Keith Richards w roku 80. urodzin nagrali jedną z najlepszych płyt w swojej karierze. Choć z zapałem sięgają po nowe technologie, by nieco oszukać metrykę, to robią to zupełnie niepotrzebnie. Charyzmą i pomysłem na przebój jest im w stanie dorównać naprawdę niewielu.

Trudno w to uwierzyć, że po tylu latach losy dwóch największych zespołów XX wieku znowu się przecinają. Premiera długo wyczekiwanej płyty The Rolling Stones „Hackney Diamonds" zbiegła się z wydaniem ostatniej piosenki The Beatles „Now and Then". W obydwu projektach niemałą rolę odegrała najnowsza, cyfrowa technologia, która z wiekowych Stonesów czyni dwudziestolatków, a w przypadku The Beatles pozwala połączyć zostawione przez Lennona nagranie z muzyką żyjących kolegów.

Wystarczy jednak obejrzeć jeden z ostatnich wywiadów Keitha Richardsa, na których pojawia się razem z gitarą, by zrozumieć, że Stonesi nagraliby nie mniej udaną płytę bez żadnych technicznych „pomagajek", i to wyłącznie na akustycznym sprzęcie. Taka płyta z pewnością byłaby inna, na pewno bardziej autentyczna. Wybrali, na swój sposób dość konsekwentnie, zupełnie inną drogę – wiecznej młodości. Trzeba to uszanować, choć tli się nadzieja, że albumem „Hackney Diamonds" nie zamykają jeszcze kariery.

The Rolling Stones, HACKNEY DIAMONDS, Polydor Records

Powodów do radości jest jednak znacznie więcej niż do narzekania. Otwierający piosenkę „Angry" riff sprawia, że znowu czujemy elektryzujące ciarki na plecach. Ich niepowtarzalny styl jest absolutnie nie do podrobienia. Magia, z którą porozumiewają się Jagger z Richardsem, znowu zadziałała! W roku osiemdziesiątych urodzin panowie nagrali jedną z najlepszych płyt w swojej imponującej karierze. Niestety już bez Charliego Wattsa, którego na perkusji zastąpił Steve Jordan.

Jak się okazuje, losy The Rolling Stones i The Beatles w 2023 roku przecinają się nie tylko za sprawą daty czy też udziału nowinek technicznych. Do spotkania dochodzi na poziomie czysto ludzkim. Oto w czwartym utworze, energetycznym „Bite My Head Off" na gitarze basowej zagrał sam Sir Paul McCartney. I ciekawe, jak jego szlachecki tytuł znosi to, co w tle wykrzykuje Mick Jagger (również właściciel Orderu Imperium Brytyjskiego). Proszę mi wierzyć, Stonesom jestem w stanie wybaczyć naprawdę wiele, ale niektórych tekstów Micka Jaggera wolałbym już po prostu nie słyszeć. To, co uchodziło im jeszcze na sucho dwadzieścia lat temu, teraz o wiele ciężej przełknąć. Bo gdy starszy pan opowiada o seksie, z pomysłowością nastolatka, to już naprawdę bywa niesmaczne.

To, co nie udało się Jaggerowi w tekstach, ratuje o dziwo Richards w „Dreamy Skies" – chyba najlepszej balladzie, jaką przyszło mu w życiu zaśpiewać. „Muszę odpocząć od tego wszystkiego, bo wiatr i pustkowia wzywają" – rozpoczyna sentymentalną opowieść przy delikatnym akompaniamencie gitar i perkusji. I nie sposób odmówić mu towarzystwa w ucieczce od „syren i tłumu miasta".

Dalej jest jeszcze lepiej, bo do Stonesów dołączają kolejni wyjątkowi goście. Oto w rolach drugoplanowych otrzymujemy partię klawiszy Steviego Wondera i przepiękne chórki Lady Gagi. Muzycy towarzyszą Jaggerowi w niezwykłym „Sweet Sounds of Heaven", w którym lider Stonesów dokonuje nagłej wolty, popadając nieomal w religijne uniesienia. A to jeszcze nie koniec niespodzianek, bo całość wieńczy, jakże inny od pozostałych utworów, chropowaty „Rollin Stone Blues", od którego nowa technologia wciąż niech się trzyma jak najdalej! ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Krzysztof Karnkowski

O Kulcie na smutno

2 października zmarł Janusz Grudziński, wieloletni klawiszowiec oraz, co często pomijały medialne skrócone biografie, przez pierwsze lata gitarzysta Kultu.

Z Kultem Grudziński od września 2020 roku już nie grał. Tak się jednak złożyło, że kilka dni po dość wczesnej (62 lata) śmierci Grudzińskiego, jego macierzysty zespół wypuścił nowy utwór, zapowiadający ostatnią część czteropłytowej składanki na 40-lecie grupy. Równolegle w mediach pojawiły się informacje o kiepskim stanie zdrowia samego Kazika Staszewskiego, który przerwać musiał trasę koncertową zespołu, szczęśliwie jednak wyszedł ze szpitala i wrócił na scenę. I tak to się wszystko przeplata…

W światach równoległych

Grudziński z Kultem grał niemal od zawsze, czyli od 1982 roku. Na pierwszych kilku płytach zespołu równolegle obsługiwał klawisze i gitarę, by w miarę rozszerzania się składu grupy skupić się na tym pierwszym instrumencie. Sporadycznie zdarzało mu się też zaśpiewać, choć to akurat nie było jego najmocniejszą stroną. Nie musiało być, ważne było, jak grał. Czasem jedną ręka, o co miewano do niego pretensje, że niby to brak szacunku, a czasem nawet czytając gazetę. Być może nawet „Gazetę Polską Codziennie", której był czytelnikiem (co widać choćby w dokumentalnym „Kult. Filmie"). Z pierwszych dla mnie koncertów Kultu, jakie miałem okazję oglądać na początku lat 90., zapamiętałem Grudzińskiego jako faceta dość jak na muzyka rockowego poważnego, może trochę zamyślonego i będącego w jakimś własnym świecie równoległym. Tak miał również w muzyce – grając i pisząc dla Kultu, funkcjonował też obok niego, tworząc muzykę do licznych filmów i produkcji telewizyjnych. W 1994 roku wspólnie z Jackiem Pałuchą, artystą-malarzem i pierwszym wokalistą Formacji Nieżywych Schabuff (w czasach Pałuchy zespołu mającego ambicje raczej artystyczne niż komercyjne, choć to on śpiewa przecież w „Klubie wesołego szampana") nagrał kasetę „Przyjaciele". Z Kultem przetrwał najgorszy chyba kryzys w historii zespołu, który objawił się niezbyt udaną płytą „Poligono industrial", którą skomponował skłócony z resztą kapeli, a zwłaszcza z Grudzińskim, Krzysztof Banasik, jednak kilka lat później odszedł z grupy. Wcześniej, w 2006 roku wydał swą jedyną płytę solową, sygnowaną pseudonimem Xiąże Warszawski. To materiał złożony z kompozycji, które miały trafić na płytę Kultu, stało się jednak inaczej. Artysta dopisał w kilka dni teksty, utrzymane w klimacie pamiętnikowo-osobistym, stąd zwłaszcza teraz trudne do oceny. Z całego materiału wyróżnia się pod tym względem tytułowe „Olśnienie", wyznanie wiary Grudzińskiego. Wydana w 2016 roku płyta „Wstyd" Kultu to natomiast ostatnia pozycja w jego dyskografii.

Czas rozliczeń

Kult czterdziestolecie świętuje czterema płytami składankowymi, z których ostatnia, pod tytułem „T" (poprzednie to odpowiednio „K", „U" i „L"), ukazuje się w grudniu. Promuje ją utwór „Na łódce z Oslo", będący pierwszą od dość dawna naprawdę mocną od strony przekazu i muzyki propozycją zespołu, a przede wszystkim Kazika Staszewskiego. Staszewski, przy dawno niesłyszanych w muzyce kapeli ostrych gitarach, równie ostro rozlicza się z samym sobą, a przede wszystkim z własną słabością wobec otaczających go fanów-pochlebców, marną jakością artystyczną ostatnich płyt Kultu czy złym traktowaniem kolegów z zespołu. „Moje teksty mogę o kant dupy potłuc/ To są twory jako tako bezsilne/ Dlatego jak traktuję innych ludzi/ To co wyczyniam, powszechną zgrozę budzi" – wyrzuca z siebie i wyrzuca sobie Staszewski. I choć w tekście pojawia się sygnał, że wieloletnie poszukiwania Boga przez kiedyś związanego ze świadkami Jehowy, a później pesymistycznie niewierzącego Kazika są bliskie dobrego zakończenia (zmagania lidera Kultu z wiarą i niewiarą, a następnie ponownym wiary poszukiwaniem, które można prześledzić na kolejnych płytach, są jedną z bardziej dramatycznych historii, jakie rozegrały się w polskiej muzyce rockowej), całość optymistyczna nie jest. „Odpokutuję za to, co zrobiłem/ Tak wielu wszystkim chłopaków z kapeli/ Bezradny jestem wobec przemocy/ Nie mam już siły i mocy!" – kończy Staszewski, a traf chce, że informacja o śmierci Grudzińskiego dociera do muzyków zespołu, a za ich pośrednictwem do fanów, zaledwie kilka dni przed premierą „na łódce w Oslo" w serwisach streamingowych. Po kolejnych kilkunastu dniach pojawia się również ilustrujący piosenkę znakomity, animowany teledysk, przedstawiający Kazika jako aroganckiego mocarza.

Brytyjska inspiracja

Na koniec dodajmy do tej historii jeszcze jeden poziom. Jedną z ważnych inspiracji dla muzyków Kultu był brytyjski zespół The Stranglers, czego echa słychać w kilku utworach dość bezpośrednio, w innych pośrednio, oba zespoły w podobny sposób dojrzały i wypracowały swoje brzmienie. Janusz Grudziński był miłośnikiem gry klawiszowca Stranglersów, Davida Greenfielda, który zmarł na COVID-19 w początkach pandemii w 2020 roku. Z kolei w tym roku zmarł długoletni perkusista tej grupy, Jet Black. Pomimo tych strat, kapela na przyszły rok planuje obchody 50-lecia, akurat wtedy, gdy Kult zakończy obchody urodzin czterdziestych. A Grudziński być może gdzieś układa nową muzykę z Greenfieldem, a towarzyszą im Black i zmarły kilkanaście lat temu Andrzej „Szczota" Szymańczak, który w latach 90. bębnił w Kulcie. ■

FOT. RAFAŁ NOWAKOWSKI/PAP

eprasa.pl d598d8d6e5

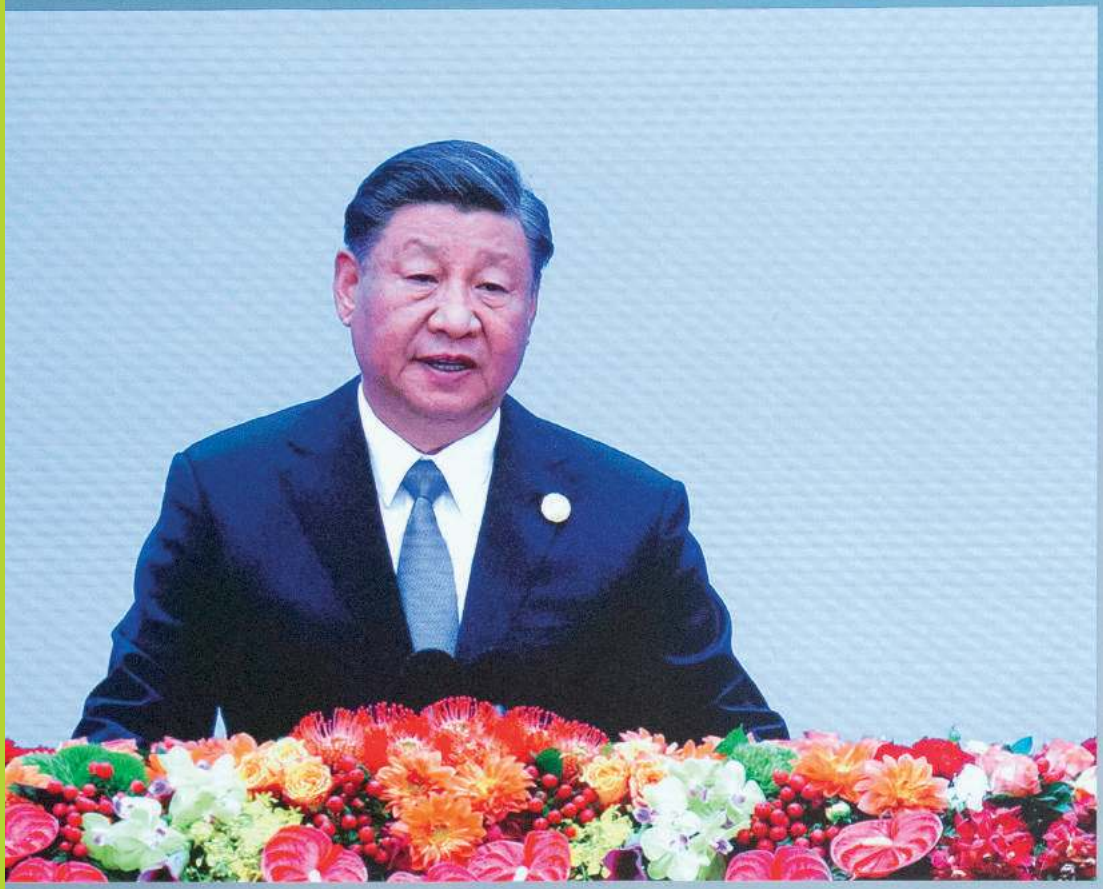

Hanna Shen

CHIŃSKO-ROSYJSKI

FOT. ANDRES MARTINEZ CASARES/PAP/EPA

eprasa.pl d598d8d6e5

SZLAK

Głównym elementem inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku jest dziś współpraca Chin i Rosji oraz antyamerykańskość. Sojusznicy USA opuszczają chiński projekt.

eprasa.pl n598d8d6e5

Na trzecim Forum Pasa i Szlaku (Nowego Jedwabnego Szlaku), które odbyło się w dniach 17–18 października w Pekinie, gościem honorowym był Władimir Putin. Rosyjski przywódca, który kilka tygodni wcześniej bał się pojawić w RPA na szczycie państw grupy BRICS w związku z wystawionym za nim listem gończym wydanym przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, nie przestraszył się wizyty w Pekinie. Wiedział, że może liczyć na parasol bezpieczeństwa ze strony swojego „dobrego przyjaciela" Xi Jinpinga.

Narzędzie dominacji

Inicjatywa Nowego Jedwabnego Szlaku została ogłoszona przez prezydenta Xi Jinpinga 10 lat temu. Mówiło się wtedy, że projekt ma służyć rozwojowi infrastruktury łączącej państwa Azji, Afryki i Europy, m.in. połączeń kolejowych i szlaków morskich. W rzeczywistości Szlak jest narzędziem, które ma przyczynić się do tego, by Chiny stały się światowym hegemonem. Cele gospodarcze inicjatywy są oczywiste: zwiększenie eksportu chińskich towarów i powiązanych z nimi usług oraz przyciągnięcie bezpośrednich inwestycji zagranicznych do Państwa Środka, a wraz z nimi zachodniej wiedzy specjalistycznej, co pozwoli na rozwój chińskiego przemysłu. To m.in. dzięki zdobytym inwestycjom i wymuszaniu transferu technologii do własnych firm, ChRL może realizować swoją ambicję stania się potęgą zaawansowanych technologii.

Celem Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS) jest też uzyskanie dostępu do surowców naturalnych i towarów rolnych niezbędnych do zbudowania nowoczesnej gospodarki. Prawie połowę inwestycji w ramach NJS stanowią projekty energetyczne w krajach bogatych w zasoby, zwłaszcza w Afryce, Ameryce Łacińskiej oraz Azji. To dzięki NJS Pekin zabezpieczył sobie dostęp do surowców mineralnych i dominuje w sektorze przetwarzania minerałów, takich jak metale ziem rzadkich, kobalt i lit. Chiny zwiększyły także moc produkcyjną w zakresie rafinacji ropy naftowej, aby wykorzystać uprzywilejowany dostęp do dostaw po cenach niższych od rynkowych od partnerów NJS, czyli Rosji, Iranu i Wenezueli.

Ale Nowemu Jedwabnemu Szlakowi przyświecają także bardzo jasne cele polityczne. Jest to element budowy wsparcia politycznego dla coraz bardziej ambitnych wysiłków Chin zmierzających do zdobycia dominującej pozycji na arenie międzynarodowej i stopniowego osłabiania wpływów USA i ich sojuszników. Poprzez działania chińskich dyplomatów, tzw. wilczych wojowników, Pekin wpływa na członków NJS, aby stanęli po stronie ich międzynarodowych priorytetów. I tak na przykład Chińczycy naciskali w ONZ na kraje Azji i Afryki, by nie przyłączały się do USA i państw europejskich i przy rezolucjach potępiających rosyjską inwazję na Ukrainę wstrzymały się od głosu oraz by nie zgadzały się na debatę na temat łamania praw człowieka w prowincji Xinjiang, gdzie Komunistyczna Partia Chin (KPCh) stworzyła obozy koncentracyjne dla Ujgurów. Węgry, najważniejszy unijny odbiorca inwestycji w ramach NJS, zablokowały wsparcie UE dla umożliwienia Tajwanowi uzyskania statusu obserwatora przy Światowej Organizacji Zdrowia.

I wreszcie Nowy Jedwabny Szlak jest ważny dla Chin ze względów militarnych. Szlaki morskie w ramach NJS mają zapewniać, by poprzez szybko powstające na nich chińskie ośrodki militarne Pekin mógł projektować siłę na Morzu Południowochińskim, Oceanie Indyjskim, w Zatoce Perskiej, wokół Afryki, a nawet na Morzu Bałtyckim. Sieć portów na tych szlakach – m.in. port Hambantota, który formalnie kontrolują Chiny po tym, jak Sri Lanka nie była w stanie spłacić chińskiego długu zaciągniętego do jego budowy w ramach jednego z projektów NJS – mogą zostać wykorzystane jako przystanie, do których będzie zawijać chińska marynarka wojenna. Pekin od lat buduje sztuczne wyspy pod bazy wojskowe na Morzu Południowochińskim, a w 2017 roku otworzył swoją pierwszą oficjalną bazę zagraniczną w Dżibuti (gdzie bazy mają również USA, Francja, Japonia i Włochy).

ChRL próbowała potajemnie budować obiekt wojskowy w porcie Khalifa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Jednak konstrukcja została wstrzymana, gdy odkrył to zachodni wywiad. W tym roku Chiny, Rosja i Iran przeprowadziły wspólne ćwiczenia morskie na wodach Oceanu Indyjskiego, w Zatoce Omańskiej pod nazwą nawiązującą do inicjatywy Pasa i Szlaku, tj. Pas Bezpieczeństwa 2023. Od lat też Chiny ze wsparciem Rosji chcą kontrolować Bałtyk. Najpierw w 2017 roku, dwa tygodnie po wizycie prezydenta USA Donalda Trumpa w Polsce, na Bałtyku rozpoczęły się rosyjsko-chińskie ćwiczenia wojskowe. Cytowany wtedy przez dziennik Komunistycznej Partii Chin „Global Times" („GT") ekspert ds. wojskowości i były pilot wojskowy Song Zhongping mówił, że jednym z celów Chin jest taka rozbudowa sił morskich, by chroniły one interesy Pekinu, zwłaszcza w ramach inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. Pekin próbował też za pośrednictwem pochodzącego z Hongkongu koncernu CK Hutchinson przejąć kontrolę nad Portem Zewnętrznym w Gdyni. Na szczęście rząd Zjednoczonej Prawicy tę chińską próbę ekspansji powstrzymał.

Przeciw Zachodowi

W pierwszym Forum Pasa i Szlaku w 2017 roku wzięło udział 29 głów państw i szefów rządów, w dru-

eprasa.pl d598d8d6e5

gim – w 2019 roku – 36. Na ostatnim Forum w październiku br. było reprezentowanych na najwyższym szczeblu tylko 26 państw, a brylował Putin. To symbolizuje kierunek, w jakim zmierza inicjatywa NJS. Ma ona służyć pogłębieniu współpracy Moskwy i Pekinu i stworzeniu bloku antyamerykańskiego.

W przemówieniu podczas ceremonii otwarcia trzeciego Forum Putin wychwalał Nowy Jedwabny Szlak, zapewniał, że jest on zgodny z rosyjską wizją stworzenia partnerstwa eurazjatyckiego i opowiadał, że Rosja i Chiny „podzielają wizję równomiernej współpracy przy jednoczesnym poszanowaniu różnorodności".

Trzygodzinne spotkanie podczas Forum prezydenta Chin Xi Jinpinga z rosyjskim prezydentem było podkreśleniem poparcia Pekinu dla samego Putina. Prezydent Chin Xi Jinping mówił o wadze kontynuacji współpracy z Rosją i wskazywał na spójność celów Pasa i Szlaku oraz promowanej przez Rosję Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej. Chiński przywódca nie ukrywał też, że tegoroczne forum służy pogłębieniu „partnerstwa bez granic" pomiędzy Rosją i Chinami ogłoszonego na kilka dni przed atakiem Kremla na Ukrainę. Jego celem jest budowa antyamerykańskiego bloku, który zachwieje fundamentami obecnego porządku międzynarodowego. „Pracujmy razem, aby wprowadzić bezprecedensowe wielkie zmiany w tym stuleciu" – powiedział Xi zagranicznym gościom biorącym udział w kolacji dzień przez otwarciem Forum. To nawiązanie do słów, które Xi wypowiedział pod koniec swojej wizyty w Moskwie w marcu bieżącego roku. „Nadchodzi zmiana, której nie było od 100 lat, i razem jesteśmy jej motorem" – stwierdził wtedy prezydent ChRL. W rozumieniu Xi Jinpinga motorem owego antyzachodniego bloku, który zachwieje fundamentami obecnego porządku międzynarodowego, mają być oczywiście Pekin i Moskwa.

Słaba obecność światowych przywódców na trzecim Forum Pasa i Szlaku na pewno wynika z faktu, że, po pierwsze – Xi gościem honorowym uczynił rosyjskiego zbrodniarza wojennego, po drugie – Moskwa do tej pory nie potępiła brutalnej wojny, jaką Rosja prowadzi na Ukrainie, i po trzecie – Pekin udziela poparcia Kremlowi. Ma rację szef brytyjskiego wywiadu MI6 Richard Moore, który oskarża rząd Chin i jego przywódcę Xi Jinpinga o bycie „absolutnie współwinnym" rosyjskiej inwazji na Ukrainę, a to bycie wspólnikiem zbrodniarza wojennego manifestuje się m.in. w rosnącej współpracy gospodarczej Chin i Rosji.

To uczynienie Pekinu i Moskwy jako centralnych ośrodków Pasa i Szlaku jest nie do zaakceptowania dla większości państwa zachodnich. Dziś jest już jasne, że Nowy Jedwabny Szlak to antyzachodnia inicjatywa.

Uciekają ze Szlaku

Coraz więcej krajów widzi też, że inicjatywa Nowego Jedwabnego Szlaku przedstawiana jako plan inwestycyjny mający przynieść korzyści wszystkim jej uczestnikom i forsowana w jej ramach formuła współpracy „win-win" – to kłamstwo. Kraje takie jak Włochy i Filipiny nie chcą już dłużej brać udziału w tej chińskiej mistyfikacji.

Włochy jako jedyne państwo grupy G7 przystąpiły do Nowego Jedwabnego Szlaku w 2019 roku. Jednak zamiast obiecanego „win-win", inwestycje związane z NJS spadły w tym kraju z 2,51 mld dolarów w 2019 roku do 810 mln dolarów w 2020 roku. Chińskie zakończone bezpośrednie inwestycje zagraniczne spadły z 650 mln dolarów w 2019 roku do 20 mln dolarów w 2020 roku i 33 mln dolarów w 2021 roku. Enrico Fardella, dyrektor ChinaMed i profesor Uniwersytetu Neapolitańskiego L'Orientale we Włoszech, twierdzi, że Włochy nie odnotowały żadnych korzyści gospodarczych po podpisaniu umowy o NJS z Chinami.

Wraz z przejęciem władzy przez Giorgię Meloni Włochy zaostrzyły swoje stanowisko wobec Pekinu. Meloni zablokowała przejęcie faktycznej kontroli nad gigantem oponiarskim Pirelli przez chińską państwową spółkę Sinochem. Włoska premier niezmiennie też wspiera Ukrainę, a podczas spotkania w lipcu br. w Waszyngtonie z prezydentem Joe Bidenem Meloni zobowiązała się do „wzmocnienia dwustronnych i wielostronnych konsultacji w sprawie możliwości

Według raportu agencji Bloomberg ogólna działalność w ramach inicjatywy NJS znacznie spadła – o 40 proc. w stosunku do szczytowej aktywności w 2018 roku – głównie z powodu problemów gospodarczych w Chinach i problemów z zadłużeniem, jakie dotykają kraje uczestniczące w inicjatywie.

eprasa.pl d598d8d6e5

i wyzwań, jakie stwarza Chińska Republika Ludowa", oraz podkreśliła „niezbędne znaczenie utrzymania pokoju i stabilności w Cieśninie Tajwańskiej". Rząd Meloni wysłał też kilka sygnałów, że wycofuje się z chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. W kwietniu br. tajwańskie media pisały, że przedstawiciele włoskiego przemysłu zasugerowali w prywatnych rozmowach z urzędnikami tajwańskimi, że Włochy mogą być skłonne wycofać się z chińskiej Inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku, ponieważ chcą wzmocnienia współpracy z Tajwanem w produkcji i eksporcie półprzewodników. Sama Meloni nazwała przystąpienie jej kraju do NJS „dużym błędem", a minister obrony w jej rządzie Guido Crosetto określił to jako „okropny czyn".

W październiku decyzję o opuszczeniu Nowego Jedwabnego Szlaku ogłosiły Filipiny. Od momentu dojścia do władzy w 2022 roku prezydent Ferdinand Marcos Jr. wycofuje się z prochińskiej polityki swojego poprzednika Rodrigo Duterte.

wi łuk sojuszy rozciągający się od Korei Południowej i Japonii na północy po Australię na południu.

Gdy we wrześniu br. chińska straż przybrzeżna umieściła 300-metrową pływającą barierę na spornym obszarze Morza Południowochińskiego, uniemożliwiając w ten sposób filipińskim rybakom łowienie ryb i pozbawiając ich źródła utrzymania, Marcos osobiście nakazał filipińskiej straży przybrzeżnej usunięcie chińskiej blokady w imię obrony terytorium jego kraju.

Nie trzeba było czekać, by Manila ogłosiła, że żegna się z Nowym Jedwabnym Szlakiem, w który wprowadził Filipiny Duterte. Filipińska deklaracja nadeszła zaledwie kilka tygodni po tym, jak Pekin jako gospodarz trzeciego Forum Pasa i Szlaku hucznie przyjmował Putina.

W ramach NJS Chiny za rządów Duterte zadeklarowały realizację na Filipinach projektów infrastrukturalnych o wartości 24 mld dolarów. Dziś Manila mówi, że prawie żaden z nich nie został zrealizowany,

Celem Nowego Jedwabnego Szlaku jest m.in. uzyskanie dostępu do surowców naturalnych i towarów rolnych niezbędnych do zbudowania nowoczesnej gospodarki. Prawie połowę inwestycji w ramach NJS stanowią projekty energetyczne w krajach bogatych w zasoby, zwłaszcza w Afryce, Ameryce Łacińskiej oraz Azji.

Na początku maja br. prezydent Marcos Jr. i prezydent Biden odbyli rozmowy w Waszyngtonie, podczas których potwierdzili trwałość sojuszu łączącego od dziesięcioleci oba kraje, a prezydent USA stwierdził, że zaangażowanie jego kraju w obronę Filipin, w tym na Morzu Południowochińskim, gdzie Manila jest pod ciągłą presją ze strony Chin, jest „niewzruszone". W wydanym przez Biały Dom po spotkaniu prezydentów oświadczeniu znalazły się ważne odniesienia dotyczące Tajwanu i Ukrainy. Biden i Marcos „potwierdzili znaczenie utrzymania pokoju i stabilności w Cieśninie Tajwańskiej jako nieodzownego elementu globalnego bezpieczeństwa i dobrobytu". Prezydenci USA i Filipin wyrazili też poparcie dla suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy „w jej granicach uznanych przez społeczność międzynarodową".

Na początku 2023 roku Amerykanie uzyskali szerszy dostęp do filipińskich baz wojskowych, co wywołało niezadowolenie Chin, ponieważ mocniejsza obecność USA na Filipinach zapewnia Waszyngtono-

a toczące się w tej chwili projekty zostają wstrzymane i będą kontynuowane we współpracy z Japonią, Koreą Płd. i krajami zachodnimi.

Z pewnością w ślady Filipin i Włoch pójdą inne kraje i będą uciekać z chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku, bo jak mówi dr Jabin Jacob, wykładowca na wydziale Stosunków Międzynarodowych i Studiów nad Zarządzaniem na indyjskim Uniwersytecie Shiv Nadar, Pekin w ramach projektów NJS „często obiecuje znacznie więcej, niż w rzeczywistości daje".

Według raportu agencji Bloomberg ogólna działalność w ramach inicjatywy NJS znacznie spadła – o 40 proc. w stosunku do szczytowej aktywności w 2018 roku – głównie z powodu problemów gospodarczych w Chinach i problemów z zadłużeniem, jakie dotykają kraje uczestniczące w inicjatywie.

W tej chwili w ramach NJS inne kraje, głównie rozwijające się, są winne Chinom ponad bilion dolarów. To znaczy, że Nowy Jedwabny Szlak uczynił z Pekinu największego lichwiarza na świecie. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Ryszard Czarnecki

Mołdawia po polsku, Kiszyniów kontra Moskwa

Premier Mołdawii Dorin Recean mówi mi, że Rosja ma wobec jego kraju dwa instrumenty nacisku: pieniądze i propagandę. To prawda. Kiszyniów reaguje na oba. Tylko w tym roku zamknął już 12 prorosyjskich kanałów telewizyjnych. Najpierw sześć – ale to nie pomogło, bo zaraz w ich miejsce otworzono następne, też będące tubą Kremla. Ludzie Moskwy zastosowali tu identyczny mechanizm jak z ich politycznymi ekspozyturami: partię Szor zastąpiła inna – Szansa, również będąca częścią Ruskiego Miru. Wydatnie finansują ją zwykłe „słupy" – ledwo wiążący koniec z końcem emeryci, którzy nagle wpłacają na kampanię wyborczą kandydatów Szansy pieniądze przywiezione wcześniej walizkami z Rosji. Być może zresztą przez Naddniestrze, które formalnie pozostaje częścią Mołdawii, ale okupowane jest przez rosyjskie wojsko, pilnujące jej „granicy" z resztą kraju.

Jestem w Bielcach (Balti) – mieście, które jest największym skupiskiem naszych rodaków w tym kraju. Obserwuję tu z ramienia Parlamentu Europejskiego wybory lokalne. Kandydata Szansy na mera... skreślono z listy wyborczej półtora dnia przed rozpoczęciem elekcji! Podobnie stało się w innych miastach. To ze strony władz działanie „po bandzie", lecz skuteczne: Ruscy mają pozamiatane. Tyle że podobnego manewru użyto już w niedawnych wyborach parlamentarnych, a głowy rosyjskiej hydry szybko się odrodziły.

W wielu lokalach wyborczych w Bielcach słyszę głównie język rosyjski. W nim rozmawiają członkowie komisji wyborczej, w tym ich szefowie czy mężowie zaufania. To jeszcze nie musi być wyrazem prorosyjskich sympatii: Irlandczycy mówiący po angielsku walczyli z Brytyjczykami, uciekając się nawet do terroru, a Ukraińcy mówiący po rosyjsku walczą z moskiewską okupacją. Jednak to w tym mieście zostało aresztowanych 14 osób za próby kupienia głosów. Kiedyś jeden głos w Mołdawii „kosztował" 50 dolarów, teraz cena podskoczyła aż do 300 dolarów.

A Polaków i polskich nazwisk jest tutaj rzeczywiście mnóstwo. Proboszcz miejscowej parafii katolickiej – Polak z diecezji przemyskiej Jarosław Puć – jest tutaj od 33 lat. Pokazuje mi poświęcony w 2010 roku kościół, który wciąż jeszcze nie jest ukończony. Po prawej stronie od ołtarza na tableau mnóstwo zdjęć parafian, którzy zmarli. Ksiądz przypomina wszak swoim parafianom, że zmartwychwstaną wraz z ciałami. Podchodzę i notuję nazwiska. Prawie wszystkie polskie: Jaworski, Sobieszczański, Tomaszewscy, Ostrowicz, Michalewski, Borowiecka, Sadowscy, Bujkowska, Fukarewicz, Chowaniuk, Klimowicz, Maksymiuk, Czajkowska, Łuka, Ilniccy, Szupernniccy, Górski (Kazimierz, Marian, Wiktor), Zaniewski, Janowski, Wojewódzki, Promińscy, Jankowski, Lipscy, Bogucki, Piskorski.

Nie koniec na tym. Przy okazji odwiedzin lokalu wyborczego w szkole podstawowej w Bielcach spisuję nazwiska uczniów, które choć podane już w wersji rumuńskiej, brzmią jakże swojsko: Nowak (choć pisany przez „v"), Romański, Kopaciński, Litwiniuk, Mołczanowski, Melnik, Podgórski, Pałańciuk, Stempowski (choć z „v" na końcu) czy Wiśniewski (w rumuńskiej wersji: Visnievschi).

Skądinąd język rumuński okazuje się znacznie bliższy polskiemu niż można się było tego spodziewać: fasole to fasola, kartofi to kartofle, biro to biuro, bors to barszcz, a valutar to waluta. Innych doprawdy nie trzeba tłumaczyć: diplom, format, materiale, poligrafie, firma, magazin, ideal, teatrul, lombard. Co do tego ostatniego, to w ciągu paru minut dostrzegam aż trzy. To najlepszy dowód na biedę. Nic dziwnego, że tylu Mołdawian ucieka za granicę za chlebem.

Przystaję na chwilę pod pomnikiem upamiętniającym katastrofę elektrowni atomowej w Czarnobylu. Na płycie z napisem „Pamięci Czarnobyla" na 46 nazwisk osób poszkodowanych i zmarłych między 1990 a 2022 rokiem aż 10 to nazwiska typowo polskie.

Dwa dni po moim powrocie z Mołdawii Unia ogłasza, że rozpoczyna z nią (oraz Ukrainą, Bośnią i Hercegowiną, a także warunkowo Gruzją) negocjacje o mołdawskie członkostwo w UE... ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Antoni Rybczyński

Rosja w wojnie z Zachodem szuka sojusznika na Globalnym Południu

Kilka wystąpień liderów Rosji plus publikacja doktrynalnego dokumentu – w ciągu ostatniego roku Moskwa jasno określiła swoją strategię zagraniczną skupiającą się nie na Zachodzie, a na tzw. Globalnym Południu.

eprasa.pl d598d8d6e5

Na Bliskim Wschodzie Rosja wykorzystuje antyamerykanizm i związaną z tym ściśle nienawiść do Izraela. Podsycaniu antyzachodnich nastrojów sprzyja pamięć o interwencjach USA w Iraku czy Afganistanie, tudzież problem palestyński. W Afryce Rosja wykorzystuje antykolonialne sentymenty – głównie przeciwko byłym imperiom kolonialnym w rodzaju Wielkiej Brytanii i Francji, ale też szermując oskarżeniem USA o „neokolonializm". W Ameryce Łacińskiej oczywiście głównym podłożem do szukania popleczników przez Moskwę jest antyamerykanizm. Nieco inaczej jest w przypadku Azji Południowej, Dalekiego Wschodu i Pacyfiku. Tutaj przeważa argumentacja ekonomiczna – co widać szczególnie w odniesieniu do Chin i Indii.

Programowe wystąpienie Putina

Przemawiając 30 października na rozszerzonym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Rosji, prezydent Władimir Putin nakreślił nową koncepcję walki z Zachodem, której ważnym, jeśli nie kluczowym elementem jest wciągnięcie do tej walki Globalnego Południa. Moskwa ma stać na czele szerokiego obozu sił antyzachodnich, stawiającego sobie za cel przekształcenie porządku światowego. Wojna z Ukrainą ma stać się jednym z teatrów konfliktu, w którym Południe popierałoby Rosję, uznając to za część wojny z Zachodem. Putin wykorzystuje wojnę Izraela z Hamasem, aby rozpalić pretensje do zachodniego „neokolonializmu". Przedstawia wojnę Rosji na Ukrainie nie tylko jako sprawę rosyjską, lecz także jako bezinteresowny, bohaterski wysiłek na rzecz rosnących sił antyzachodnich na świecie. „Kto tak naprawdę stoi za tragedią narodów Bliskiego Wschodu i innych części świata?" – pyta Putin? I odpowiada: „To obecne elity rządzące Stanami Zjednoczonymi i ich satelity, główni beneficjenci światowej niestabilności, z której czerpią swe krwawe renty". Wniosek? Skoro Rosja stawia opór Zachodowi z USA na czele, to nie tylko dba o swoje interesy narodowe, lecz także „interesy narodów, które cierpią z powodu neokolonialnej polityki Zachodu".

W narracji Kremla porządek w stylu amerykańskim, z jednym hegemonem, rozpada się. Ale Stany Zjednoczone nie mogą się z tym pogodzić; wręcz przeciwnie, starają się zachować i przedłużyć swoją dominację. Napotykają jednak „nowe centra władzy na świecie, suwerenne kraje, które nie chcą się poniżać i odgrywać roli lokajów". Putin łączy dwa teatry konfliktu w jeden: „amerykańskie elity rządzące i ich satelity" pompują broń i pieniądze „zarówno na Ukrainę, jak i na Bliski Wschód". Rosyjska strategia wobec Globalnego Południa jest podporządkowana wielkiej strategii, która skupia się wciąż na Europie. Celem na obecnym etapie jest podporządkowanie lub zniszczenie Ukrainy. Gdyby to się udało, Rosja mogłaby zagrozić bezpośrednio wschodniej flance NATO z pozycji zajętych na Ukrainie. Grożąc z pozycji zwycięzcy nad Ukrainą (a zapewne też po ostatecznym wchłonięciu Białorusi), Kreml miałby większe szanse zmusić Zachód z USA na czele do renegocjowania porządku bezpieczeństwa, jaki zapanował po 1991 roku w Europie. Zresztą ten postulat pojawił się już w ultimatum, jakie Moskwa wystosowała na krótko przed inwazją pełnoskalową na Ukrainę.

Rosja chce pozyskać Globalne Południe do walki z Zachodem, tak jak kiedyś Związek Sowiecki chciał pozyskać tzw. Trzeci Świat. Różnica jest tylko taka, że dziś Kreml nie narzuca partnerom z Afryki czy Azji żadnej ideologii, nie wymaga od nich niczego ponad współpracę geopolityczną wymierzoną w Zachód. Walkę „kolonii" z „metropoliami". To wykorzystywanie kolonialnych resentymentów widać dobrze w działaniach Rosji w krajach Sahelu niegdyś wchodzących w skład Francuskiej Afryki Zachodniej (Mali, Niger, Burkina Faso).

Co oferuje Rosja?

Październikowe „programowe" wystąpienie Putina nie było pierwszym ważnym w kontekście zalotów Moskwy pod adresem Południa. 24 kwietnia minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, przewodnicząc posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ, wygłosił ważne przemówienie poświęcone głównie oskarżeniu Zachodu o rewizję zasad i wartości Karty Narodów Zjednoczonych. W tym kontekście Ławrow zachęcał kraje tzw. Globalnego Południa, czyli rozwijające się państwa Afryki, Azji i Ameryki Południowej, aby zajmowały coraz aktywniejsze stanowisko na arenie międzynarodowej, aktywnie sprzeciwiały się polityce Zachodu i stały na straży Karty ONZ, obejmującej zasady niepodległości, suwerenności i równości państw – próbując w ten sposób przedstawić Rosję jako wiodący głos narodów rozwijających się.

Celem polityki Moskwy jest oderwanie Globalnego Południa od Zachodu, choćby w potępianiu agresji Rosji na Ukrainę. Kreml nie zrezygnował z prób podziału społeczności międzynarodowej zarówno po to, by pokazać, że nie jest w izolacji, jak i przyciągnąć, jeśli nie sojuszników, to partnerów, którzy mogliby udzielić pomocy lub wsparcia agresywnemu kursowi politycznemu prezydenta Władi-

FOT. GAVRIIL GRIGOROV / KREMLIN POOL / POOL/PAP/EPA

eprasa.pl d598d8d6e5

mira Putina. Rosja pilnie potrzebuje uzupełnienia zapasów siły roboczej, broni i amunicji na ukraińskim polu bitwy. Rosyjscy emisariusze próbują werbować ochotników do działań wojennych, szczególnie w Afganistanie, Syrii i różnych krajach afrykańskich.

Nie należy zapominać, że w wielu regionach świata wartość życia ludzkiego nie jest jeszcze tak wysoka jak w Europie i Ameryce Północnej, a rozwiązywanie konfliktów politycznych lub terytorialnych siłą jest tam uważane za coś oczywistego. Dla zdecydowanej większości krajów rozwijających się wojna na Ukrainie pozostaje odległym konfliktem regionalnym, w który nie należy się angażować, a tym bardziej zajmować antyrosyjskiego stanowiska. Wszystko to, przy odpowiednich umiejętnościach i zasobach dyplomatycznych, mogłoby rzeczywiście zapewnić Rosji poważne wsparcie, a także osłabić zdolność Zachodu do budowy szerokiej międzynarodowej koalicji antyputinowskiej.

Nowa doktryna

31 marca prezydent Władimir Putin podpisał nową „Koncepcję polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej". Poprzednia obowiązywała od 2016 roku. W nowym 40-stronicowym dokumencie Rosja jest przedstawiona jako obrońca całego świata niezachodniego przed neokolonializmem i hegemonizmem Zachodu. Widać też wyraźne przekierowanie uwagi dyplomacji rosyjskiej ku Chinom, Indiom, światu muzułmańskiemu oraz znaczącej pozostałej części Globalnego Południa. Rosja jawi się w swej nowej koncepcji polityki zagranicznej jako mocarstwo, którego przeznaczeniem jest walka o sprawiedliwy i „demokratyczny" porządek międzynarodowy.

Jak wygląda lista pożądanych partnerów Rosji w nowym dokumencie określającym podstawy jej polityki zagranicznej? Oczywiście na miejscu pierwszym Chiny, następnie Indie. Miejsce trzecie to reszta regionu Azji i Pacyfiku (ASEAN, APEC). Nowością jest wpisanie do dokumentu jako kolejnego co do ważności partnera międzynarodowego Rosji, „świata islamu". W nim wyróżniony na pierwszym miejscu Iran, a następnie Turcja, Arabia Saudyjska i Egipt. Intensyfikacja współpracy z państwami afrykańskimi i latynoamerykańskimi ma mieć charakter otwarcie antyzachodni. Jak czytamy w analizie Ośrodka Studiów Wschodnich na temat rosyjskiej koncepcji polityki zagranicznej, „priorytetem Rosji w Afryce ma być okazywanie »poparcia w zabezpieczeniu suwerenności i niezawisłości«, zagrożonych przez »wyrafinowaną neokolonialną politykę szeregu rozwiniętych państw«, a w Ameryce Łacińskiej – »poparcie zainteresowanych państw, poddawanych naciskowi USA i ich sojuszników, w zabezpieczeniu ich suwerenności i niezależności«".

Wiele państw Globalnego Południa wstrzymało się od poparcia uchwał ONZ potępiających Moskwę, wzywając zamiast tego do negocjacji. W październiku 2022 roku Korea Północna, Białoruś, Syria i Nikaragua głosowały przeciwko wnioskowi wzywającemu Rosję do natychmiastowego cofnięcia nielegalnej aneksji

Stany Zjednoczone będą musiały ponownie zainwestować we własne partnerstwa i sojusze, aby zrównoważyć rosyjską oś. W przeciwnym razie Waszyngton nie będzie w stanie powstrzymać działań krajów, które próbują siać chaos w wielu częściach świata.

Czy jednak rosyjska dyplomacja będzie w stanie wykorzystać takie możliwości? Występuje tu kilka problemów. Po pierwsze, polityka ta pozostaje w dużej mierze na poziomie retorycznym. Dla Moskwy zapewnienie wsparcia wymaga nie tylko przekonania partnerów o słuszności – co nie jest zadaniem prostym, jeśli przejdzie się od sloganów do realnych działań – lecz także przeznaczenia na to podejście znacznych środków, przede wszystkim finansowych. Niewiele gospodarek wschodzących jest gotowych otwarcie stanąć pod rosyjskimi sztandarami i za darmo stawić czoła Zachodowi. Taki scenariusz mógłby się powieść jedynie przy pokaźnym zastrzyku rosyjskiej gotówki. W przypadku jednego czy dwóch krajów wygląda to wiarygodnie – jeśli ich elity zostaną kupione za miliardy dolarów. Jednak w przypadku przejęcia kilkudziesięciu państw Rosji po prostu nie starcza środków. Dlatego wsparcie dla Rosji ze strony krajów rozwijających się Globalnego Południa najprawdopodobniej ograniczy się do deklaracji politycznych, które również mogą być istotne, choć nie na poziomie preferowanym przez Moskwę.

eprasa.pl d598d8d6e5

czterech ukraińskich regionów, podczas gdy aż 19 krajów afrykańskich – w tym Republika Południowej Afryki – wstrzymało się od głosu, wraz z Chinami, Indiami, Pakistanem i Kubą.

Oś Globalnego Zła

Sekretarz stanu USA Antony Blinken mówił w czerwcu, że wojna na Ukrainie „znacznie osłabia siłę, interesy i wpływy Rosji". Mimo wszystko jednak Moskwa nadal ma znaczące wpływy na arenie międzynarodowej. Utrzymuje stałe kontrakty w dziedzinie obronności z większością swoich dotychczasowych klientów, takimi jak Indie i Wietnam. Musiała przenieść większość swoich żołnierzy i sprzętu na Ukrainę, ale nadal posiada stałe bazy lotnicze i morskie w Syrii, co zapewnia jej bezpośredni dostęp do Morza Śródziemnego i pozwala angażować uwagę i siły USA na Bliskim Wschodzie. Co więcej, Moskwa negocjuje powstanie baz morskich w Erytrei, Sudanie i Libii. W tym ostatnim kraju nadal obecni są wagnerowcy, a ich bazy są kluczowym węzłem logistycznym dla działań Rosji w Sahelu.

Izolowana Rosja może sobie pozwolić już bez żadnych skrupułów i udawania na pogłębianie współpracy wojskowej z międzynarodowymi pariasami i wrogami Zachodu: od Wenezueli, przez Syrię i Iran po Koreę Północną. Waszyngton nie może liczyć na to, że same sankcje, niezależnie od tego jak kompleksowe, osłabią wpływy tych państw, tej antyzachodniej koalicji. Zamiast tego Stany Zjednoczone będą musiały ponownie zainwestować we własne partnerstwa i sojusze, aby zrównoważyć rosyjską oś. W przeciwnym razie Waszyngton nie będzie w stanie powstrzymać działań krajów, które próbują siać chaos w wielu częściach świata.

Zachodnie sankcje wypchnęły Moskwę z globalnego rynku broni wyższej klasy, ale to nie problem dla Rosjan, którzy i tak są potężnym eksporterem mniej zaawansowanej „broni dla ubogich". Czyli właśnie dla większości krajów Globalnego Południa. Od początku wojny z Ukrainą Moskwa zintensyfikowała dostawy do różnych krajów broni niższej klasy – w tym starszych helikopterów. Mjanma przyjęła niedawno dostawę rosyjskich myśliwców. Mali, Togo i Uganda też zakupiły niedawno rosyjskie helikoptery bojowe. Państwa te, wraz z nową juntą wojskową w Burkina Faso, wykazują chęć pogłębienia współpracy obronnej z Rosją. Na międzynarodowych targach zbrojeniowych Armia-2023 w Moskwie rosyjscy urzędnicy agresywnie reklamowali swoje wojskowe drony wśród afrykańskich klientów, mając nadzieję zaostrzyć ich apetyt na systemy, które są niedrogie i które (w przeciwieństwie do wielu innych rosyjskich broni) sprawdziły się na ukraińskim polu bitwy. Te państwa afrykańskie są zbyt biedne, aby ich potencjalne zakupy miały dla Kremla dużą wartość finansową. Pomogą jednak Moskwie scementować jej geopolityczne wpływy na kontynencie.

Stosunki Rosji z Iranem powinny jeszcze bardziej niepokoić urzędników amerykańskich i europejskich. Obydwa kraje, zjednoczone wspólną niechęcią do Waszyngtonu, rozwijają coś, co mogłoby stać się głównym partnerstwem w dziedzinie obronności. Od lata ubiegłego roku Rosja polega na irańskich dronach bojowych – najpierw w celu zniszczenia infrastruktury energetycznej Ukrainy, a ostatnio w celu ataku na ukraińskie cele wojskowe. Tymczasem Iran ma obszerną listę życzeń dotyczącą rosyjskiej broni, w tym myśliwców i systemów obrony powietrznej.

Stosunki Rosji z Koreą Północną mogą podążać podobnie niebezpieczną ścieżką. Moskwa już kupuje pociski artyleryjskie i rakiety od reżimu Kim Dzong Una; w zamian Putin mógłby zapewnić Korei Północnej materiały potrzebne Pjongjangowi do programów satelitarnych i okrętów podwodnych. Na pierwszy rzut oka nowa oś Rosji może nie wydawać się warta zamartwiania się. Jej członkowie wydają się być zbiorem zdesperowanych, słabych krajów, które nie stanowią większego zagrożenia dla Zachodu. Korea Północna ma broń nuklearną, ale jest biedna i daleko od Stanów Zjednoczonych. Iran może sporadycznie atakować arabskich partnerów Waszyngtonu, ale w najlepszym przypadku jest mocarstwem regionalnym. Afrykańscy członkowie zmagają się z wewnętrzną niestabilnością. Rzeczywiście współpraca między osiami już wzmacnia wysiłek wojenny Rosji. Kraje te mogłyby również otrzymać wsparcie od innego mocarstwa zewnętrznego: Chin. Choć Pekin może nie stać się prawdziwym członkiem osi Moskwy i chociaż stanowczo głosi, że jest bezstronny w wojnie na Ukrainie, chińscy urzędnicy już pomagają powstającej sieci państw Rosji. Pekin pomaga także samej Moskwie. Ale nawet jeśli Pekin zapewni minimalne wsparcie zewnętrzne, wszelka współpraca między Rosją a krajami Osi doprowadzi do wysokiego poziomu synergii. Na przykład rosyjska dyplomacja mogłaby pomóc Birmie w nawiązaniu stosunków wojskowych z Koreą Północną, czego chce junta. Burkina Faso, Mali i Niger właśnie podpisały trójstronny pakt o wzajemnej obronie, więc rosyjska współpraca wojskowa z którymkolwiek z tych krajów prawdopodobnie przyniesie korzyści pozostałym. Oś usankcjonowanego będzie czymś więcej niż sumą jej części. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Szopka, która nadal czeka na odkrycie

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

O tej grocie w zalesionej gęsto włoskiej prowincji Rieti słyszał mało kto. Podobnie było kiedyś. Nawet wówczas, gdy 800 lat temu przybywał tu znany już Włochom ubogi zakonnik. Nazywał się Franciszek i pochodził z Asyżu. W grudniu 1228 roku kończył swoją pielgrzymkę do Ziemi Świętej i trafił tutaj. Do Greccio. Gdzie namówił okoliczną ludność do wybudowania bożonarodzeniowej szopki. Pierwszej w historii.

Politycy, gwiazdy popkultury, osoby z pierwszych stron gazet. Wygląd szopek z Neapolu odbiega nieco od tradycji.

Kamienna szopka wykuta w skale kościoła w Greccio.

Maleńka, licząca niespełna tysiąc mieszkańców wioska Greccio, powoli budzi się ze snu. Rozgwieżdżone do niedawna niebo nad skalistym pasmem Monte Lacerone jaśnieje z każdą minutą. Poranny brzask wydłuża cienie rzucane przez okoliczne potężne dęby na dno pobliskiej doliny. W przyklejonym do urwiska klasztorze słychać donośny dzwon. „Troszkę jeszcze podzwoni…" – uśmiecha się ojciec Antonio Violante, widząc moją konsternację w obliczu tego, jak długo już słychać poranną melodię wzywającą franciszkańskich mnichów na modlitwy.

W klasztorze mieszka ich w tej chwili czterech. Wyłącznie Włochów. Wszystko wskazuje, że właśnie dziś czeka ich bardzo intensywny dzień. Poza dwoma grupami pielgrzymów, które chcą odwiedzić tutejszą grotę – miejsce, w którym święty Franciszek po raz pierwszy skonstruował bożonarodzeniową szopkę – ojcowie mają pomagać w próbach jasełek, które jak co roku szykują mieszkańcy wioski. O tych przedstawieniach inscenizujących „żywą szopkę z Greccio" usłyszał już swego czasu cały świat. Ubodzy pasterze i rolnicy oraz ich rodziny wcielający się w role Matki Bożej, świętego Józefa czy świętego Franciszka byli już ze swoim przedstawieniem m.in. w Madrycie, Brukseli, a nawet w Betlejem. „Fakt, że niewielka wioseczka miała okazję zaprezentować swoje przedstawienie w miejscu, gdzie rzeczywiście narodził się Jezus, był dla nas spełnieniem marzeń. To coś znacznie więcej, niż kiedykolwiek mogliśmy sobie wyobrazić" – wspomina wyjazd do Ziemi Świętej Federico Giovannelli, jeden z tutejszych aktorów.

Dziś po południu on oraz kilkudziesięciu innych mieszkańców Greccio ponownie zawitają do swojej ulubionej groty we franciszkańskim klasztorze. Wszystko po to, by przeprowadzić kolejną próbę bożonarodzeniowego przedstawienia. Póki co ojcowie w ciszy przygotowują się do tej wizytacji. Po modlitwie zaczynają się wielkie porządki. Trzeba odkurzyć korytarze, umyć podłogę w kościele, uprzątnąć opadłe liście z ogrodu…

Poza światem ulicy

Nad Neapolem wreszcie przestało padać. Pod odrapanymi budynkami widać walające się worki śmieci.

eprasa.pl d598d8d6e5

Na Ulicy Szopek (Via San Gregiorio Armeno) w Neapolu zawsze są tłumy. Zwłaszcza przy stoisku sławnego Genny'ego di Virgilio.

Jeden na drugim. Jakiś kot otworzył właśnie pierwszy z brzegu. Część zawartości wysypała się na bruk. Nieopodal leży mężczyzna. Chyba bezdomny. Prawdopodobnie leży w tym miejscu już od dłuższego czasu. Pomimo deszczu. Przykryty przemoczonym już śpiworem. Z ukrytą, odwróconą w dół twarzą. Spieszący się do pracy ludzie czekają, aż na pobliskim Piazza Garibaldi wreszcie zmieni się światło. Gdy zapala się zielone, wszyscy prędko ruszają przed siebie.

Niektórzy przez pobliską średniowieczną bramę Porta Capuana dojdą aż tutaj. Na neapolitańskie Centro Storico. Historyczna część miasta wcale jednak nie jest bardziej uporządkowana od tego, co działo się kilka chwil temu przy Piazza Garibaldi. Chociaż tutaj przynajmniej uliczki przemycają pewien urok. Iskierkę ciepłoty. Obecną choćby u tego neapolitańskiego artysty, którego pracownię bezwiednie mijają kolejni spieszący się do pracy. W środku ciasnego pomieszczenia większość kątów spowita jest jeszcze w porannym mroku. Poprzewracane drewniane figurki od bożonarodzeniowych szopek walają się po podłodze. Nie ma kto ich posprzątać. Zajęty pracą właściciel siedzi w ciemnym rogu. Pali papierosa. Struga kolejne figurki. W tej chwili chyba jednego z pasterzy.

▶ Na cześć „włoskiego Betlejem"

Na placu świętego Piotra zdążyła się już uformować kolejka, która mimo wszystko posuwa się dość sprawnie. Osoby z jej końca za godzinę powinny być już w środku. Część ze stojących opuszcza jednak ogonek, aby podejść do nowo postawionej konstrukcji na środku placu. To tegoroczna szopka bożonarodzeniowa. Z freskiem pochodzącym z groty w Greccio. Tam, gdzie 800 lat temu jeden z braci odprawił Mszę świętą w obecności świętego Franciszka trzymającego na ręku Dzieciątko z Maryją. Nieopodal fresku widać rzecz jasna także świętego Józefa. Jest wół, jest osioł. Są pasterze i kilka historycznych postaci obecnych przy pierwszej szopce w Greccio. Wszystkie figury są naturalnej wielkości. Tuż obok watykańskiej szopki stoi 25-metrowa srebrna jodła z alpejskiej doliny Maira.

W taki właśnie sposób Stolica Apostolska pragnie w tym roku uświęcić okrągłą rocznicę pierwszej szopki świętego Biedaczyny z Asyżu. Zwracając jednocze-

eprasa.pl d598d8d6e5

Genny di Virgilio razem ze współpracownikami w swojej „szopkowej izbie".

eprasa.pl d598d8d6e5

śnie uwagę wszystkich odwiedzających Watykan turystów i pielgrzymów na tę maleńką, ulokowaną między skalistymi wzgórzami, górską wioseczkę. Urokliwą osadę Greccio. Nazywaną „włoskim Betlejem". Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Równo 8 wieków temu.

Obudzona Dziecina, kowal na bateryjce i drewniana figurka

Ciche Greccio. Półtorej godziny trasy z dużo bardziej głośnego Rzymu. Trasy wiodącej drogami i dróżkami przecinającymi malownicze i rosnące w oczach Apeniny. Właśnie w to miejsce przybywa wracający ze swojej pielgrzymki po Ziemi Świętej święty Franciszek. Jest 1228 rok. Na 3 lata przed śmiercią wielki święty z Asyżu swoje kroki kieruje właśnie do „włoskiego Betlejem". W jego pamięci i wyobraźni nadal na świeżo malują się obrazy, jakie dopiero co oglądał w Judei i Galilei. Ze wszystkich sił pragnie pokazać miejscowym pasterzom i rolnikom, mieszkańcom Greccio, wszystko to, co zobaczył tam daleko na Bliskim Wschodzie.

Samo Greccio także bardzo podoba się Franciszkowi. W rozmowach ze współbraćmi opisuje je jako miejsce „bogate ubóstwem". Powtarza, że „w żadnym wielkim mieście nie widział tylu nawróceń, jak w tym małym miasteczku". I właśnie to „bogate ubóstwo" okolicznej ludności skłania Franciszka do tego, aby jeszcze bardziej przybliżyć im wielką Tajemnicę Narodzenia. Czyni więc przygotowania do stworzenia szopki w tutejszej grocie, nieopodal miejsca, gdzie sam śpi. Miejsce, które notabene do dziś jest zachowane. Jednocześnie nie chcąc być oskarżonym o rewolucyjne podejście do Tradycji, prosi uprzednio papieża Honoriusza III o pozwolenie na stworzenie takiej szopki. Przychylny Franciszkowi papież się zgadza.

Szczęśliwy Franciszek przygotowuje więc żłób. Prosi mieszkańców, aby przynieśli do groty siano. Stara się także o żywego wołu i osła. Przygotowania idą pełną parą. Aż wreszcie nadchodzi upragniona noc. 24 grudnia wieczorem do groty zwołują się bracia. Przychodzą mieszkańcy. Okoliczny las jakby rozbrzmiewa wesołą melodią. Święta noc rozjaśnia się licznymi blaskami. Atmosfera jest bardzo odświętna. Franciszek bierze udział w Pasterce. Śpiewa uroczyście Ewangelię i głosi do stojących wokoło ludzi poruszające kazanie. Jak podaje biograf świętego, Tomasz z Celano, to „kazanie o narodzeniu się ubogiego Króla, którego, gdy chciał nazwać po imieniu, z nadmiaru czułej miłości, nazywał Dzieciątkiem z Betlejem". Franciszek staje przed żłobem przepełniony pobożnością, zalany łzami i radością.

Właśnie wówczas dzieje się coś jeszcze. Wśród modlących się w grocie jest pewien rycerz o imieniu Jan. Pochodzący z Greccio, cnotliwy i uczciwy. Człowiek, który z miłości do Chrystusa opuścił szeregi wojska. Tenże właśnie Jan otrzymuje wizję. Przejęty widzi wyraźnie, jak śpiące do tej pory Niemowlę po tym, jak zbliża się do niego Franciszek, jakby ożywa. Budzi się ze snu.

Setki, a nawet tysiące szopek

Dopiero teraz wyczuwam ten zapach. Znam go poniekąd z domu rodzinnego. Woń choinki. Przemieszana z uczuciem chłodu. Ale tutaj w Neapolu jakby nieco odmienna. Ze świecidełkami. I nieustannym szelestem.

Wejścia na wąską uliczkę San Gregiorio Armeno nie sposób przeoczyć. Wchodząc tu trzeba przede wszystkim przełożyć plecak na brzuch. I bardzo mocno trzymać się za portfel. Gdy już spełnimy te dwa warunki, możemy zacząć dawać porwać się unoszącej się w wigilijnym powietrzu atmosferze. Bo wejście na San Gregiorio Armeno to przekraczanie nowej rzeczywistości. Niczym wejście do szafy, za którą rozpoczyna się nowa kraina. Kraina smaku, którego nie spróbujemy nigdzie indziej.

Setki, a nawet tysiące szopek. Większość minimum półmetrowej wysokości. Złożonych z kilkudziesięciu elementów i podelementów, zespołów i podzespołów. Na dole kowal wykuwający żelazo. Porusza się dzięki bateryjce. Obok piekarz wypiekający chleb. Za nim lekko migająca lampka imitująca ogień w kaflowym piecu. Nad nimi przelewający się niewielki strumyk. Woda jest prawdziwa. Pływa w zamkniętym obiegu. Dalej mamy kobietę prasującą koszulę. Obok niej pasterze doglądający swych owiec. Wszystko jest w ruchu. Wszystko przepięknie oświetlone. W malowniczych barwach neapolitańskiej starówki.

Na mającej 140 metrów długości uliczce ściśnięte jest kilkadziesiąt straganów. Przed każdym stoi sporych rozmiarów ruchoma szopka. Czasem dwie, czasem pięć. Czasem kilkanaście. Każda z nich to oddzielne dzieło sztuki. Wykonane w całości ręcznie z malowanej terakoty, czasem z korala lub muszli morskich. Samostanowiące i bezobsługowe systemy.

Szopki na Via San Gregiorio Armeno to namacalna tradycja Neapolu. Tradycja pamiętająca przełom XVII i XVIII wieku, gdy sam król Karol III samodzielnie budował te skomplikowane konstrukcje. Gdy szopki wykonywano jeszcze na dworach królewskich i książęcych. Jeszcze zanim ich produkcja przeniosła się do domów mieszczan, a następnie do wiejskich podneapolitańskich chat.

Prosty znak wiary chrześcijańskiej

Wybór Watykanu na tegoroczną bożonarodzeniową szopkę nie mógł być inny. Do Greccio pielgrzymowało w ostatnim półwieczu już dwóch papieży: Jan

eprasa.pl d598d8d6e5

XIII-wieczne drewniane odrzwia prowadzą do izby, w której przed laty spał w Greccio św. Franciszek.

Paweł II oraz Franciszek. Ten drugi modlił się w tutejszej grocie dwa razy. Ostatnio całkiem niedawno, bo w 2019 roku. Właśnie wówczas po dłuższej chwili medytacji przed skalnym żłobem papież podpisał List Apostolski o znaczeniu i wartości żłóbka. Wskazał w nim na fakt, że żłóbek jest prostym i wspaniałym znakiem wiary chrześcijańskiej. Ojciec Święty miał nadzieję, że ten krótki list może przydać się wiernym w dobrym i owocnym przygotowaniu serc na Boże Narodzenie. Na pamiątkę swojej wizyty zostawił drewnianą figurkę nowo narodzonego Jezusa. Figurka leży tu także dzisiaj.

Najważniejsza podróż

– Ta wizja rycerza Jana, który zobaczył budzącą się Świętą Dziecinę po tym, jak zwrócił się do niej Franciszek, to naprawdę wspaniała alegoria do przeżywanych dziś przez nas świąt Bożego Narodzenia – rozmawiający ze mną przy skalnym żłóbku w Greccio ojciec Antonio jest poruszony opowiadaną przez siebie historią.

– Mówi ojciec o tej wizji mężczyzny, który był wtedy przy świętym Franciszku w grocie w 1228 roku, tak? Spotkałem się z opinią, że to tylko legenda… – dopytuję, korzystając z okazji, że rozmawiam z prawdziwym znawcą tematu i przy okazji mieszkańcem klasztoru w Greccio.

– Nie jest to fakt historyczny, to na pewno – odpowiada franciszkanin. – W przekazie świętego Bonawentury, który zresztą także tutaj mieszkał, czytamy jednak pewne wytłumaczenie tej wizji. Bonawentura pisze, że ta wizja Jana zdecydowanie zasługuje na wiarę. Że o jego wiarygodności świadczy nie tylko jego świętość życia jako pobożnego rycerza, lecz także prawda zawarta w samym widzeniu, jak i późniejsze cuda, które ją potwierdzają.

– Jakie to cuda? – dopytuję.

– To bardzo proste. Podziwiany przez świat przykład Franciszka stał się już w tamtym czasie czynnikiem pobudzającym oziębłe serca do wiary Chrystusowej. Świadectwo o tym, że Dzieciątko potrzebuje naszej uwagi, naszego oddania. Inaczej nasza wiara nadal będzie w uśpieniu.

– Aha, rozumiem… – odpowiadam niepewnie.

– Ale skoro pan pyta o konkretne cuda… Jak mówią nam kroniki z tamtych czasów, samo siano z pamiętnego żłobu było przechowywane przez okolicznych mieszkańców bardzo skrupulatnie. I jak twierdzą świadkowie, miało pewnego rodzaju moc uzdrawiającą chore zwierzęta. Bóg ukazał w ten sposób czułą miłość, jaką obdarza Franciszka. Samymi cudami zaświadczając o skuteczności jego świętej modlitwy.

Wychodzę na moment na zewnątrz groty. Pora pooddychać świeżym górskim powietrzem. Ułożyć sobie w głowie niektóre sprawy, zasłyszane historie. Rozmyślaniom towarzyszy świegot ptaków. Pomimo grudnia wszystko tutaj wokół gra, piszczy, szeleści. Tuż obok szemrzący strumyk. Przepływająca tuż obok franciszkańskiego klasztoru woda spływa po pionowej skale w dół. Obok schody. Prowadzą na główny dziedziniec klasztoru. Poza mną nie mu w tej chwili nikogo. Ojcowie mają najwidoczniej sjestę. A pielgrzymi jeszcze nie zdążyli dojechać. Nie ma także jeszcze okolicznych mieszkańców, którzy mają dziś rozpoczynać próby jasełkowych przedstawień. Jest cudownie cicho.

Z dziedzińca widać kilkoro drzwi. Jedne prowadzą do kościoła, drugie do lokalnego sklepiku z dewocjonaliami. Wszędzie tam już byłem. Naraz spostrzegam jednak jeszcze jedne drzwi. Podchodzę i delikatnie uchylam. Przyjemna starodrewniana woń dociera do nozdrzy. Ciekawość jest nazbyt silna. Idę dalej. Po kilku chwilach wchodzę do niewielkiej kaplicy. Zbudowanej na skale. Z XIV-wiecznym naściennym freskiem przedstawiającym świętego Franciszka. Jak się zaraz okaże, to pierwszy w dziejach świata kościół poświęcony jego imieniu. Wszystko pachnie tu historią. Oryginalne są ławy, oryginalne są klęczniki, oryginalne jest zakonne oratorium, gdzie mnisi zbierali się na wspólne modlitwy. Właśnie tutaj dostrzegam wielkich rozmiarów mszał. Musi mieć przynajmniej

eprasa.pl d598d8d6e5

Fresk na ścianie groty w Greccio. Właśnie w tym miejscu przed 800 laty św. Franciszek utworzył pierwszą w historii szopkę bożonarodzeniową.

600–700 lat. Zabytek skali zerowej. Zaraz obok wielki średniowieczny świecznik rzucający blask na księgę.

To jednak nie koniec. Otwieram niewielki drewniany szczebel blokujący przejście i podążam dalej. Ufając, że zakonnicy wybaczą. Nie wiadomo, kiedy będę tu następnym razem. Wchodzę do długiego korytarza. Całego z drewna. Drzwiczki do jednej z celi są otwarte. Pomieszczenie nie ma więcej jak 3–4 metry kwadratowe. Niewielkie okienko wyglądające na przeciwległe zalesione wzgórze. Stolik, brewiarz, wąskie łóżko. To cela wspomnianego już świętego Bonawentury, niegdysiejszego ojca generała franciszkanów.

Obok celi widać kręcone schody. Prowadzą bliżej skały, na której zbudowany jest klasztor. Wszystko pachnie tu historią. Wszystko pachnie świętością. Choćby ta dziura w skale, która służyła Franciszkowi do prób śpiewu. A nieco dalej jego własna izdebka. Tym razem cała wydrążona w litej skale. Podążam bliżej. Uchylone grube XIV-wieczne drewniane drzwi. I to miejsce. Przyklękam. Cisza. I ten unoszący się w skalnym tunelu zapach.

Człowiek-instytucja

– Ile za taką figurkę? – pytam obsługującego jeden ze straganów na neapolitańskiej Ulicy Szopek Via San Gregiorio Armeno.

– Tę tutaj? – pan upewnia się, czy chodzi mi o figurkę ubranej w biały garnitur Giorgi Meloni.

– No, na przykład…

– Za panią premier to będzie 45 euro.

To zakład Genny'ego di Virgilio. Sławnego twórcy neapolitańskich szopek. We Włoszech doczekał się miana człowieka-instytucji. Jego pomysł na tworzenie kolejnych figurek sławnych ludzi, o których akurat mówi się w mediach, okazał się być swego czasu strzałem w dziesiątkę. Tak było choćby w grudniu 2012 roku, kiedy to Pałac Buckingham potwierdził doniesienia o ciąży księżnej Kate. Di Virgilio w ciągu 24 godzin wykonał i wstawił do swojej szopki figurki przedstawiające księcia i księżną Cambridge.

– Zawsze jesteś tak na bieżąco z wydarzeniami na świecie? – pytam artystę, gdy okazuje się, że akurat jest u siebie w warsztacie w głębi sklepu.

– To nie do końca tak, jak piszą o mnie w mediach – Genny decyduje się na szczerość z obcym dziennikarzem z Polski. – Większość moich figurek to efekty spotkań z tymi osobami. Widzisz te fotografie?

Włoch wskazuje na liczne zdjęcia zdobiące ściany jego galerii. Na każdym znajduje się on z jakąś sławą. Od papieża Franciszka, przez piłkarskie gwiazdy Seria A, po polityków z pierwszych stron gazet.

– Najczęściej szykuję figurkę, gdy wiem, że będę miał podobne spotkanie z kimś sławnym – kontynuuje. – A potem kopię umieszczam w mojej szopce.

Żegnam się z artystą. I przy okazji raz jeszcze przemierzam klimatyczną alejkę San Gregiorio Armeno. Tutejsze szopki są naprawdę piękne. Ale ewidentnie kogoś w nich brakuje. Są scenki z życia mieszkańców prowincji, są inscenizacje z prac na polu, z pieczenia chleba czy z rozgrywek sportowych. Jednak szopki ze Świętą Rodziną można szukać ze świecą. Przykryte krzykliwymi napisami i twarzami z pierwszych stron gazet, jakby gdzieś znikają. Jakby wcale nie były tu potrzebne.

Wewnętrzny spokój

Przed bożonarodzeniową szopką na placu świętego Piotra przyklęka jakiś chłopiec. Chyba spodobał mu się pomysł ze skromną stajenką, tą na wzór tej pierwszej szopki – autorskiego pomysłu świętego Franciszka sprzed 800 lat. Chłopiec przyklęka, patrząc na kopię przypłowiałego fresku między atrapami skał. Na karmiącą piersią Maryję. I na klęczącego przed Nowo Narodzonym Biedaczynę z Asyżu. Spogląda i milczy. Jakby był zupełnie daleko stąd. Poza kolejką do bazyliki. Poza rozkrzyczanym Watykanem. Poza harmidrem Wiecznego Miasta. Jakby udało mu się dotrzeć gdzieś dalej. W niezbadane do tej pory miejsce.

Spójrz, Franciszku, znowu ci się udało… ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Tegoroczny raport Pentagonu na temat rozwoju potencjału militarnego Chin stwierdza, że Pekin powiększa swój arsenał nuklearny znacznie szybciej, niż przewidywano, i wyciąga wnioski z wojny Rosji na Ukrainie w kwestii tego, jak mógłby wyglądać konflikt o Tajwan.

W 2022 roku Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza (ChALW) „podejmowała bardziej agresywne działania w regionie Indo-Pacyfiku, przyspieszając jednocześnie rozwój zdolności militarnych i koncepcji mających na celu wzmocnienie możliwości ChRL do »walczenia i wygrywania wojen« przeciwko »silnemu wrogowi«, do przeciwstawiania się interwencji trzeciej strony w konflikcie na peryferiach ChRL i do projekcji siły na skalę globalną" – czytamy w raporcie.

W ubiegłorocznym dokumencie Pentagon ostrzegał, że Pekin modernizuje swoje siły nuklearne w tak szybkim tempie, że do 2035 roku może niemal czterokrotnie zwiększyć liczbę posiadanych głowic do 1500. Z raportu wynika także, że Chiny będą prawdopodobnie posiadały ponad 1000 głowic nuklearnych do 2030 roku. Ta przyspieszona modernizacja to realizacja celu wyznaczonego przez prezydenta Xi Jinpinga, by do 2049 roku, czyli w stulecie utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej, utworzyć armię „światowej klasy".

Tegoroczny raport ostrzega, że Chiny pracują nad nowym międzykontynentalnym systemem rakietowym z wykorzystaniem broni konwencjonalnej, który, jeśli zostanie rozmieszczony, sprawi, że Pekin będzie mógł „zagrozić konwencjonalnymi atakami na cele w kontynentalnych Stanach Zjednoczonych, na Hawajach i na Alasce".

Pentagon alarmuje również, że Chiny „prawdopodobnie posiadają zdolności związane z bronią chemiczną i biologiczną, które stanowią zagrożenie dla sił amerykańskich, sojuszniczych i partnerskich oraz dla operacji wojskowych i ludności cywilnej".

W kwestii dotyczącej Tajwanu raport stwierdza, że w 2022 roku Pekin zwiększył presję dyplomatyczną, polityczną i wojskową na wyspę. „Wzmożone prowokacyjne i destabilizujące działania ChALW w Cieśninie Tajwańskiej i wokół niej obejmowały przeloty rakiet balistycznych nad Tajwanem, gwałtownie zwiększoną liczbę wtargnięć w tajwańską strefę identyfikacji obrony powietrznej oraz serię dużych ćwiczeń wojskowych w pobliżu Tajwanu". Dokument przypomina, że na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Chin w 2022 roku Xi Jinping powtórzył, że Chiny dążą do pokojowego zjednoczenia z Tajwanem, ale nigdy nie wyrzekną się użycia siły jako opcji służącej objęciu kontroli nad wyspą.

W odniesieniu do wojny na Ukrainie raport stwierdza, że mimo iż chińscy urzędnicy publicznie zaprzeczają, jakoby udzielali Rosji jakiejkolwiek śmiercionośnej pomocy, to rosyjska armia „rutynowo nabywa małe drony i bezzałogowe statki powietrzne podwójnego zastosowania (UAV) w celu wsparcia działań wojennych na Ukrainie". W latach 2022–2023 chińskie firmy wyeksportowały do Rosji drony i części do nich o wartości ponad 12 mln dolarów. Siły rosyjskie wykorzystują chińskie drony do namierzania, obserwacji i ataków na Ukrainie.

ChRL wyciąga także wnioski z rosyjskiej wojny na Ukrainie, które najlepiej odpowiadają jej strategicznym interesom.

Z dyplomatycznego punktu widzenia Pekin widzi, jak ważne jest przekonanie krajów Globalnego Południa, aby powtarzały chińską narrację na temat danego konfliktu. Dla ChRL wsparcie ze strony krajów rozwijających się jest kluczowe w osłabieniu wszelkich działań toczonych pod przewodnictwem USA.

eprasa.pl d598d8d6e5

Wnioski ChALW „wyciągnięte z rosyjskiej wojny na Ukrainie prawdopodobnie wzmocnią jej zaangażowanie w prowadzenie operacji wywierania wpływu, aby odstraszyć przeciwników, kształtować opinię publiczną na wczesnym etapie konfliktu, polaryzować społeczeństwa, osłabiać wolę walki i chronić przed charyzmatycznymi przywódcami zmieniającymi postrzeganie społeczne" – czytamy w raporcie Pentagonu. Eksperci ChALW mają przekonywać rządzących w Pekinie, że zwycięstwo w wojnie psychologicznej i informacyjnej może przynieść większe korzyści strategiczne niż zniszczenie siłą ognia, kontrolą sił i oblężeniem, a skutki takich operacji wpływu mogą utrzymywać się długo po zakończeniu konfliktu.

W kwestii gospodarczej zachodnie sankcje wobec Rosji wzmocniły dążenie ChRL do zapewnienia sobie samowystarczalności militarnej i technologicznej oraz odporności finansowej. Pentagon uważa jednak, że owo oddzielenie się chińskiej gospodarki od Zachodu będzie przebiegać powoli ze względu na zależność ChRL od zachodnich technologii i inwestycji kapitałowych.

Pentagon uważa, że poparcie Chin dla Moskwy będzie kontynuowane, bo Pekin postrzega pomoc dla Rosji „jako szansę na utrzymanie pozytywnej trajektorii w stosunkach chińsko-rosyjskich i zwiększenie gotowości Rosji do wspierania wysiłków ChRL na rzecz przeciwstawienia się Stanom Zjednoczonym i przekształcenia porządku międzynarodowego".

Azja – prześladowanie chrześcijan

W tegorocznym raporcie amerykańska organizacja International Christian Concern (ICC) wymienia 10 krajów, z tego siedem w Azji, w których chrześcijanie prześladowani są w sposób masowy i zorganizowany.

Na czele listy znajduje się Korea Północna, gdzie szacuje się, że jest 400 tys. chrześcijan praktykujących potajemnie. Ludność tego kraju wynosi około 26 mln. Reżim Kim Dzong Una postrzega chrześcijan jako narzędzie amerykańskiego imperializmu i zagrożenie dla komunistycznej władzy. W KRLD za wyznawanie wiary czy posiadanie Biblii, kara więzienia i tortury grożą nie tylko osobom złapanym na tych uczynkach, lecz także ich bliskim. Raport ICC opisuje przypadek rodziny z domu, w którym znaleziono Pismo Święte. Za tę „zbrodnię" na dożywocie skazani zostali młodzi rodzice i ich dwuletnie dziecko. Jak stwierdza raport: „taka koszmarna sytuacja uczyniła praktykowanie chrześcijaństwa w Korei Północnej niezwykle niebezpiecznym i zmusiła grupy chrześcijańskie do potajemnego działania w małych grupach. W obawie o swoje życie wielu szuka ucieczki, choć podróż z Korei jest niebezpieczna, a konsekwencje złapania poważne".

Kolejnym krajem w Azji, gdzie na masową skalę są prześladowani chrześcijanie, są Chiny. Jak stwierdza raport ICC, symbolem stanu, w jakim jest chrześcijaństwo w Państwie Środka, są tysiące zamkniętych kościołów, usuwane krzyże z budynków i urzędnicy rządowi zmieniający treść Pisma Świętego. Komunistyczna Partia Chin widzi chrześcijaństwo jako zagrożenie dla jej władzy i stabilności, a tym samym dla bezpieczeństwa narodowego. Według nieoficjalnych danych liczba chrześcijan w Chinach przewyższa już liczbę członków KPCh, których jest około 95 mln. Szacuje się, że w 2030 roku w Chinach będzie 247 mln wiernych, w związku z czym państwo to stanie się, mimo prześladowań, krajem o największej liczbie chrześcijan na świecie. Aby powstrzymać rozwój chrześcijaństwa, prezydent Chin Xi Jinping ogłosił tzw. kampanię sinizacji religii, polegającą na tym, że kościoły m.in. za pomocą symboli muszą dostosować się do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". Tak zwane państwowe kościoły protestanckie i katolickie w Chinach odgrywają często rolę centrów propagandy rządowej. Pekin ogłosił także, że zamierza „przepisać Biblię" na nową, sprzyjającą rządowi wersję. Wcześniej Chińczycy „ulepszyli" już Dziesięć Przykazań. W sierpniu br. członek amerykańskiej Izby Reprezentantów Mike Gallagher ostrzegał, że lokalni urzędnicy KPCh w prowincji Henan zmusili kościoły do zastąpienia Przykazań cytatami z prezydenta Xi Jinpinga. „Przykazanie »Nie będziesz miał cudzych bogów przede Mną« stało się sloganem głoszącym, że »stanowczo bronimy się przed infiltracją zachodniej ideologii«" – mówił Gallagher.

Raport ICC mówi także o Iranie, który od czasu rewolucji z 1979 roku jest państwem wyznaniowym i zakazana jest tam zmiana religii przez muzułmanów. Mimo to szacuje się, że jest tam 500–800 tys. konwertytów z islamu na chrześcijaństwo. Za porzucenie islamu są nie tylko ścigani przez władzę, lecz także muszą stawić czoła bliskim, którzy nie akceptują ich decyzji i często wykluczają ich z rodziny. Władze Iranu starają się przedstawiać chrześcijan jak osoby na usługach syjonistycznych organizacji szpiegujących dla Izraela i Ameryki oraz oskarżają ich m.in. o „naruszanie bezpieczeństwa narodowego i szpiegostwo". Chrześcijanie w Iranie doświadczają surowych prześladowań na mocy prawa szariatu. Biblia i wszelka literatura chrześcijańska w języku perskim są zakazane. Zakazane jest także nauczanie wiary chrześcijańskiej w języku narodowym. Reżim irański prowadzi wiele surowych więzień, w których chrześcijanie są poddawani torturom.

Indie, Pakistan, Indonezja i Azerbejdżan to kolejne kraje w Azji wymienione w raporcie ICC jako dokonujące prześladowań na chrześcijanach w zorganizowany sposób. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Marcin Wolski

Egzamin z solidarności

Jest takie powiedzenie karciane oznaczające nagłe wybrnięcie z sytuacji pozornie bez wyjścia: „Wróciliśmy z dalekiej podróży". Śmiały ruch Andrzeja Dudy kupił nam trochę czasu, a nade wszystko przez gambit z Sawickim otworzył przestrzeń do gry. Czy uda się w niej pograć, czas pokaże! Nadzieja umiera ostatnia, a co więcej – zawsze może ozdrowieć. Niezależnie od rozwoju sytuacji mentalnie musimy być gotowi na każdy wariant. Nawet na chwilową przegraną. W każdym jednak wypadku możemy i musimy posłużyć się jednym słowem i jednym działaniem trochę zakurzonym, trochę wyblakłym, trochę zapomnianym – owo słowo to „solidarność". Nie sejmowa arytmetyka, nie rachunki geopolityczne, nie jednostkowe akty i gesty, lecz właśnie ona w ostatecznym rozrachunku zdecyduje, czy i jak przetrwamy jako naród, jako państwo. Wielkie słowa, ale kiedy ich używać, jeśli nie dziś! W historii nieraz tak bywało, że większym przeciwnikiem od pospolitej zdrady czy zmowy obcych okazywała się bierność albo panika streszczająca się w okrzyku: „Ratuj się, kto może!"

W stanie wojennym po 13 grudnia 1981 roku najbardziej budująca była wzajemna pomoc zwykłych ludzi często anonimowym potrzebującym. Ile trzeba było odwagi, empatii, czasami przełamywania osobistych niechęci. Podział był jasny – wroga, narzucona przez obcych władza, a przeciw świadomy ruch oporu, wpierany przynajmniej mentalnie przez większość społeczeństwa i jego elity. Dziś sytuacja może być inna. Zła zmiana może wygrać! Autorytety moralne będą zacierać ręce z powodu każdej porażki przeciwnika, artyści nie będą protestować z powodu represji stosowanych wobec polskich patriotów. A spora część narodu, nieważne jak ogłupiona, ale z pewnością niepoganiana kolbami, nieprędko zda sobie sprawę z konsekwencji werdyktu wyborczego, jaki wydała. Możemy liczyć jedynie na siebie i na to, że nie zdołają nas skłócić, podzielić. Ale…

Tak jak potęga 10-milionowego Związku po wprowadzeniu stanu wojennego bardzo szybko zmieniła się w realną mniejszość, tak i dziś świadomość milionów głosów oddanych na prawicę nie może dawać pewności, że kredyt ten został udzielony raz na zawsze. Społeczeństwo raczej samo z siebie nie zmądrzeje i nie naprawi swojego błędu podczas kolejnych wyborów. Za mało czasu, by na własnej skórze doznać „rozkoszy nowej władzy" i zrozumieć, co się właściwie stało. Ktoś musi nie pozwolić, aby zapadło w stan uśpienia.

Ostatnio prześladują mnie dwa obrazy: dzieło francuskiego malarza Théodore'a Géricaulta „Tratwa Meduzy" i propagandowa czytanka państwa Centkiewiczów o sowieckiej wyprawie Iwana Papanina i dryfie jego stacji polarnej na coraz bardziej kurczącej się krze lodowej. W obu wypadkach trwał wyścig z czasem. Kurczyło się pole lodowe i lada moment resztki stacji Siewiernyj Polus mogły pochłonąć fale Oceanu Lodowatego, natomiast wśród rozbitków na tratwie ratunkowej ze statku „Meduza" toczył się bój o przetrwanie: brakowało wody, pożywienia, nadziei. Poświęcano jednych, by ocalić innych. Dochodziło do aktów kanibalizmu. W obu przypadkach ratunek w końcu nadszedł – ale jeśli policzyć szkody moralne? Która sytuacja może być nam bliższa?

Jak w niesprzyjającej sytuacji przetrwać z minimalnymi stratami, jak nie utracić najlepszych ze swych zasobów i jeszcze przyciągnąć wahających się? Dla mnie nie ulega wątpliwości – w batalii, która nas czeka, nie możemy sobie pozwolić na utratę jednej polskiej ręki, a jeszcze bardziej głowy. Jesteśmy różni, ale podejrzewam, że przeważająca część Polaków ma na temat kwestii podstawowych – takich jak suwerenność, polskość, tradycja – zdanie jednoznaczne. I to powinno nas łączyć, a nie wypominanie starych animozji, popełnionych błędów czy toczonych sporów. Przebywający od lat na wewnętrznej emigracji Jan Maria Rokita sformułował kiedyś hasło: „Nie ma wroga na prawicy". Nawet jeśli nie było do końca prawdziwe, pozostaje jedyną latarnią morską rozświetlającą mroki.

Musimy się polubić, drodzy Polacy. Szybko i bezwarunkowo! Wspierać pokrzywdzonych, bronić wykluczonych. Przyjąć zasadę: „kto nie jest przeciw nam, jest z nami!"

Koniec patrzenia na bliźniego wilkiem i obciążania go winą za własne błędy.

Wiadomo, że sukces ma wielu ojców, a klęska jest sierotą, co nie znaczy jednak, żeby od razy popadać w chorobę sierocą albo kontestować każdą ofertę ze strony rodziny zastępczej, nawet jeśli ma słomę w gumiakach. ■

eprasa.pl d598d8d6e5

Tomasz Sakiewicz

Nie dadzą rady

Po pierwszych przymiarkach tworzącej się w Sejmie koalicji rządowej widać kilka zjawisk, które będą rzutowały na całość tej kadencji parlamentu. Nie zamierza przestrzegać żadnych demokratycznych obyczajów. W momencie gdyby okazało się, że PiS będzie mógł załatwić jakieś sprawy, reszta Sejmu zbiegnie się, by to blokować. W tej reszcie blokującej będzie także Konfederacja. Po pierwszych głosowaniach widać, że ta partia już nie przewraca stolika, lecz łasi się o tłuste kąski spadające z jego blatu.

Ale to koniec skuteczności koalicji resetu. Widać wyraźnie, że żadnego pomysłu na rządzenie nie ma. Jakiekolwiek grzebanie przez nią w „PiS-owskim" budżecie skończy się jego wywróceniem. Czyli albo musi uchwalić ten budżet, albo stworzyć coś zupełnie nierealnego, co będzie za parę miesięcy poprawiać. Budżetu oszukać się nie da. Stąd też pospieszne wycofywanie się z kolejnych obietnic, których koalicjanci nie są w stanie realizować.

Gdyby nie chodziło o odpowiedzialność za państwo, to PiS wręcz powinien modlić się, by koalicja Tuska zaczęła grzebać przy Trybunale Konstytucyjnym i sądach. Sparaliżowanie pracy tysięcy sędziów albo stworzenie podstaw do unieważnienia dziesiątek tysięcy wyroków – wyprowadziłoby ludzi na ulicę.

Co do pieniędzy z KPO, to jak znam życie, Komisja Europejska podejmie decyzję o ich wypłacie, a potem większości tych pieniędzy nie zapłaci. Minie wiele miesięcy, zanim zorientujemy się, co się dzieje, ale w drugiej połowie przyszłego roku sprawa będzie jasna.

Oczywiście bardzo istotne jest, co zdarzy się na Ukrainie i na Bliskim Wschodzie. Wiele wskazuje na to, że prezydent Zełenski zakiwał się na śmierć i zostanie za chwilę nie tylko bez istotnej pomocy amerykańskiej, lecz także bez polskiego nacisku na tę pomoc. Na pieniądze z UE też bym raczej na jego miejscu nie liczył. To jest na razie problem Ukrainy, ale jeżeli Rosjanie się przebiją, będzie to również problem Polski. Bardziej bezpośrednim i szybszym kłopotem dla nowego rządu może stać się powrót wysokich cen paliw. Dostawy z Rosji udało się w ostatnich miesiącach zastąpić dostawami z Zatoki Perskiej. Teraz Zatoka może zostać zablokowana. Wtedy czekają nas dwukrotne skoki cen paliw, w rezultacie inflacja i głęboka recesja.

Tusk jest mistrzem PR-u, ale rządzić nie potrafi. W 2007 roku miał jednego koalicjanta i dużo lepszą sytuację zewnętrzną. Wyniki były słabe. Teraz ma realnie co najmniej cztery partie składające się z kilku mniejszych. Nie sądzę, żeby kryzys przyszedł bardzo szybko, ale erozja będzie widoczna już po kilku miesiącach. Próby niekonstytucyjnego przejęcia instytucji państwowych mogą okazać się pyrrusowym zwycięstwem. Im bardziej uparcie będą o nie walczyć, tym większy będą mieli problem.

Władza skleja, ale tym razem powierzchnia może okazać się zbyt chropowata. ■

TUSK JEST MISTRZEM PR-U, ALE RZĄDZIĆ NIE POTRAFI. W 2007 ROKU MIAŁ JEDNEGO KOALICJANTA I DUŻO LEPSZĄ SYTUACJĘ ZEWNĘTRZNĄ. WYNIKI BYŁY SŁABE. TERAZ MA REALNIE CO NAJMNIEJ CZTERY PARTIE SKŁADAJĄCE SIĘ Z KILKU MNIEJSZYCH. NIE SĄDZĘ, ŻEBY KRYZYS PRZYSZEDŁ BARDZO SZYBKO, ALE EROZJA BĘDZIE WIDOCZNA JUŻ PO KILKU MIESIĄCACH.

eprasa.pl d598d8d6e5

polsat box plus

Telewizja Polsat Box z Disney+ + Światłowód Plusa

razem

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Telewizja Pakiet S – 55 kanałów z Disney+. Światłowód S – do 300 Mb/s.
Od 13. mies. 107,99 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 136,99 zł/mies. z rabatem.

HBO i HBO max na 2 mies. w prezencie

Pobierz ulotkę

Oferta dotyczy wybranych wariantów ofert dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z pakietem podstawowym S i pakietem dodatkowym Disney+ z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny S** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł i specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S i pakietem dodatkowym Disney+ przez pierwszych 12 miesięcy bez opłat (dotyczy tylko pakietu S z pakietem dodatkowym Disney+ i nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet), od 13. do 24. mies. od 67,99 zł/mies. Od 25. mies. od 77,99 zł/mies., dodatkowo Pakiet HBO i HBO Max na 2 miesiące w prezencie. Technologia kablową IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania** z Rabatu jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 24.11.2023 r.